

CLIVE WYNNE

MARGINESY

PIES

JEST MIŁOŚCIĄ

DLACZEGO I JAK TWÓJ PIES CIĘ KOCHA



CLIVE WYNNE

PIES

JEST MIŁOŚCIĄ

DLACZEGO I JAK TWÓJ PIES
CIĘ KOCHA

PRZEŁOŻYŁA DOROTA KOZIŃSKA

MARGINESY

Spis treści

[Karta redakcyjna](#)

[Dedykacja](#)

[Wprowadzenie](#)

[1. Xephos](#)

[2. Co stanowi sedno wyjątkowości psów?](#)

[3. Psom zależy](#)

[4. Ciało i dusza](#)

[5. Początki](#)

[6. Jak psy się zakochują](#)

[7. Psy zasługują na więcej](#)

[Podsumowanie](#)

[Podziękowania](#)

[Przypisy](#)

Tytuł oryginału *Dog is Love*
Przekład DOROTA KOZIŃSKA

Wydawca i redaktor prowadzący ADAM PLUSZKA
Redakcja MARIA KONOPKA-WICHROWSKA
Korekta MAŁGORZATA KUŚNIERZ, JAN JAROSZUK
Projekt okładki, opracowanie graficzne i typograficzne ANNA POL
Ilustracje wewnątrz książki © Leah Davies
Łamanie **manufaktura** | manufaktu-ar.com

Copyright © 2019 by Clive D. L. Wynne
Copyright © for the translation by Dorota Kozińska
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2020

Warszawa 2020
Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-66335-95-0

Wydawnictwo Marginesy Sp. z o.o.
ul. Mierosławskiego 11A
01-527 Warszawa
tel. 48 22 663 02 75
e-mail: redakcja@marginesy.com.pl
www.marginesy.com.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

Dla Sama, z którego pies – i ojciec – powinni być dumni

Wprowadzenie

Postanowiłem niedawno wyrwać się ze swojej przybranej ojczyzny – Stanów Zjednoczonych – i odwiedzić rodzinną Anglię. Było późne zimowe popołudnie i słońce skończyło już swoją krótką wędrówkę po niebie. Schodziłem po schodach metra na przedmieściach Londynu wraz z tysiącami innych pasażerów wracających do domu z pracy w City. Świeżo otwarte wiktoriańskie stacje musiały być naprawdę efektowne, niektóre wciąż robią wrażenie w blasku lata, ale w zimne, wilgotne wieczory wyglądają zdecydowanie przygnębiająco: stare czerwone cegły rozjaśnia tylko mdły blask migoczących światełek, a w całą tę pyszną scenerię wkrada się przygnębienie zmęczonych dojazdami podróżnych.

Nagle, jakby tego było jeszcze mało, na stacji rozległo się gwałtowne szczekanie psa. Na dole schodów, tuż przy bramkach zniechęcających pasażerów do jazdy na gapę, stała dziewczyna – właściwie dziecko – z całych sił uczipiona końca smyczy. Na drugim końcu miotał się nieduży, za to hałaśliwy i bardzo energiczny pies, najprawdopodobniej jakiś terier. Psiak ujadł jak opętany.

W pierwszym, podświadomym odruchu poczułem irytację: nieznośna ścieżka dźwiękowa podkreśliła ponury nastrój sceny. Kiedy jednak podszedłem bliżej i zobaczyłem, że pies jest dziko szczęśliwy, na mojej twarzy zagościł mimowolny uśmiech.

Pies kogoś rozpoznał w tej ludzkiej ciżbie. Na widok znajomej osoby wściekle ujadanie przeistoczyło się w radosny skowyt, prawie wycie. Suczka rwała się naprzód, a jej pazury ślizgały się po gładkiej posadzce. Kiedy mężczyzna przekroczył bramkę, suka skoczyła mu w ramiona i polizała go po twarzy. Szedłem tuż za nim

i usłyszałem, jak czule przemawia do psa, próbując go uspokoić: „Dobrze już, dobrze, wróciłem”.

Rozejrzałem się wokół i spostrzegłem morze ludzkich twarzy, na których malowały się podobne emocje. Wpierw irytacja – w starciu z kolejnym utrapieniem na koniec męczącego dnia – po czym bezwiedna radość w obliczu psiej miłości do pana. Ludzie zaczęli się rozpromieniać; tu i ówdzie rozległ się stłumiony śmiech. Znajomi wymienili kuksańce i krótkie komentarze. Pasażerowie podróżujący w pojedynkę uśmiechali się ukradkiem, jednak ich sprężysty krok dowodził, że w drodze do domu spotkała ich miła niespodzianka.

Obserwując tę cudowną scenę, przypomniałem sobie jeden z moich pierwszych powrotów do Wielkiej Brytanii, gdy przeszło trzydzieści lat temu wyjechałem za granicę. Żył jeszcze wtedy nasz pies Benji. Matka odbierała mnie ze stacji kolejowej na mojej rodzinnej wyspie Wight; Benji warował na przednim siedzeniu samochodu. W Wielkiej Brytanii obowiązuje ruch lewostronny i miejsce pasażera znajduje się po przeciwnej stronie niż w Stanach Zjednoczonych. Byłem zmęczony i miałem jet lag, więc odniosłem wrażenie, że to Benji prowadzi samochód. Zanim zdążyłem się zreflektować, wóz zaparkował przy krawężniku; z rozpędu otworzyłem drzwiczki dla pasażera i Benji wpadł w paroksyzm radości. Na mój widok dosłownie oszalał ze szczęścia, zupełnie jak podpatrzona wiele lat później terierka na stacji metra. I zupełnie jak ja, choć udało mi się trochę lepiej powściągnąć emocje.

Benji na pierwszy rzut oka wyglądał całkiem zwyczajnie; ot, nieduży podpalany kundel ze schroniska. Dla nas był jednak wyjątkowy. Kręgi piaskowobrunatnej sierści nad brwiami nadawały jego oczom bardzo ekspresyjny wyraz – zwłaszcza kiedy coś zbiło go z tropu. Uwielbialiśmy się z nim droczyć, a on brał wszystkie nasze wybryki za dobrą monetę. Zaciekawiony, stawiał uszy na sztorc. Merdał ogonem ze szczęścia i na znak zaufania, a swoją czułość

okazywał nam lizaniem po twarzy (przed czym broniliśmy się wraz z braćmi, bo miał język szorstki jak papier ścierny, byliśmy jednak zadowoleni z okazywanych nam względów).

Benji, moi bracia i ja dorastaliśmy w latach 70. na wyspie Wight, u południowych wybrzeży Anglii. Po powrocie ze szkoły rzucaliśmy się z młodszym bratem na sofę i wpierw było słychać tupot łap, a po chwili Benji wpadał z impetem z ogrodu na tyłach domu. Potrafił wybić się do skoku z odległości trzech metrów i wylądować wprost w naszych objęciach, chłuszcząc nas ogonem i liząc na przemian po twarzach; spazmatyczna radość dosłownie wstrząsała jego drobnym ciałem. Najwyraźniej nas kochał – przynajmniej wówczas nie mieliśmy co do tego żadnych wątpliwości.

Minęły lata. Krótkie życie Benjiego dobiegło końca; mnie pochłonięła własna życiowa peregrynacja. Zostały mi jednak wspomnienia o psie z dzieciństwa i fascynacja umysłem istot innych niż ludzie.

Z czasem zająłem się pracą naukową, a ściślej badaniem, w jaki sposób zwierzęta zdobywają oraz interpretują wiedzę o swoim otoczeniu. Chciałem zrozumieć, czym umysł zwierząt różni się od ludzkiego. W jakim stopniu zdolność rozumowania, myślenia i porozumiewania się jest właściwa tylko naszemu gatunkowi, w jakim zaś współdzielimy ją z innymi gatunkami na Ziemi? Wielu ludzi nurtuje pytanie, czy na innych planetach też żyją istoty myślące; ja chciałem się czegoś dowiedzieć o innych umysłach na naszej planecie.



Benji, pies mojego dzieciństwa, na początku lat 80.

Jako specjalista w dziedzinie zoopsychologii zacząłem od badań najpospolitszych zwierząt laboratoryjnych: szczurów i gołębi. Przez dziesięć lat mieszkałem i pracowałem w Australii, gdzie prowadziłem pionierskie studia nad zachowaniami kilku niesamowitych gatunków torbaczy. Miałem wspaniałe życie, pełne pasjonujących wyzwań intelektualnych i ciekawych odkryć – a jednak czegoś mi brakowało.

Wreszcie zdałem sobie sprawę, że nie interesują mnie zachowania wyrwane z kontekstu. Ciekawią mnie raczej relacje między ludźmi a zwierzętami. A z tysięcy gatunków zwierząt zamieszkujących naszą planetę żadne nie wykształciło tak silnej i fascynującej więzi z człowiekiem jak pies.

Patrząc wstecz, trochę się wstydzę, że odkrycie w sobie powołania do badań nad psami zajęło mi tyle czasu. Ich behavior jest tak złożony: są psy, które potrafią zwęszyć

raka i kontrabandę, są psy, które umieją pocieszyć osoby wychodzące z traumy, są psy, które pomagają niewidomym przejść przez ruchliwą ulicę. Poza tym ludzie znają się z psami od dawna. Nie ma drugiego zwierzęcia, z którym łączyłaby nas tak głęboka i długotrwała relacja.

Ludzie i psy żyją bok w bok od przeszło piętnastu tysięcy lat. Ta wspólnota splotła psie i ludzkie umysły w sposób, który dopiero zaczynamy rozumieć. Brak zrozumienia wynika po części ze zwykłych zaniedbań; kiedy podejmowałem badania nad behawiorem psów, wśród naukowców właśnie odżywała fascynacja tym gatunkiem – po półwiecznym okresie lekceważenia. Nawrót zainteresowania psami doprowadził do kilku fascynujących odkryć – dokonanych przy okazji poszukiwań naukowych, które wkrótce skierowały mnie na własną ścieżkę.

Pod koniec lat 90. światem specjalistów od psych zachowań wstrząsnęły wyniki nowych badań, sugerujące, że psy odznaczają się wyjątkowym rodzajem inteligencji. Naukowcy wysnuli teorię, że przez tysiące lat przebywania w bliskim sąsiedztwie człowieka wykształciły one umiejętność rozpoznawania ludzkich zamiarów, co dało początek skomplikowanej i subtelnej komunikacji między dwoma gatunkami. Tak zwany psi geniusz uznano za szczególną cechę, dzięki której pies stał się idealnym towarzyszem człowieka – klucz do zrozumienia i opanowania tej naszej relacji^[1].

Teoria, że psy mają zdolności poznawcze, zapewniające im wyjątkową w świecie zwierząt możliwość porozumienia z człowiekiem, wciąż znajduje wielu zwolenników wśród osób, dla których psia inteligencja i behavior są pasją bądź źródłem utrzymania. Gdy zetknąłem się z tą teorią po raz pierwszy, wydała mi się racjonalnym wyjaśnieniem oszałamiającego sukcesu psa na planecie zdominowanej przez człowieka. Kiedy jednak zacząłem badać psie zachowania z pomocą swoich studentów, te wynoszone pod

niebiosa, rzekomo niezwykle umiejętności znikwały jak sen, ilekroć próbowaliśmy dojść do ich sedna.

Pomyślałem sobie: a co, jeśli psy nie mają żadnych szczególnych zdolności poznawczych, dysponują za to jakimiś całkiem odrębnymi? Jaki rodzaj talentu mógłby wchodzić w grę? A gdyby wyjątkowość tych zwierząt zasadzała się na czymś innym niż inteligencja, jakie wnioski należałoby stąd wyciągnąć dla naszych relacji z psami i sprawowanej nad nimi opieki?

Nie wszystkie pytania nasunęły mi się w jednym momencie. Podobnie jak większość aktywnych uczonych, skupiałem się na aktualnie prowadzonych badaniach. Doświadczenie zawodowe czasem utrudnia wychwycenie detali, na które laik z miejsca zwróciłby uwagę. Z początku więc nie dostrzegałem, że psy – odkąd tylko miałem z nimi do czynienia – dość szczerze manifestowały przede mną swoją prawdziwą naturę. Zarówno Benji, mój pies z dzieciństwa, jak i radośnie ujadająca terierka na ponurej stacji metra kilka lat temu każdym machnięciem ogona, każdym liźnięciem po twarzy odpowiadały na pytanie, na czym polega ich wyjątkowość. Sęk w tym, czy uczony potrafił odebrać ten komunikat.

Przez ostatnie dziesięć lat w badaniach nad psami dokonała się swego rodzaju rewolucja. Specjaliści sięgnęli do bogatej tradycji nauk kynologicznych i wspomogli je nie tylko wypróbowanymi narzędziami z dziedziny psychologii, lecz także najnowszymi metodami i technikami z zakresu neuronauki, genetyki oraz innych nowatorskich dyscyplin. W konsekwencji uruchomili istną lawinę dowodów na to, w jaki sposób psy myślą i czują – danych umożliwiających mnie i moim kolegom po fachu rozważanie kwestii, których jeszcze kilka lat temu nie odważylibyśmy się nawet dotknąć, a co dopiero poświęcić im lata profesjonalnej kariery.

Badania prowadzone przeze mnie i wielu innych uczonych działających na polu rozwijającej się w oszałamiającym tempie kynologii dowodzą niezbicie, że nasi psi przyjaciele są istotnie wyjątkowi – choć nie wyróżniają się inteligencją na tle innych zwierząt. Uzyskane wyniki są zapewne równie kontrowersyjne i zdumiewające jak rezultaty wcześniejszych badań nad inteligencją psowatych, wskazują bowiem na prostą, choć tajemniczą genezę więzi łączących psa z człowiekiem. To uderzający fenomen i w uczonej może wzbudzić sprzeczne uczucia – każdy miłośnik psów uzna go jednak za zrozumiały, a nawet oczywisty.

Psy wykazują przesadną, żywiołową, niepohamowaną wręcz skłonność do nawiązywania czułych relacji z przedstawicielami innych gatunków. Jest ona tak przemożna, że w odniesieniu do stosunków międzyludzkich uznalibyśmy ją za dziwaczną i chorobliwą. W tekstach naukowych, w których muszę stosować terminologię specjalistyczną, określam ten niezwykle behawior mianem hiperkontaktowości. Jako wielbiciel psów, który szczerze i głęboko troszczy się o dobrostan zwierząt, nie mam absolutnie nic przeciwko temu, by nazywać to po prostu miłością.

Wielu psiarzy swobodnie szafuje słowem „miłość” – w życiu prywatnym od dawna sam tak robię. W pracy naukowej przychodzi mi to jednak z dużo większym trudem. Sama idea, że zwierzęta mają emocje, wciąż jest tematem tabu dla większości moich kolegów po fachu. Z punktu widzenia naszej pragmatycznej dyscypliny pojęcie miłości wydaje się szczególnie sentymentalne i nieścisle. Przypisywanie jej psom niesie też z sobą ryzyko antropomorfizacji – czyli nadawania im cech ludzkich, zamiast traktowania w kategoriach ich własnego gatunku. Specjaliści od lat słusznie się przed tym wzbraniają, zarówno w imię ścisłości naukowej, jak i ze względu na dobro zwierząt.

A jednak nabrałem przekonania, że przynajmniej w tym kontekście odrobina antropomorfizacji jest nie tylko dopuszczalna, ale wręcz pożądana. Uznanie, że pies jest zdolny do miłości, otwiera przed nami jedyną drogę zrozumienia tego zwierzęcia. Co istotniejsze, lekceważenie psiej potrzeby miłości – owszem, psy jej potrzebują, co zaraz pokrótce wyjaśnię – jest równie nieetyczne, jak pozbawianie ich ruchu i zdrowego pożywienia.

Do takich wniosków doszedłem na podstawie licznych dowodów z badań laboratoryjnych i ze schronisk dla zwierząt na całym świecie – bezsprzecznych dowodów na to, że pies kocha podobnie jak człowiek. Odkąd zacząłem ich szukać, uświadomiłem sobie, że psia namiętność manifestuje się na wiele sposobów. Wszyscy znamy historie o niezwykłych wyczynach psów w obronie swoich właścicieli. Badania nad psimi reakcjami na ludzkie cierpienie dowodzą jasno, że psy się o nas troszczą, jeśli nawet ich możliwości niesienia pomocy są mniej rozwinięte, niż można by wnosić z hollywoodzkich filmów. Jeszcze bardziej spektakularne są wyniki badań, które pokazują, że psy synchronizują swój rytm serca z biciem serc właścicieli – jak synchronizują się uderzenia serc zakochanych par. Psy przebywające w towarzystwie swoich ludzkich wybrańców doświadczają też podobnych zmian w układzie nerwowym – w tym wzroście stężenia niektórych neuroprzekaźników, na przykład oksytocyny – jak ludzie w stanie zakochania. Oznaki przemożnej miłości psa do człowieka można zaobserwować nawet na najniższym, komórkowym poziomie: w obrębie kodu genetycznego, który ujawnia coraz bardziej niezwykle informacje o umyśle i historii ewolucyjnej tych zwierząt, przetwarzane teraz gorliwie przez uczonych.

Wszystkie te świeże odkrycia utwierdziły mnie w przekonaniu, że miłość jest kluczem do zrozumienia psiej natury. Wysunąłem również tezę – a w dalszym toku tej książki jej dowiodę – że za pomyślną adaptacją psa

w ludzkim społeczeństwie nie stoi żaden spryt, tylko pragnienie zadzierzgnięcia silnej więzi emocjonalnej. Psia potrzeba miłości do tego stopnia angażuje naszą uwagę, że większość ludzi bezwiednie się jej poddaje i otwiera serce przed podrzuconym na próg domu kundlem, rasowym psem kupionym z hodowli albo znajdą, która błaga, żeby zabrać ją ze schroniska.

Psia miłość jest istotą naszych relacji, bez względu na to, czy docenimy jej znaczenie. I trwam na stanowisku, że mamy obowiązek ją docenić – oraz zmodyfikować nasze zachowania w jej świetle. Teoria psiej miłości (używam tego terminu jedynie półzartem) daje nam bowiem klucz nie tylko do głębszego zrozumienia tych niezwykłych zwierząt, ale i polepszenia z nimi kontaktu. Skoro o wyjątkowości psów świadczy ich umiejętność kochania, prawem logicznej konsekwencji pociąga ona za sobą wyjątkowe potrzeby. Wyniki moich badań można sprowadzić do jednej prostej konkluzji: że ludzie powinni znacznie bardziej szanować i goręcej odwzajemniać uczucia swoich psów. Miłość psa do człowieka po prostu wymaga spełnienia – i wielu z nas ochoczo wywiązuje się z tego obowiązku, nie mając nawet pojęcia o naukowych podstawach naszej obopólnej, trwającej od wieków więzi. Nauka potrafi zarazem wyjaśnić jej dynamikę i pomóc ją udoskonalić. Samopoczucie naszych psów można poprawić bardzo prostymi środkami: częściej je głaszcząc, rzadziej zostawiając je same, zaspokajając ich naturalną potrzebę funkcjonowania w sieci trwałych, pozytywnie nacechowanych związków.

Nastały ekscytujące czasy w badaniach nad psami. Genetyka i genomika, neuronauka i endokrynologia zgodnie zwały szyki, by rzucić światło na kwestię, której wielu uczonych nie zdążyło jeszcze poddać pod rozagę: jakim sposobem nasi psi towarzysze budują tak skuteczne mosty emocjonalne między gatunkami? Jakie warunki należy spełnić, by pies zdołał wytworzyć silną więź z człowiekiem? Jak psom udało się wykształcić tę umiejętność

w stosunkowo krótkim czasie - z punktu widzenia standardów ewolucyjnych? Odpowiedzi na te pytania stały się w ostatnich latach celem fascynujących dociekań awangardy współczesnej kynologii. W tej książce opiszę nasze wspólne odkrycia.

Badanie i zrozumienie psych zachowań to jednak za mało. Musimy przetrwać tę wiedzę, żeby zapewnić psom bogatsze i pełniejsze życie. Psy nam ufają, a my pod wieloma względami zawodzimy ich zaufanie. Jeśli moja książka ma się do czegośkolwiek przydać, niech uświadomi ludziom, że psy zasługują na lepszy los. Zbyt często skazujemy je na samotne cierpienie. Powinniśmy okazać im miłość - w zamian za uczucie, którym obdarzają nas bez żadnych ograniczeń.

Nie są to tylko opinie zdeklarowanego miłośnika psów; są to również wystarczająco uzasadnione wnioski z badań naukowych. Ponieważ sam kiedyś zgrzeszyłem, odrzucając koncepcję psiej miłości jako przejaw żałostnego sentymentalizmu, tym dobitniej podkreślę, że po latach eksperymentów sprzecznych z moimi przekonaniem zgromadziłem przytłaczającą liczbę dowodów na uwierzytelnienie teorii psiej miłości - w zestawieniu z niewielkim korpusem danych, które mogłyby ją podważyć. To już nie cikliwość, to po prostu nauka.

Trochę mi głupio, że po tylu latach sceptycznych badań nad inteligencją psów stanąłem po stronie obrońców tezy uważanej przez wielu za emocjonalną. Jakoś się jednak z tym pogodzę, bo naprawdę uważam, że im więcej ludzi się do niej przychyli, tym bardziej psy na tym skorzystają.

Mam też ogromną satysfakcję, że wszystko, czego doświadczyłem przed laty w relacjach z Benjim, okazało się prawdą. Istotą naszego związku była naprawdę miłość, podobnie jak w niemal każdej interakcji między psem a człowiekiem. Wielu miłośników psów zawsze podejrzewało, że badacze - utrzymujący, że o psiej wyjątkowości stanowi spryt, a nie serce - może i słyszą

dzwony, ale nie wiedzą, w którym kościele. Nauka wreszcie nadrabia zaległości.

1 Xephos

Kiedy po raz pierwszy ujrzałem Xephos, wydawała się taka maleńka. Po części sama się do tego przyczyniła: skuliła kruche ciało w przestraszony kłębek na betonowej podłodze kojca w schronisku Humane Society. Sąsiadujące z nią większe psy podskakiwały przy siatkach boksów, próbując ściągnąć na siebie uwagę szczekaniem. Biedna Xeph przypadła do ziemi, tak przerażona, że odważyła się tylko zerkać spode łba na obcego gościa.

Schronisko było zadbane, a od wolontariusza, który oprowadzał mnie po terenie, aż biła troska o psich podopiecznych. Cóż z tego, skoro miejsce i tak robiło przygnębiające wrażenie. Dom Xephos, wyposażony w metalowe pręty i gołą, twardą podłogę, przypominał więzienie: pusty, hałaśliwy bezmiar stali i betonu. Ujadanie sąsiadów było naprawdę męczące. Marzyłem tylko, żeby stamtąd wyjść i jestem pewny, że Xephos i inne psy myślały dokładnie o tym samym.

Wybrałem się do tego schroniska w Karolinie Północnej z moją żoną Ros i z naszym synem Samem, którzy postanowili zrobić mi urodzinową „niespodziankę” w postaci psa. Użyłem cudzysłowu, ponieważ rozsądnie wciągnęli mnie w swoją tajemnicę. Pod żadnym pozorem nie wolno zaskoczyć ukochanej osoby upominkiem z żywego stworzenia; opieka nad zwierzęciem wiąże się ze zbyt dużą odpowiedzialnością. Kiedy jednak przystałem na ich propozycję, Ros i Sam wzięli na siebie całkowitą odpowiedzialność za wybór kundelka – żebym miał poczucie, że dostałem go od nich w prezencie.

W 2012 roku, kiedy wreszcie postanowiliśmy zaadoptować pupila, miałem już za sobą kilka lat pracy naukowej nad psami, a mimo to nie przygarnąłem żadnego. Moje życie – pełne dalekich podróży i obowiązków

rodzicielskich – wydawało się zbyt skomplikowane, żeby dodatkowo je utrudnić opieką nad psim towarzyszem. W przeszłości bardzo sobie ceniłem obecność psa w domu, potem jednak uznałem, że narażanie zwierzęcia na nieprzewidziane zmiany planów i częste nieobecności właściciela byłoby po prostu nieuczciwe. Nie sądziłem i wciąż nie sądzę, że w życiu każdego człowieka powinno znaleźć się miejsce na szczeniaka.

W końcu się jednak okazało, że moja rodzina jest już gotowa na przyjęcie psa. Co więcej, sam zacząłem za tym tęsknić. Spędzając w pracy tyle czasu z właścicielami psów albo w schroniskach, gdzie mnóstwo wspaniałych zwierząt czekało na adopcję, czułem się coraz dziwniej po powrocie do domu bez psa. Ros i Sam widzieli moje rozterki, poza tym sami chcieli mieć psa, postanowili więc się tym zająć.

Ponieważ wciąż im zależało, żeby zachować element zaskoczenia, nie poprosili mnie o pomoc, przez co wyładowaliśmy w schronisku, z którym nie miałem przedtem do czynienia. Jako kynolog wyspecjalizowany w behawioryzmie psów prowadziłem badania w wielu innych schroniskach w tej części Florydy. Tę placówkę Humane Society omijaliśmy z kolegami po fachu, bo wielu jej podopiecznych miało poważne problemy behawioralne i praca z nimi wiązała się ze zbyt dużym ryzykiem dla studentów, którzy asystowali nam przy eksperymentach. Wszystkie psy z tego schroniska, które umiały przekazać, że mają łagodne zamiary, już dawno trafiły do własnych domów. W azylu – w którym z zasady nie usypiano zwierząt – zostały prawie wyłącznie osobniki, które nie potrafiły zachować się w sposób oczekiwany przez ludzi. Nieszczęsne stworzenia – niekoniecznie groźne dla człowieka – nie miały pojęcia, jak nas przekonać, że będą z nich dobrzy towarzysze.

Ten smutny stan rzeczy dał o sobie znać, zanim zdążyliśmy wejść do schroniska. W głównym sektorze z boksami panował taki hałas, że jazgot szczekających psów

było słycać już na parkingu. W zetknięciu z ludźmi przejawiały zachowania, które kojarzyły się ze wszystkim, tylko nie z życzliwością. Misję azylu traktowaliśmy z kolegami z najwyższym szacunkiem – podobnie jak decyzję pracowników, żeby nie uśmiercać żadnych zwierząt, które przekroczyły próg ich placówki. A jednak nie zamierzaliśmy prowadzić w niej badań – wyłącznie z troski o bezpieczeństwo naszych studentów. Gdybym sam miał wybrać dla siebie psa, z pewnością nie szukałbym go tam. Na szczęście zdecydował za mnie ktoś inny.

Dzień przed naszą wizytą Ros i Sam dokonali rekonesansu w tym schronisku – i bardzo chcieli do niego wrócić, z jednego prostego powodu. Zrządzeniem losu akurat dzień wcześniej schronisko przyjęło nowe szczenię. Przechodziło kwarantannę i czekało na przeniesienie do sektora z boksami w spokojniejszej, choć wciąż hałaśliwej części azylu.

Ros i Sam wrócili do domu zakochani po uszy w wypatrzonej przez siebie czarnej suczce. Zdziwiony, że udało im się trafić na tak łagodne stworzenie w schronisku, które znałem do tej pory jako przechowalnię dla psów skazanych na dożywocie, wybrałem się nazajutrz z obojgiem na spotkanie Xephos.

Cóż to było za biedne i wystraszone maleństwo. Miała wówczas około roku, lecz wyglądała na znacznie młodszą. W przeciwieństwie do innych psów w tym sektorze na nasz widok nie zaczęła szczekać, tylko skomlała, a wypuszczona z klatki, przewróciła się na grzbiet i popuściła trochę moczu, rozpaczliwie okazując nam uległość. Ogon z całych sił wtuliła pod siebie. Lizała nas po rękach, a kiedy się nad nią pochyliliśmy, chciała lizać nas po twarzy. Przedstawiła pełny wachlarz psich zachowań znamionujących szacunek i pragnienie zadzierzgnięcia więzi emocjonalnej. Jakby chciała uzmysłowić nam za wszelką cenę, że jest naszym psem: „Weźcie mnie do domu, a pokocham was na zawsze”.

Argument był na tyle przekonujący, że natychmiast zdecydowaliśmy się na adopcję.

Dowiedzieliśmy się później, że Xephos ma za sobą ciężkie dzieciństwo. Suczka przyszła na świat w innym schronisku w tym mieście. Jej matkę porzucono, kiedy była w ciąży; nowo narodzone szczeniaki złapały wszelkie możliwe infekcje. Xephos z czasem wyzdrowiała i znalazła dom. Pierwsi właściciele nie chcieli jej jednak zatrzymać. Wylądowała w kolejnym azylu: samotna, wystraszona, rozpaczliwie wyczekująca drugiej szansy.

Miałem już sporą wiedzę o psach ze schronisk i zdawałem sobie sprawę, że historia Xephos jest żałośnie powszechna i że ogromna większość psów trafia na ulicę nie z własnej winy. Odkąd jednak wzięliśmy suczkę do domu, wciąż starałem się dociec, cóż takiego mogła przeskrobać, że została porzucona przez poprzednich opiekunów. Nic nigdy nie wyszło na jaw. Była to tylko jedna z wielu miłych niespodzianek, jakimi miało mnie zaskoczyć to cudowne maleństwo – a zarazem jedna z wielu lekcji, jakie miałem odebrać od Xephos.

Teraz, kiedy piszę te słowa, Xephos ma około ośmiu lat. Jest równie urocza i łatwa w obejściu jak wtedy, gdy ją poznaliśmy – może nawet bardziej. Przez pierwsze spędzone wspólnie tygodnie jej dawna nieśmiałość stopniowo ustępowała miejsca dzielnej i pogodnej naturze. Blask od niej aż bije, choć sierść ma czarną jak węgiel. Nie jest już zastraszoną szczeniakiem, który kuli ogon pod siebie: dziś wychodzi do naszych gości z kitką dumnie wyprężoną. W jej mikroskopijnym ciele drzemie zadziwiająco wielki duch. Zawsze pierwsza pędzi się przywitać: na odgłos zbliżających się kroków i dźwięk dzwonka zaczyna ujadać jak opętana, a gdy w otwartych drzwiach pojawi się ktoś znajomy, aż pieje ze szczęścia. Swoich najlepszych przyjaciół rozpoznaje po brzmieniu silnika samochodu i zamiast szczekać – skomli, kiedy przekroczą próg domu.

W każdej sytuacji Xephos dosłownie tryska życzliwością wobec człowieka. Wciąż nie mogę się temu nadziwić, choć teraz wiem, co leży u podstaw jej towarzyskiego usposobienia. Kiedy ją jednak przygarnialiśmy, nawet w połowie nie zdawałem sobie sprawy z istoty, ani tym bardziej z cudowności jej czulej natury.

Oczywiście miałem już wcześniej do czynienia z psami i wiedziałem, jak przyjaźnie reagują na ludzi. Mimo to – jako badacz psich zachowań – nie miałem żadnego punktu odniesienia dla ewidentnie emocjonalnego aspektu życia tych zwierząt. Kiedy adoptowaliśmy Xephos, teza, że psy są zdolne do miłości – ba, do jakichkolwiek uczuć – uchodziła w świecie zoopsychologów za bluźnierstwo. Wyrzucono ją całkiem poza nawias naukowej dyskusji, tak że nie przyszło mi nawet do głowy się nad nią zastanawiać.

Na ówczesnym etapie mojej kariery zacząłem też kwestionować inne rozpowszechnione opinie na temat psich zdolności poznawczych. Mój sceptycyzm w kwestii życia wewnętrznego psów i podstaw ich natury doprowadził mnie wkrótce do poważnego kryzysu sumienia. Poczucie winy powiodło mnie z kolei w podróż pełną odkryć, które diametralnie zmieniły moje podejście do psów – nie tylko do Xephos, ale też do jej nieszczęsnych, wciąż uwięzionych w schroniskach pobratymców, do całego fenomenu psiego gatunku, w równym stopniu znanego i nierozumianego przez ludzi.

Przygarnięcie Xephos zbiegło się w moim życiu z krytycznym momentem mojego myślenia na temat psów. Uparcie próbowałem pogodzić wyniki swoich badań nad procesami poznawczymi u tych zwierząt z mnóstwem hipotez wyjaśniających przyczyny ich udanej adaptacji w ludzkim społeczeństwie – ogólnie przyjętych w 2012 roku, kiedy wspólnie z Ros i Samem postanowiliśmy zaopiekować się Xephos. Wszystkie zdawały się objaśniać

podstawy relacji, którą właśnie zaczęliśmy nawiązywać z tą puchatą kulką, a zarazem nowym członkiem naszej rodziny.

Pod koniec lat 90., kiedy badacze prawie całkiem zapomnieli o ufnych, warujących u ich stóp przedmiotach wcześniejszych eksperymentów, dwaj uczeni rozpalili na powrót zainteresowanie psychologią psów, proponując – niezależnie od siebie – nowy sposób podejścia do psiego gatunku i jego wyjątkowych związków z człowiekiem. Ádám Miklósi z Uniwersytetu Lorándá Eötvösa w Budapeszcie oraz Brian Hare, wówczas jeszcze student Uniwersytetu Emory’ego w Atlancie w stanie Georgia (obecnie profesor Uniwersytetu Duke’a w Karolinie Północnej), oparli się na całkiem odmiennych przesłankach, doszli jednak do tego samego wniosku: że psy przejawiają szczególny rodzaj inteligencji, dzięki któremu dogadują się z ludźmi zupełnie inaczej niż reszta zwierząt.

Z początku Hare prowadził badania nad inteligencją społeczną nie psów, tylko szympanśów. Ten gatunek naczelnych jest naszym najbliższym krewnym w królestwie zwierząt, więc pada na niego wybór większości uczonych, którzy chcą zgłębić fenomen ludzkich zdolności poznawczych. Hare szukał odpowiedzi na odwieczne pytanie: co wyróżnia człowieka od reszty świata zwierząt? Przynajmniej od czasów Darwina naukowcy próbują dociec, na czym dokładnie polega różnica między umysłem ludzkim a umysłem zwierzęcym. Tok ich rozumowania jest zwykle taki: skoro uważasz, że odkryłeś coś, co tylko ludzie potrafią, przeprowadź test na szympanśach; jeśli one tego nie umieją, najprawdopodobniej dotyczy to wszystkich innych, luźniej spokrewnionych z człowiekiem zwierząt.

Hare testował na szympanśach umiejętność, która z ludzkiego punktu widzenia wydaje się dość banalna. Skoro ja wiem, a ty nie wiesz, gdzie jest upragniony przedmiot, pomogę ci go odnaleźć, wskazując palcem kryjówkę. Hare chciał się przekonać, czy ma do czynienia ze specyficzną ludzką formą porozumienia społecznego,

czy może szympansy też potrafią wyciągnąć wnioski z gestu wskazywania palcem.

Obmyślił w tym celu prosty eksperyment. Wystarczyło odwrócić dwa kubki do góry dnem i pod jednym z nich umieścić przysmak – za zasłoną, żeby szympansy nie widziały, co się dzieje. Po odsunięciu zasłony Hare zamierzał wskazać palcem na właściwy kubek. Jeśli szympanś wybierze kubek z ukrytym wewnątrz przysmakiem, to znaczy, że rozumie znaczenie ludzkiego gestu.

Okazało się, że szympansy dokonują wyboru na chybił trafił. Proste z pozoru zadanie najwyraźniej przerosło ich możliwości.

Niepowodzenie szympanśów zdumiało Hare’a, ponieważ był przekonany, że jego pies poradziłby sobie z tym zadaniem bez problemu. Kiedy podzielił się swoją refleksją z promotorem Michaeliem Tomasello, usłyszał, że to absolutnie wykluczone, by pies – ze swoim ptasim mózdzkiem – zaliczył test, który oblały szympansy.

Skończyło się na tym, że przy okazji kolejnej wizyty u rodziców Hare wybrał się do garażu razem z Oreo, swoim psem z dzieciństwa. Postawił obok siebie dwa kubki odwrócone do góry dnem. Pies czekał cierpliwie, aż pan pod jednym schowa smakołyk, a pod drugim – uda, że go schował. Następnie Hare wskazał palcem na właściwy kubek, a Oreo bez wahania zgłosił się po swój kąsek.

Hare był pewny, że pies nie wywąchał ukrytego jedzenia. Oreo zdecydował się podejść do kubka dopiero wówczas, kiedy Hare wskazał na niego palcem. Wyglądało na to, że pies naprawdę zrozumiał gest swego pana – innymi słowy, zwierzak o ptasim mózdzku rozwiązał zadanie, któremu nie sprostął obdarzony znacznie większym mózgiem i bliżej spokrewniony z człowiekiem szympanś.

Z domu rodziców Hare pojechał wprost do rezerwatu wilków w Massachusetts i przeprowadził podobny test na kilku zwierzętach wychowanych przez ludzi. Psy pochodzą

od wilków, Hare postanowił więc poddać badaniom dziko żyjących krewnych, żeby sprawdzić, czy psy odziedziczyły tę umiejętność po swoich przodkach, czy też nabyły ją w toku ewolucji.

Wyniki doświadczeń przeprowadzonych na wilkach sugerowały, że psy są rzeczywiście pod tym względem wyjątkowe. Hare przekonał się, że wilki – w przeciwieństwie do psów – nie rozumieją gestu wskazywania palcem. W starciu z zadaniem Hare’a okazały się równie bezradne jak szympansy.

Węgierski uczony Ádám Miklósi przeprowadził niemal identyczny eksperyment na drugim końcu świata, niezależnie od Briana Hare’a – i uzyskał podobne wyniki. O ile metodę badawczą Hare’a można streścić w słowach „od małpy w dół”, o tyle podejście Miklósiego opierało się na modelu „od ryby w górę”. Miklósi specjalizował się w etologii – nauce o zachowaniach zwierząt w ich naturalnym środowisku – i pracował w laboratorium, które zajmowało się kiedyś obserwacją behawioru ryb. W połowie lat 90. dyrektor laboratorium postanowił rozszerzyć zakres badań na zwierzęta bliżej związane z człowiekiem – w konsekwencji Miklósi przerzucił się z ryb na psy. Jego zespół skupił się na kwestii, czy ewolucja psychologiczna i behawioralna człowieka i psa przebiegła pod kątem możliwości porozumienia międzygatunkowego. Miklósi i jego studenci – nieświadomi poczynąń Hare’a i Oreo w Atlancie – zrealizowali ten sam tok badawczy w Budapeszcie. Najpierw ze znakomitym wynikiem przetestowali zdolność psów domowych do odczytywania ludzkiego gestu wskazywania palcem. Następnie odchowali w swoich budapeszteńskich domach kilka wilczych szczeniąt i przekonali się, że wilki nie kojarzą tego gestu ze wskazaniem drogi do ulubionego smakołyku.

Po przeanalizowaniu wyników wszystkich badań Hare doszedł do wniosku, że psy mają genetyczną predyspozycję – wykształconą przez tysiące lat współżycia z ludźmi – do

rozumienia ludzkich intencji komunikatywnych i częściowego pojmowania zasad rządzących naszą inteligencją społeczną. Zdaniem Hare'a każde szczenię przychodzi na świat z tą umiejętnością, po czym rozwija ją spontanicznie, nawet bez kontaktu z człowiekiem i jego codziennymi sprawami. Hare nie wykluczył, że drogą żmudnego szkolenia można wykształcić tę zdolność także u przedstawicieli innych gatunków zwierząt, obstawał jednak przy twierdzeniu, że tylko psy rodzą się z umiejętnością rozumienia człowieka. Na tym właśnie polega zasadnicza różnica między psem a resztą świata zwierzęcego.

Wyniki badań Hare'a, opublikowane w 2002 roku, szczerze mnie zaintrygowały – na ówczesnym etapie kariery sam byłem gotów otworzyć się na coś nowego. Właśnie przyjechałem do Stanów Zjednoczonych jako młodszy profesor Wydziału Psychologii na Uniwersytecie Florydy. Poprzednie dziesięć lat spędziłem na Uniwersytecie Australii Zachodniej, badając zachowania torbaczy, między innymi grubogonika australijskiego – cudownego stworzonka podobnego do myszy, które bardzo szybko się uczy, mimo że jego mózg waży niespełna trzy gramy^[2]. Przeprowadzka na Florydę była wprawdzie nęcąca, oznaczała jednak koniec doświadczeń z torbaczami, które były przedmiotem mojej autentycznej fascynacji. Nie zamierzałem jeszcze przerzucać się na psy, ale w raporcie Hare'a zafrapowała mnie teza, że pies, obdarzony przez naturę niespecjalnie rozwiniętym mózgiem, jakimś cudem opanował procesy poznawcze, które do tej pory kojarzono wyłącznie z naszym gatunkiem i jego wyjątkowym potencjałem intelektualnym^[3].

Omówienia badań Hare'a w literaturze naukowej zbiegły się w czasie z publikacją pierwszych analiz genetycznych psiego DNA. Odkrycia genetyków wzbogaciły dyskusję na temat wyjątkowości psów o nowy, intrygujący element.

Genetycy obliczają wiek gatunku, porównując jego materiał genetyczny z materiałem najbliższego krewniaka; jak wynika z badań prowadzonych w Szwecji, Chinach i Stanach Zjednoczonych, proces udomowienia, który doprowadził do powstania współczesnego psa, według standardów ewolucyjnych przebiegał wyjątkowo szybko. Istotne zmiany, które w toku ewolucji stosunkowo dużych i długowiecznych zwierząt – na przykład wilka, czyli bezpośredniego przodka psa – dokonują się w ciągu milionów lat, w przypadku psa domowego potrzebowały zaledwie kilku tysięcy lat. Wilki rozmnażają się z reguły raz w roku i osiągają dojrzałość płciową dopiero w wieku dwóch lat. Z ludzkiego punktu widzenia to dość wcześnie, ale w porównaniu z innymi gatunkami zwierząt cykl życiowy wilka jest bardzo powolny. Szybkość ewolucji zależy od czasu niezbędnego do odchowania nowego pokolenia – z czego wynika, że gatunek, u którego zmiana pokoleniowa dokonuje się co dwa lata, teoretycznie powinien ewoluować w bardzo wolnym tempie.

Te dwa wątki badawcze spłótły się w moim umyśle w jedną całość. Jeśli psy istotnie dysponują niezwykłą, wrodzoną umiejętnością rozumienia ludzi – jak twierdzi Hare – to w sensie ewolucyjnym musiały ją nabyć błyskawicznie. Zacząłem się zastanawiać, jak zdołały tego dokonać w tak krótkim czasie.

Ledwie zdążyłem sformułować pytanie, trafiłem na idealną studentkę, która mogła mi pomóc na nie odpowiedzieć. Monique Udell miała wykształcenie zarówno psychologiczne, jak i biologiczne, nie wspominając o niesłychanej motywacji do ciężkiej, chwilami iście morderczej pracy. Co ważniejsze, była gotowa podjąć ryzyko przygotowania doktoratu pod opieką promotora zamierzającego prowadzić badania nad gatunkiem, którym się wcześniej nie zajmował. Wspólnie z Monique przystąpiliśmy do analizy implikacji nowych i fascynujących odkryć z dziedziny ewolucji i procesów poznawczych psa.

Zaczęliśmy od powtórzenia testów ze wskazywaniem palcem na kilku psach w środowisku domowym. Poszło nam stosunkowo łatwo, a wyniki eksperymentu pokryły się z wynikami uzyskanymi przez Mikłósiego i Hare'a: psy domowe są rzeczywiście wyjątkowo czułe na interakcje z ludźmi. Chowaliśmy smakołyk pod jeden z dwóch umieszczonych na podłodze pojemników, a gdy Monique wskazywała palcem na właściwy, psy podbiegały do niego natychmiast. Jakby wcześniej zapoznały się z tymi samymi artykułami w prasie fachowej^[1*].

Choć wyniki naszych badań okazały się w pełni zbieżne z rezultatami Hare'a i Mikłósiego, nie uzyskaliśmy odpowiedzi na pytanie zasadnicze: co doprowadziło do błyskawicznej ewolucji umiejętności odczytywania ludzkich gestów przez psy? W jakich okolicznościach psy nabyły tę zdolność?

Ledwie zdążyliśmy pochylić się nad tą kwestią, kiedy trafiła się sposobność rozstrzygnięcia naszych wątpliwości: dostaliśmy zaproszenie od dyrekcji ośrodka badawczego Wolf Park w stanie Indiana – z propozycją przeprowadzenia testów na wilkach.

U podstaw mojej decyzji o karierze uniwersyteckiej nie leżał nadmiar odwagi i przyznam szczerze, że ciarki chodziły mi po plecach, kiedy siedziałem w pawilonie edukacyjnym Wolf Park i słuchałem obowiązkowego wykładu głównej opiekunki Pat Goodman o zasadach bezpieczeństwa w postępowaniu z wilkami.

Regulamin Wolf Park jest dość klarowny. Nie należy patrzeć wilkowi prosto w oczy, ale też nie wolno spuszczać z niego wzroku. Pod żadnym pozorem nie wykonywać gwałtownych ruchów, ale też nie stać jak kołek ze spuszczonej rękami. Jeśli zastygniesz w bezruchu, wilki mogą uznać cię za zabawkę do gryzienia – wyjaśniła Pat, bynajmniej nie dodając mi otuchy. Przede wszystkim jednak trzeba uważać – podkreśliła – żeby się nie potknąć o gałąź

ani nie wpaść nogą w króliczą norę. Ponoć bardzo trudno odciągnąć wilka od ofiary.

Przejęty nie na żarty ponadgodzinnym zestawieniem wszystkich okropności, jakie stukilogramowy wilk szary może wyrządzić chuderlawemu profesorowi psychologii, mogłem wreszcie stanąć twarzą w twarz z przedmiotem swoich badań. Opatulić się w te wrześniowe chłody i pomaszerować do wilczej zagrody.

Wolf Park przypomina oazę malowniczo pofałdowanych wzgórz na rozległych równinach środkowej Indiany. Aż po samo wejście do parku teren jest całkiem płaski, wewnątrz można jednak liczyć na upragnioną zmianę krajobrazu – przeciętego strumieniem, z kilkoma zagajnikami i dużym ładnym jeziorem, w którym wilki mogą się kąpać. Jako jedyny skrawek zalesionej ziemi wśród tysięcy hektarów upraw soi i kukurydzy park stał się również azylem dla ptaków, które uzupełniają piękną scenerię radosną ścieżką dźwiękową. To naprawdę wspaniałe miejsce – choć przyznam, że nie byłem w stanie tego docenić przy pierwszej wizycie. Wtedy myślałem tylko o wielkich drapieżnikach i o tym, że zaraz wkroczę na ich teren.

Chwila prawdy – i przerażenia – nadeszła, gdy razem z Monique przestąpiliśmy próg zagrody. Ledwie znalazłem się po drugiej stronie siatkowej furtki, przypadł do mnie Renki, jeden ze starszych wilków. Zanim zdążyłem wyciągnąć ręce z kieszeni, położył mi łapy na ramionach.

Zacząłem się żegnać ze światem, kiedy Renki zamasyście wylizał mi oba policzki.

Nagle do mnie dotarło, że właśnie zostałem zaakceptowany przez wilczą watahę – i słowo daję, że przede wszystkim poczułem ogromną ulgę. Przez chwilę trwałem nieruchomo, poznając swoje nowe stado, a zarazem obiekty swoich badań. Wreszcie, kiedy trochę się oswoiłem z towarzysstwem wilków i zrozumiałem, że nie mają nic przeciwko mojej obecności, przystąpiłem do

eksperymentu, który przecież sprowadził mnie do Wolf Park.

Dostaliśmy zaproszenie do ośrodka, bo personel dowiedział się o wynikach badań Briana Hare'a i Ádáma Miklósiego. Szczególnie zaś zwrócił uwagę na konkluzję – i od razu ją zakwestionował – że psy dysponują wyjątkową umiejętnością wyciągania wniosków z działań człowieka: umiejętnością, której zdaniem Hare'a nie dzielą z żadnym innym gatunkiem zwierząt, wilków nie wyłączając.

Niewiele osób na świecie może się pochwalić tak złożoną wiedzą na temat wilczych zachowań jak pracownicy i wolontariusze Wolf Park. Od 1974 roku samodzielnie odchowują szczenięta wilków, zastępują im rodziców i uczą te dzikie zwierzęta, by traktowały człowieka jako pełnoprawnego członka stada. Główna opiekunka Pat Goodman i Erich Klinghammer, założyciel Wolf Park, wypracowali specjalne techniki – między innymi, w pierwszych tygodniach życia szczeniąt, całodobową obecność ludzkiej „matki” – dzięki którym wilki dorastają w towarzystwie ludzi i uznają ich za nieodłączny element swojej wspólnoty. Pat i inne osoby zatrudnione w Wolf Park mają też własne psy, przebywają więc w godzinach pracy z odchowanymi wilkami, a w czasie wolnym z psami domowymi – co umożliwia im obserwowanie podobieństw i różnic.



Inicjacja autora do watahy w Wolf Park

To właśnie ci wyjątkowo kompetentni znawcy psów i wilków skontaktowali się ze mną pierwsi, chcąc dowieść, że Hare i Mikłósi są w błędzie. Pracownicy Wolf Park mieli wyraźne poczucie, że przebywające pod ich opieką wilki są równie wrażliwe na ludzkie działania jak psy, do których wracają codziennie wieczorem.

Rzecz jasna, Hare i Mikłósi prowadzili własne badania nad wilkami, żeby udowodnić swoją tezę – i niezależnie od siebie doszli do wniosku, że wilki nie rozumieją ludzkich gestów. Nie miałem żadnego powodu, by cynicznie podważać ich konkluzje, zwłaszcza że wyniki uzyskano w różnych laboratoriach po dwóch stronach Atlantyku. Nie mogłem się jednak oprzeć pokusie przeprowadzenia

eksperymentu na własną rękę. Sceptyczne nastawienie personelu Wolf Park wzbudziło też moją ciekawość. Czyżby zwierzęta użyte w badaniach Hare'a i Miklósiego – wychowywane przez ludzi w rezerwacie w Massachusetts oraz w kilku mieszkaniach w Budapeszcie – niedostatecznie reprezentowały gatunek jako całość?

Nigdy przedtem nie miałem bliskiego kontaktu z wilkami, ale byłem pod wielkim wrażeniem ich budzącej respekt siły i uderzającej inteligencji. Tutejsze wilki były wielkości najroślejszych psów – od razu skojarzyły mi się z potężnym wilczarzem irlandzkim. W przeciwieństwie jednak do dużych psów, które wykazują dość wolny czas reakcji, wilki szare reagują błyskawicznie. I to dosłownie. Kiedy królik wyskoczy z kryjówki – chap i już go mają. Zabijają jak wyrachowani zawodowcy, bez żadnych wyrzutów sumienia.

Co zaskakujące, ci bezwzględni mordercy są wyjątkowo towarzyscy. Ich przywiązanie do wilczych członków stada i zaprzyjaźnionych ludzi jest głębokie i naprawdę wzruszające. W takich chwilach ich bursztynowe oczy dosłownie pałają uczuciem. Poczułem się uprzywilejowany, że wilki wpuściły mnie do swojego życia.

Zrozumiałem też, że odwaga badawcza powinna iść w parze z rozważą. Po rozmowach z personelem, wysłuchaniu wykładu na temat bezpieczeństwa i wejściu do zagrody, żeby przedstawić się wilkom, postanowiliśmy z Monique nie ryzykować ponad miarę. Wyszliśmy na zewnątrz i pozwoliliśmy przeprowadzić pierwszą rundę eksperymentu ze wskazywaniem palcem osobom lepiej obeznanym z mieszkańcami azylu. Zamiast samemu manipulować kubkami z przynętą i wskazywać właściwe naczynie, mieliśmy instruować na głos trzech pracowników Wolf Park, wykonujących test za nas. Zgodnie uznaliśmy, że tak będzie bezpieczniej i że w ten sposób zyskamy wiarygodniejszy obraz wilczych umiejętności. Mieliśmy nadzieję, że z czasem, kiedy wilki się z nami oswoją,

zdołamy sami przeprowadzić część eksperymentu – ale przy okazji pierwszej wizyty woleliśmy zwiększyć sobie szansę osiągnięcia sukcesu, pozwalając nieufnym wobec obcych zwierzętom pracować z dobrze znanymi ludźmi.

Kilkoro stażystów pomogło uporządkować nieużywaną zagrodę, do której pojedynczo wprowadzano testowane wilki. Pat Goodman i dwóch innych pracowników wcielało się na przemian w trzy role: osoby stojącej między dwoma pojemnikami i wskazującej palcem na właściwy; osoby trzymającej się jakieś trzy metry z dala, żeby po zakończeniu każdej rundy zachęcić wilka do zajęcia pozycji wyjściowej; oraz osoby przechadzającej się po zagrodzie, żeby dopilnować bezpieczeństwa pozostałych. Monique i ja przekazywaliśmy instrukcje zza ogrodzenia i podawaliśmy naszym nieustraszonym współpracownikom kolejne kawałki kiełbasy, które służyły im do nagradzania wilków za trafny wybór pojemnika oraz do wabienia ich na pozycję wyjściową.

Zorganizowanie eksperymentu zajęło nam trochę czasu, ale gdy wszyscy zajęli swoje miejsca i test nareszcie się rozpoczął, wyniki zaskoczyły nas oboje: wilki radziły sobie równie dobrze jak najsprytniejsze psy domowe.

Rezultat naszych badań natychmiast podważył pozornie oczywisty rozróżnienie między zdolnościami poznawczymi psów i wilków. Uczony, który zwykł sprawdzać, co się kryje pod każdym kamieniem, który przez całe życie wynajdował pytania, żeby znaleźć odpowiedź, musiał w takiej chwili poczuć dreszcz podniecenia. Tak się akurat złożyło, że nasza wizyta w Wolf Park wypadła w dzień moich urodzin, więc potraktowałem to odkrycie jako najbardziej pamiętny prezent od czasu adoptowania Xephos.

Kiedy tylko zdołałem opanować podniecenie wywołane zaskakującym wynikiem, przeprowadziliśmy ten sam test na innych wilkach w azylu. Wzorzec zachowań wciąż się powtarzał. Wilki interpretowały ludzki gest wskazywania palcem równie celnie jak psy domowe.

W drodze powrotnej na Florydę rozważaliśmy z Monique przyczyny tak wielkiej rozbieżności między wynikami naszych obserwacji a sformułowaną przez Briana Hare'a teorią wrodzonego „geniuszu” psów. Wiedzieliśmy już, że owego geniuszu – jakkolwiek nazwać wyjątkową psią wrażliwość na ludzkie działania – nie da się wytłumaczyć jedynie dziedzictwem ewolucyjnym naszych pupili. Oczywiście, ewolucja (a w tym konkretnym przypadku proces udomowienia) pozostaje bezsprzecznie czynnikiem istotnym, ale za zwierzęcym behawiorem musi stać jakaś inna przyczyna, która decyduje, że psy oraz wilki potrafią interpretować język ludzkich gestów – i że nie jest to cecha wrodzona, tylko wyuczona.

Ewolucja jest wynikiem doboru naturalnego, mechanizmu, który prowadzi do zmian w obrębie gatunku, poszczególne osobniki przychodzą bowiem na świat wyposażone w cechy genetyczne, które pomagają im przetrwać skuteczniej i wydać więcej potomstwa w następnym pokoleniu. W ciągu kolejnych pokoleń niektóre z tych cech zostaną przekazane dalszemu potomstwu, ubarwiając gatunek całą paletą osobistych właściwości – między innymi szczególnych cech anatomicznych i poznawczych (wśród nich inteligencji), które leżą u podstaw typowych zachowań gatunku.

Udomowienie jest specyficzną odmianą ewolucji, której mechanizm wciąż jest przedmiotem dyskusji. Zdaniem Darwina, twórcy pojęcia ewolucji, ludzie udomowili zwierzęta drogą doboru, przeznaczając do hodowli najużyteczniejsze z ich punktu widzenia osobniki; z czasem – jak utrzymywał Darwin – taka praktyka powinna dać początek całkiem nowemu gatunkowi. Proces udomowienia Darwin nazwał selekcją sztuczną – w przeciwieństwie do selekcji naturalnej, z którą mamy do czynienia, kiedy siły natury decydują, kto ma żyć, a kto umrzeć. Dziś nie mamy pewności, czy za historię udomowienia odpowiadają wyłącznie ludzie: bardziej prawdopodobne, że w dużej

mierze mamy jednak do czynienia z selekcją naturalną. Tak czy inaczej, udomowienie jest odmianą ewolucji – procesu, w którym gatunki podlegają zmianom dzięki selekcji osobników predysponowanych do przetrwania i przekazania swoich genów następnym pokoleniom.

Sama ewolucja nie jest jednak w stanie wytworzyć gatunku przyjaznego człowiekowi. Selekcja sztuczna i naturalna z pewnością mogą wpłynąć na zachowania typowe i inteligencję – ewolucja nie leży jednak u podstaw wyjątkowych zdolności poznawczych i behawioralnych konkretnego psa (które zwykliśmy określać jako jego „osobowość”). Dzieje się tak dlatego, że aczkolwiek determinuje ona kod żywego organizmu, nie wpływa na sposób odczytania owego kodu. Każde zwierzę składa się z informacji genetycznych odczytywanych w toku konkretnych doświadczeń, którym osobnik podlega w trakcie rozwoju. Stąd wynika, że przyjaźnie nastawiony pies nie jest wyłącznie produktem ewolucji.

Podobnie jak nogi, dzięki którym chodzimy, są elementem naszego dziedzictwa ewolucyjnego, tak struktury w naszym mózgu dają początek naszej osobowości. To samo dotyczy naszych psów, które dziedziczą struktury mózgowe predysponujące je do relacji z człowiekiem. Fakt, że moja suczka wykształciła więź ze mną i jest wrażliwa na działania innych ludzi, nie wynika jednak tylko z ewolucji jej gatunku; zależy również od tego, że wychowała się w otoczeniu, które umożliwiło jej wykształcenie cech definiujących ją jako jednostkę.

Krótko mówiąc, doświadczenie jest kolejnym czynnikiem kształtującym działania i sposób myślenia psów. W gruncie rzeczy to dość oczywiste: przecież żaden szczeniak, żadne kocię ani młode innego udomowionego gatunku nie rodzi się oswojone. Każde zwierzę uczy się łagodności. Nawet najśłodszy szczeniak wyrośnie na dziką bestię, jeśli nie będzie miał od początku do czynienia z człowiekiem. (Dowiodły tego eksperymenty prowadzone w latach 60.

W laboratorium w Bar Harbor w stanie Maine John Paul Scott i John L. Fuller hodowali szczenięta bez kontaktu z ludźmi przez pierwsze czternaście tygodni życia. Kiedy przeprowadzali badania na młodych osobnikach, stwierdzili, że zachowują się jak „dzikie zwierzęta” i nie dają do siebie podejść^[4].

Biologowie określają naszą historię ewolucyjną jako filogenezę, a nasz rozwój osobniczy nazywają ontogenezą. Z punktu widzenia biologii i psychologii każdy z nas jest łączonym produktem filogenezy i ontogenezy. Żaden człowiek nie byłby tak przystojny, mądry ani uroczy – nie wspominając już o skromności – gdyby historia ewolucyjna gatunku nie przygotowała gruntu pod nasze doświadczenia życiowe, które z kolei ukształtowały nasz godny pozazdroszczenia charakter. To samo dotyczy psów. Każdy ma taką, a nie inną osobowość – która w najlepszym razie, z wszelkimi konsekwencjami, czyni zeń idealnego towarzysza człowieka – wyłącznie za sprawą wzajemnego oddziaływania predyspozycji genetycznych i środowiska, w jakim przyszło mu wyrosnąć.

Koncepcja, że inteligencja i behavior psów są wynikiem zarówno doświadczeń, jak i procesu udomowienia w świetle wspomnianych reguł naukowych wydała nam się całkiem do przyjęcia – na polu raczkującej dyscypliny procesów poznawczych, na które bezwiednie wkroczyliśmy z Monique, wzbudzała jednak pewne kontrowersje. Po jednej stronie plasowali się uczeni w rodzaju Hare’a i Miklósięgo, którzy twierdzili, że psia zdolność do rozumienia ludzi wynika z ich wyjątkowych umiejętności poznawczych – wrodzonych i niezależnych od jakichkolwiek doświadczeń życiowych. Po drugiej stronie byliśmy my – przekonani, że źródłem psiej zdolności towarzyszenia człowiekowi są zarówno życiowe doświadczenia, jak i odpowiedni potencjał genetyczny.

Odmawiając zaakceptowania tezy, że psy – w następstwie ewolucyjnego procesu udomowienia – mają

wrodzoną zdolność interpretacji ludzkich działań, popsuliśmy zabawę behawiorystom. Po opublikowaniu wyników naszego eksperymentu w Wolf Park pewien dziennikarz przezwiał mnie „Debbie Downer” – od nazwiska bohaterki programu telewizyjnego *Saturday Night Live*, znanej z negatywnego stosunku do świata^[5]. Oj, zabolało.

Zacząłem się zastanawiać, na co mi przyszło. Jakim cudem ktoś, kogo zawsze fascynowały zwierzęce umysły i kto poświęcił im całą karierę badawczą, mógł zyskać fatalną reputację osoby wątpliwej w procesy poznawcze u zwierząt? Poczulem się niezrozumiany i dotknięty do żywego, że przy mojej miłości do psów sprawiam wrażenie, jakbym chciał obrazić ich inteligencję.

Ludziom, którzy mnie nie znają, istotnie mogło się wydać, że w moim przekonaniu w psach nie ma nic wyjątkowego. Sęk w tym, że nie próbowałem podważyć tezy o ich wyjątkowości. Wręcz przeciwnie: uczyniłem z nich przedmiot swoich badań właśnie ze względu na ich szczególną więź z człowiekiem. Podobnie jak rozkochani w psach pracownicy Wolf Park, nie musiałem nawet wychodzić z domu – gdzie Xephos często mościła się koło mnie na kanapie, kiedy przeglądałem artykuły w czasopiśmie naukowych i artykuły w popularnej prasie, obserwując gniewne reakcje na wyniki naszego eksperymentu – żeby znaleźć natchnienie i motywację do codziennej pracy.

Psy są wyjątkowe; w to nikt nie wątpi. Byłem tylko sceptycznie nastawiony wobec dominującej tezy o podłożu tej wyjątkowości. Jako naukowiec uznałem przezwisko „Debbie Downer” za powód do dumy; nie życzyłem sobie, by ktokolwiek narzucał mi przekonania, których nie podzielam. Jako miłośnik psów postanowiłem jednak dociec istoty niezwykłości tych zwierząt. Kiedy zdobyłem szerszą wiedzę na temat psych procesów poznawczych oraz funkcjonowania psów w ludzkim społeczeństwie, zaczęło do mnie docierać, że cała ta dyskusja nie jest czysto

akademicka. Gra toczyła się o wysoką stawkę – zwłaszcza dla psów.

Oprócz testowania umiejętności interpretacji ludzkich gestów przez wilki i psy domowe przeprowadziliśmy ten sam eksperyment – tym razem we troje, z Monique i Nicole Dorey, jeszcze jedną moją przyjaciółką i współpracownicą – w schronisku dla zwierząt w Gainesville, nieopodal naszego instytutu badawczego na Florydzie. Wyniki nie były zbyt optymistyczne.

Ani jeden z psów uczestniczących w teście nie rozumiał gestu wskazywania palcem na właściwy pojemnik. Albo patrzyły pustym wzrokiem na Monique, która stała między pojemnikami i czekała, aż pies dokona wyboru; albo siadały grzecznie tuż przed nią, prosząc najładniej, jak tylko potrafiły, żeby dała im wreszcie ten smakołyk; albo po prostu odchodziły, żeby poszukać czegoś lepszego do roboty.

Z początku myśleliśmy, że psy wyniosły jakiś uraz z wcześniejszych kontaktów z ludźmi i nie mają zaufania do Monique. Owszem, w schroniskach jest mnóstwo psów, które zawiodły się na przedstawicielach naszego gatunku i straciły wiarę w człowieka – tylko że do udziału w naszym badaniu specjalnie wybraliśmy zwierzęta, które aż się rwały do ludzkiego towarzystwa: wyprowadzane z zagrody, zabawiane i rozpieszczane kaskami znacznie smaczniejszymi niż codzienne porcje w schronisku. Wyglądało na to, że psy, z którymi pracuje Monique, naprawdę nie rozumieją jej gestów.

Dominująca teoria znajduje ponure wytłumaczenie zachowań tych niepojętnych stworzeń. Skoro psy mają wrodzoną zdolność rozumienia ludzkich intencji i działań – za czym opowiadają się Brian Hare i jego współpracownicy – osobniki, które nie potrafią zinterpretować naszych zamierzeń, mają jakieś głębokie zaburzenia funkcji poznawczych, uniemożliwiające im wykorzystanie

wrodzonego potencjału ewolucyjnego. Jeśli umiejętność odczytywania ludzkich gestów jest cechą wrodzoną, to samo musi dotyczyć nieumiejętności ich interpretowania. Prowadziłoby to do konkluzji, że psy testowane przez nas w schronisku po prostu mniej nadawały się na towarzyszy człowieka.

Wyniki uzyskane przez Monique i Nicole w miejscowym azylu, gdzie żaden pies nie rozumiał ich gestów, mogłyby fatalnie wpłynąć na los wielu zwierząt – zarówno w tamtej placówce, gdzie eutanazja psów nienadających się do adopcji była wówczas standardową praktyką, jak i w podobnych schroniskach w kraju i za granicą. Miliony psów rok w rok tracą życie, ponieważ nie udaje się znaleźć dla nich domów. Wyodrębnienie czynników, które pomogłyby określić, czy pies musi zostać w schronisku, czy też można go przekazać rodzinie adopcyjnej, mogłoby więc naprawdę zadecydować o jego życiu lub śmierci. Całej naszej trójce, kynologów, a zarazem miłośników psów, zależało przede wszystkim na odkryciu, co leży u podstaw szczęśliwej koegzystencji psa i człowieka.

Chcieliśmy za wszelką cenę ustalić, co jest nie tak z tymi nieszczęsnymi psiakami i jakie mogą być konsekwencje ich ułomności. Czy brakowało im genu pojmowania ludzi – innymi słowy, czy za niemożność interpretowania naszych gestów odpowiadał jakiś błąd w filogenezie? A może źródła problemu należało szukać w ontogenezie, w jakiejś nieprawidłowości rozwoju osobniczego, przez którą psy utraciły zdolność rozumienia wskazówek Monique? To by tłumaczyło ich deficyty. Co więcej, dawało nadzieję, że znajdziemy też sposób na usunięcie problemu.

Gdyby psy ze schroniska potrafiły się nauczyć znaczenia ludzkich gestów, moglibyśmy wpoić im tę umiejętność, stosując prostą metodę szkoleniową. Ilekroć wskażesz palcem na przedmiot atrakcyjny dla psa – smakołyk, piłkę, cokolwiek – żeby pomóc mu go odnaleźć, a psie poszukiwania zakończą się sukcesem, pies dostanie

nagrodę. Naukowcy mówią na to w swoim żargonie, że czynność wykonana przez psa została pozytywnie wzmocniona. Z tego, co wiemy o behawiorze zwierząt, zachowania wzmocnione pozytywnie mają więcej szans powtórzenia się w przyszłości.

Wyszliśmy z założenia, że ten prosty mechanizm behawioralny powinien wpoić psom umiejętność reakcji na ludzki gest wskazywania. Gdyby Monique wskazała palcem na smakołyk, a współpracujący z nią pies ze schroniska go znalazł – choćby przez przypadek – w przyszłości zapewne chętniej podążałby za jej wskazówkami. Gdyby tak się stało, mogłoby to oznaczać, że u tych zwierząt nie występują żadne wrodzone nieprawidłowości. Być może psy nie potrafiły interpretować naszych ruchów, bo przedtem nie stykały się z ludźmi wskazującymi palcem na przedmiot. Może nie miały okazji nauczyć się tego wcześniej albo zdążyły zapomnieć, co oznaczają gesty wykonywane przez człowieka.

Wystarczyło wrócić do schroniska i sprawdzić, czy można poprowadzić na miejscu szkolenie dla psów, żeby zaczęły reagować na wskazywanie. Czyli po prostu wycelować palcem w pojemnik ze smakołykiem i pozwolić psu się przekonać, co się wydarzy, jeśli sam sobie weźmie kasek. Gdyby szkolenie się nie powiodło, musielibyśmy przyznać rację Hare'owi, który twierdził, że psy mają wrodzoną, uwarunkowaną ewolucyjnie zdolność odpowiadania na ludzkie gesty – cechę dziedziczną, której pewnym osobnikom z jakichś powodów brakuje. Gdyby się jednak udało, należałoby stąd wyciągnąć wniosek, że psy uczą się rozumieć wskazywanie palcem, bo z ich osobistych doświadczeń wynika, że wiąże się to ze wzmocnieniem pozytywnym. Innymi słowy, dowodziłoby to, że psia umiejętność interpretacji gestów człowieka jest cechą nabytą, a nie wrodzoną – a tym samym nie wyróżnia psa spośród innych zwierząt. Przyczyna jego szczególnej więzi z człowiekiem leżałaby zatem gdzie indziej.

Zasugerowałem Monique i Nicole, żeby pracowały z każdym z psów schroniskowych przez cały dzień – sprawdzając, czy zwierzę potrafi się nauczyć, co oznacza wskazywanie palcem na przedmiot. Koleżanki uznały jednak, że na jedną lekcję wystarczy im pół godziny. I jak się okazało, miały rację: dwanaście z czternastu testowanych psów opanowało znaczenie gestu w niespełna trzydzieści minut^[6]. Mało tego: nauka podążania za wskazówkami zajęła dwunastu zdolniejszym osobnikom przeciętnie dziesięć minut. Pies, który wcześniej nie miał pojęcia, co oznacza wyciągnięcie ręki, po dziesięciu minutach zmieniał się w psiego prymusa, reagującego sumiennie na ludzką wskazówkę.

Wyniki testu wprawiły nas w euforię: te psy z pewnością dało się ocalić! Rezultat uznaliśmy też za sygnał, że trzeba podwoić nasze wysiłki w dziedzinie badań nad behawiorem i procesami poznawczymi psów. Musieliśmy jeszcze wiele się dowiedzieć o czynnikach, za których sprawą psy są tak wyjątkowymi towarzyszami człowieka. I mogliśmy w dużej mierze przyczynić się do ich dobrostanu – gdyby tylko udało nam się określić, co tak naprawdę odróżnia je od innych zwierząt.

Rzecz jasna, gest wskazywania jest tylko jednym z wielu sposobów porozumiewania się ludzi z psami. A ów rodzaj inteligencji społeczno-poznawczej, który Brian Hare, Ádám Miklósi oraz ich współpracownicy uznali za specyficzny dla psów, jest tylko jedną z przyczyn tego, że postrzegamy je jako wyjątkowe. Choć wraz z Monique i Nicole udało nam się wykazać, że psia umiejętność odczytywania ludzkich gestów jest nabyta, wciąż istniało prawdopodobieństwo, że inne rodzaje inteligencji psów pomogą nam w wyjaśnieniu ich szczególnej więzi z człowiekiem. Przed poczynieniem dalszych kroków musieliśmy więc sprawdzić, czy owe rodzaje psiej inteligencji są rzeczywiście unikatowe.

Wystarczy zagadnąć dowolnego psiarza, a wymieni co najmniej jednego znajomego psa, który odznacza się wybitnym umysłem. W moim przypadku nie będzie to Xephos (wybacz mi, skarbie!), tylko Benji, pies mojego dzieciństwa, które spędziłem w latach 70. w Anglii.

Na takie okazy jak Benji ludzie mówią „mądry pies”. Odnosi się to zwłaszcza do rzadkiej umiejętności wymykania się z domu i ogrodu, żeby pozałatwiać swoje psie interesy. Dojrzewaliśmy mniej więcej w tym samym czasie, ale w porównaniu ze mną – nieśmiałym i pryszczatym oferumą – Benji miał ogromne wzięcie u pań. (Nosił przy obroży plakietkę z napisem: „Cześć, jestem Benji. Mieszkam w Shanklin, mój numer telefonu 2371”, ale stroiliśmy sobie żarty, że gdyby tylko mógł, kazałby sobie wygrawerować na drugiej stronie: „Cześć, kochana, jak masz na imię? Daj mi swój numer!”. Zawsze sobie wyobrażaliśmy, że zarywa panienki cockneyem, bo miał w sobie coś z chuligana – uroczego, ale jednak łajdusa). Benji był jednym z tych niedużych i bardzo zwinnych psiaków, które przecisną się przez najwęższą dziurę w żywopłocie, ale też z zadziwiającą zręcznością przeskoczą wysokie ogrodzenie. Swoją skłonność do nieplanowanych wycieczek zawdzięczał również temu, że go nie wykastrowaliśmy. Matka wzdragała się na sam dźwięk tego słowa, ojciec zaś nigdy nie zawracał sobie głowy opieką nad psem. Ilekroć więc Benji wyczuł w sąsiedztwie sukę w rui, bez namysłu pakował się w kłopoty i wracał do domu po kilku godzinach – zmordowany, ale szczęśliwy.

Wypadki Benjiego w odwiedziny do dziewczyn są zapewne najbliższe biologicznej definicji inteligencji. Z punktu widzenia biologa potrzeba rozmnażania się jest jednym z silniejszych popędów w życiu: każda sztuczka wchodzi w grę, byle go tylko zaspokoić. Mało kto jednak kojarzy zew prokreacji ze słowem „inteligencja”.

Wśród zwierząt, w tym psów, zdarzają się oczywiście inni spryciarze, których talenty plasują się bliżej słownikowej definicji tego pojęcia niż pierwotny pęd do włączeni w poszukiwaniu partnera seksualnego. Jednym z moich ulubionych przykładów są tak zwane psy wykrywające, obdarzone iście magiczną umiejętnością wyniuchania substancji niewyczuwalnych dla człowieka. Nie mogę wyjść z podziwu dla psów, które potrafią wykryć nowotwór albo zlokalizować ładunek wybuchowy domowej roboty, po prostu węsząc w powietrzu. Tylko dlatego nie dałem psom wykrywającym pierwszego miejsca na mojej osobistej liście psich mądrali, że jestem przede wszystkim pod wrażeniem ich zdolności percepcyjnych – umiejętności zwęszania zapachów nieodczuwanych przez ludzi – nie zaś ich uczenia się bądź inteligencji.

Najsprytniejszym psem, z jakim kiedykolwiek miałem do czynienia, obdarzonym zarazem wybitnym talentem do rozumienia ludzkich zamiarów, jest niejaka Chaser. Nie tylko ja jestem tego zdania. Suczka border collie o klasycznym czarno-białym umaszczeniu, ochrzczona przez BBC mianem „najmądrzejszego psa świata”, zna nazwy przeszło 1200 zabawek^[7]. Chaser jest urodzonym psem pracującym: musi się czymś zajmować, w przeciwnym razie zacznie gryźć meble. Jej właściciel John Pilley jest emerytowanym profesorem psychologii, który postanowił znaleźć sobie jakieś hobby. Przeczytał gdzieś o wynikach niemieckich badań z udziałem psa rasy border collie, który rozpoznawał nazwy ponad 300 różnych przedmiotów. Adoptował Chaser – która oczywiście zawdzięcza swoje imię skłonności do uganiania się za czym popadnie – i postanowił sam przetestować granice pojmowania ludzkiej mowy przez psy.

Kiedy odwiedziłem ich w 2009 roku w malowniczym regionie Upstate na północy Karoliny Południowej, John i Chaser pracowali razem od przeszło trzech lat^[8]. John przechowywał mnóstwo zabawek w dużych plastikowych

pojemnikach na tylnym tarasie. Poprosił mnie, żebym wybrał dziesięć zabawek na chybił trafił. Były to typowe gryzaki dla psów i małych dzieci, skrupulatnie podpisane markerem przez Johna. Gospodarz polecił mi zanotować ich nazwy, wziąć zabawki do domu i rozłożyć je na podłodze między kanapą a ścianą salonu. John i Chaser czekali na zewnątrz, na tarasie od frontu – żeby nie podpatrzeć, jakie zabawki wybrałem.

Skończyłem i zawołałem oboje do środka. John usiadł na kanapie, tyłem do miejsca, gdzie rozłożyłem zabawki. Postawił przed sobą pusty plastikowy pojemnik i kazał Chaser siąść obok. Kiedy już wszystko było gotowe, John odczytał pierwszą pozycję z listy: „Dobra, Chaser, przynieś Złotą Rybkę”. Chaser rozejrzała się, nie mając pojęcia, gdzie umieściłem zabawki. „Złota Rybka. Naprzód, Chaser. Przynieś Złotą Rybkę”.

Zdopingowana Chaser zataczała coraz szersze kręgi w poszukiwaniu zabawki. Wkrótce znalazła stertę za kanapą i węsząc przy podłodze, zaczęła szukać Złotej Rybki. Choć sprawiała wrażenie odrobinę krótkowzrocznej – próbując rozsądzić, czy dany przedmiot jest Złotą Rybką, przystawiała nos do wszystkich – zachowywała się w tej sytuacji zupełnie jak człowiek. Po krótkiej chwili chwyciła pyskiem zabawkę i pobiegła z nią do Johna.

„Włóż ją do kubła”, poinstruował suczkę John, wskazując na stojący przed nim plastikowy pojemnik. To okazało się najtrudniejszą częścią zadania. Chaser zawahała się, najwyraźniej niechętnie rozstając ze swoją zdobyczą. „Do kubła”, powtórzył John. „Włóż ją do kubła”. Chaser w końcu ustąpiła i wrzuciła zabawkę do pojemnika.

„No dobrze, zobaczmy”, powiedział John, podnosząc zabawkę i odczytując podpis. Aż rozpromienił się ze szczęścia, bo suczka dokonała właściwego wyboru: „Sprawdźmy. Jest Złota Rybka! Jest rybka; i jest złota; jest Złota Rybka!”.

Po tych słowach John cisnął Złotą Rybkę przez pokój, a zachwycona Chaser puściła się za nią w pogoń. Przyniosła zabawkę z powrotem. John znów ją rzucił. Trudno rozstrzygnąć, kto miał z tego większą frajdę – John czy Chaser – ale po kilku rundach John znów poinstruował suczkę, żeby włożyła zabawkę do kubła, po czym wytargał ją czule po karku, zanim zaczęła szukać kolejnego przedmiotu.

I tak oboje po kolei odhaczali kolejne pozycje z mojej listy, od Złotej Rybki, przez Radara, Sowę Przemądrzałą, Blinga, Feozies, Shirley, Treasure-Box, Chipmunka, Sweet Potato, aż po Myszkę Miki. John nagradzał Chaser możliwością uganiania się za zabawką do chwili „włożenia jej do kubła”, czasem jednak pozwalał jej trochę się szarpać z gryzakiem. Ilekroć przyniosła mu właściwy przedmiot, aż pękał ze szczęścia, i za każdym razem kwitował zabawę głaskaniem suczki po łbie i czochraniem jej po szyi. Nieczęsto zdarzało mi się zaobserwować tyle radości i uczucia podczas badań naukowych, ile było mi dane przy okazji wspólnej pracy i zabawy tych dwojga.

Kiedy Chaser i John bawili się w najlepsze, wróciłem na taras po dziesięć następnych gryzaków, po czym powtórzyliśmy eksperyment. Chaser nie popełniła żadnego błędu, więc przeprowadziliśmy test jeszcze raz. I jeszcze raz. Nie pamiętam, ile razy powtarzaliśmy zabawę w rozpoznawanie nazw, ale jestem pewien, że Chaser wybrała na tej podstawie co najmniej sto przedmiotów. Pomyliła się tylko raz – przynajmniej tak mi się wydawało. Przy bliższej inspekcji wyszło na jaw, że John źle rozczytał moją bazgraninę, a Chaser – nie znajdując tego, o co ją proszono, ale wciąż chcąc się spisać na medal – przyniosła mu inny przedmiot.

John przestał uczyć Chaser rozpoznawania nazw nowych zabawek, kiedy zebrał ich mniej więcej 1200 – z tej prostej przyczyny, że stracił rachubę i zdarzało mu się kupić po kilka razy ten sam przedmiot. Beztrósco nadawał mu inną

nazwę i wpajał ją Chaser (miała tak wybitny talent w tym kierunku, że zapamiętywała ją z miejsca). Tylko przez przypadek odkrył, że ma w swoich zbiorach dwie identyczne zabawki o różnych nazwach. Niemniej do tego etapu Chaser uczyła się błyskawicznie nazw nowych przedmiotów.

Namówiłem Johna, żeby podzielił się swoim odkryciem na łamach czasopisma naukowego pod moją redakcją; jego raport znalazł się w czołówce najczęściej czytanych tekstów w historii miesięcznika „Behavioural Processes”. John napisał później bestsellerową książkę, w której unieśmiertelnił swoją wspaniałą suczkę. Oboje wystąpili nawet w telewizji – zanim John zmarł na białaczkę w czerwcu 2018 roku, kilka tygodni przed swoimi dziewięćdziesiątymi urodzinami.

Przypadek Chaser jest oczywiście wyjątkowy, ale jej wybitna zdolność do opanowania tak wielkiej liczby słów – w połączeniu z faktem, że John miał okazję pracować tylko z jednym psem – sugeruje, że każdy border collie może kryć w sobie talent językowy. Przemawiałaby za tym okoliczność, że psy szkolone w Niemczech i dysponujące słownikiem liczącym od kilkudziesięciu do kilkuset nazw przedmiotów – wśród nich pies uczestniczący w badaniach, które zainspirowały Johna do długoletniej pracy z Chaser – należały bez wyjątku do rasy border collie.

W świetle tych danych można uznać nieomal za pewnik, że rasa reprezentowana przez Chaser odznacza się wybitną inteligencją dziedziczną. Tylko że psy border collie słyną też z innej wyjątkowej cechy: niezwyklej motywacji do pracy. John poświęcał na szkolenie Chaser około trzech godzin dziennie przez trzy lata, zanim suczka zyskała tak cudowne rozumienie ludzkiego języka^[9]. Sukces Chaser przynajmniej po części wynika z niesłychanej frajdy, jaką dawała jej możliwość ugania się za zabawkami: suczka miała silny bodziec do nauki słówek z Johnem, bo szukanie przedmiotów za każdym razem wiązało się ze

wzmocnieniem pozytywnym. Większość psów można nagradzać smakołykami, istnieje jednak granica, za którą faszerowanie zwierzaka kolejnymi kąskami byłoby co najmniej nierozsądne. Psy nagradzane jedzeniem przez kilka godzin dziennie nie tylko straciłyby apetyt, ale też nabawiłyby się nadwagi. Tymczasem z psem w rodzaju Chaser, któremu za motywację wystarczy możliwość uganiania się za ruchomym obiektem, można trenować dzień w dzień znacznie dłużej. Ludzie pracujący z border collie zdają sobie sprawę, że wiąże się to z obowiązkiem wyjątkowej dbałości o dobrostan zwierząt; jeśli opiekun nie zatroszczy się o psy, zaharują się dosłownie na śmierć, lekceważąc wszelkie kontuzje. To właśnie niespożyty zapał, graniczący wręcz z fanatyzmem, czyni z border collie idealny materiał do takich badań. Przedstawiciele niewielu ras psów wykonują swoją pracę z takim entuzjazmem.

Poza tym umiejętności Chaser – owszem, spektakularne – były w sumie dość proste i zapewne w większym stopniu uwarunkowane mistrzowskim szkoleniem suczki przez Johna Pilleya niż jej psim intelektem. Trening Chaser po jakimś czasie zaczął przebiegać tak gładko, że wystarczyło podanie jej przez Johna nazwy nowej zabawki – zupełnie jak poszerzanie słownictwa małego dziecka przez rodzica. W omawianym przypadku chodzi jednak o inną ważną zasadę.

Załóżmy taki scenariusz: John ma nową zabawkę. Przedmiot okaże się wyjątkowo atrakcyjny dla Chaser, jeśli John go rzuci (żeby suczka mogła za nim pobiec i go przynieść) lub użyje jako zabawki do szarpania. Chaser uwielbia szarpaninę prawie tak samo jak aportowanie. John woła: „Hej, Chaser, przynieś Wihajster” – tak brzmi nazwa nowej zabawki, którą suczka ma opanować – po czym rzuca Wihajster najdalej, jak się da. Chaser, zachwycona możliwością rzucenia się w pogoń za przedmiotem i przyniesienia go swojemu panu, biegnie po Wihajster i składa go u stóp Johna. Wtedy John prosi: „Oddaj

Wihajster Papciowi” (tak mówi na siebie w rozmowach z suczką). Chaser popada w cudowny stan rozterki, typowy dla psów kochających aportowanie, kiedy właściciel każe im się rozstać z bezcenną zdobyczą. Jak powinna zachować się Chaser – oddać zabawkę i poczekać na wspaniałą nagrodę w postaci kolejnej okazji do rzucenia się za nią w pościg czy zatrzymać swoje upragnione trofeum? (Pierwsza możliwość niesie z sobą pewne ryzyko: Chaser wie z doświadczenia, że Papciowi zdarza się odłożyć przedmiot i przerwać zabawę w aportowanie). John więc dalej się jej przymila, powtarzając: „Oddaj Wihajster Papciowi” – tak długo, aż suczka odda zabawkę. Następnie znów ją rzuca: „Naprzód, Chaser, przynieś Wihajster”. I tak w kółko.

W zabawie z użyciem pojedynczego przedmiotu większość psów nie zwraca uwagi na zbitkę dźwiękową, którą człowiek określa konkretną zabawkę. Kiedy poznałem Chaser i jej pana, oboje mieli za sobą przeszło trzy lata doświadczeń w tej grze, którą John stopniowo utrudniał, wzbogacając kolekcję nazwanych obiektów o coraz to nowe nabytki. Nagradzał suczkę możliwością kolejnego aportu pod warunkiem, że przedtem przyniosła właściwą zabawkę. Po kilku milionach kursów w tę i we w tę John zdołał wpoić swej bystrej podopiecznej skojarzenie między pojedynczym nowym słowem a cudowną okazją do puszczenia się w pogoń za zabawką i przyniesienia jej z powrotem.

Każdy czytelnik, który jest właścicielem psa aportującego i dysponuje dużą ilością wolnego czasu, może wypróbować ten schemat szkolenia i sprawdzić, na ile zdoła poszerzyć słownictwo swojego pupila. Niestety, moja Xephos nie chce się bawić w aportowanie, chyba że ktoś sam rzuci się za nią w pościg, żeby odebrać jej zabawkę – nie jestem aż takim entuzjastą ruchu na świeżym powietrzu, żeby uczyć psa nowych słówek, uganiając się za nim po podwórku przez trzy godziny dziennie.

O czym więc naprawdę świadczy rezultat szkolenia Chaser? Dowodzi, że suczka potrafi skojarzyć brzmienie słowa „wihajster” z konkretnym obiektem i wie, że John nagrodzi ją za jego przyniesienie. Taki mechanizm kojarzenia uchodzi za jeden z podstawowych elementów inteligentnego zachowania i występuje u wszystkich badanych pod tym kątem gatunków zwierząt. W istocie mamy do czynienia z modelowym przykładem warunkowania klasycznego, formy uczenia się odkrytej sto dwadzieścia lat temu przez wielkiego rosyjskiego uczonego Iwana Piotrowicza Pawłowa, który prowadził eksperymenty z psami.

Talent Chaser jest wyjątkowy tylko ze względu na liczbę zbitek dźwiękowych, które suczka potrafi skojarzyć z poszczególnymi obiektami. Sukcesywne uzupełnianie słownika świadczy o pojemności pamięci długotrwałej Chaser, nie wpływa jednak na złożoność pojęciową wykonywanych przez nią czynności. Jej rozległe słownictwo jest wyłącznie zasługą cierpliwości trenera, który dzień w dzień, rok po roku, całymi godzinami motywował ją do dalszej pracy.

Nie mam zamiaru umniejszać osiągnięć Chaser – ukazuję je tylko w szerszym kontekście. Przedstawiciele wielu gatunków umieją tworzyć skojarzenia, a niektóre zwierzęta są zdolne do znacznie większych wyczynów poznawczych niż łączenie specyficznych dźwięków z konkretnymi obiektami (nie wspominając już o kojarzeniu wskazywania palcem ze smakołykiem). Gołębie potrafią określić, czy dane zdjęcie przedstawia krzesło, kwiatek, samochód czy człowieka; delfiny dowiodły, że rozumieją zasady rządzące gramatyką; pszczoły wracające do ula z zapalonym przekazują swoim pobratymcom precyzyjne dane na temat lokalizacji i jakości odkrytego źródła pożywienia. O ile mi wiadomo, psy nie dysponują żadną z tych umiejętności.

Co więcej, inne zwierzęta można nauczyć formowania skojarzeń między czynnością wykonywaną przez człowieka a jej rezultatem, przez co sprawiają wrażenie, jakby „czytały” w ludzkich myślach. Jednym z najniezwykleszych, a zarazem moim ulubionym przykładem są nietoperze. Mój student Nathan Hall (obecnie profesor Texas Tech University) zainicjował eksperyment analogiczny do badań, jakie przeprowadziliśmy z Monique Udell, żeby sprawdzić, jak psy reagują na ludzki gest – ale przedmiotem swoich testów uczynił nietoperze z pewnego azylu na Florydzie. Badanie przebiegło podobnie jak nasze testy z udziałem psów i wilków – z tą zasadniczą różnicą, że nietoperze nie chodziły po ziemi, tylko zwisały z siatki pokrywającej ich boksy. Zamiast wskazywać na pojemniki na podłodze, Nathan celował więc palcem w zbiorniki podwieszone na siatce.

Eksperyment pomógł wreszcie ustalić, czy za umiejętnością odczytywania ludzkich gestów stoi dziedzictwo genetyczne (filogeneza) czy też życiowe doświadczenie (ontogeneza) – mniej więcej połowa nietoperzy przyszła bowiem na świat w azylu i została wychowana przez własne matki, podczas gdy drugą połowę stanowiły osobniki podrzucone do ośrodka przez ludzi, którzy opiekowali się nimi od małego, żeby odchować sobie nietypowe zwierzątko domowe. (Podobnie jak większość nieudomowionych zwierząt, nietoperze nie nadają się do trzymania w mieszkaniu; właściciele z czasem mają dość sprzątania odchodów i pozbywają się swoich podopiecznych). Nathan dokonał odkrycia, które dostarczyło ważkich argumentów na poparcie naszej tezy: nietoperze wychowane przez matki nie rozumieją ludzkich gestów – w przeciwieństwie do hodowanych przez ludzi, które uczą się kojarzyć ruchy rękoma z ważnymi dla siebie konsekwencjami.

Analizując wyniki eksperymentów prowadzonych przez Nathana i Johna oraz kontynuując własne badania, w końcu

zdaliśmy sobie sprawę, że to, co Hare nazwał „psim geniuszem”, jest w istocie cechą każdego zwierzęcia odchowanego przez człowieka. Za umiejętność odczytywania ludzkich zamiarów nie odpowiadają więc zmiany genetyczne zachodzące w procesie udomowienia; te same zdolności zaobserwowaliśmy u wilków i wielu innych zwierząt, których człowiek nigdy nie udomowił. Nabraliśmy przeświadczenia, że ów talent można rozwinać w każdym zwierzęciu wykarmionym przez człowieka, który zaspokajał jego potrzeby i zajmował się nim na co dzień.

Żeby oddać psu sprawiedliwość, jego talent do kojarzenia ludzkich działań z ważnymi dla siebie konsekwencjami bywa tak wyrafinowany, że czasem naprawdę można odnieść wrażenie, że pupil czyta nam w myślach. Po jednym z moich publicznych wykładów podszedł do mnie starszy pan i powiedział: „Może pana zainteresuje, że mój pies jest jasnowidzem”. Rzeczywiście, okazałem zainteresowanie, choć przemieszane z odrobiną rezerwy. Okazało się, że staruszek wierzy w nadprzyrodzone zdolności swojego west highlanda, bo terier zawsze umie przewidzieć, kiedy jego pan wybiera się na spacer: nie trzeba zakładać butów ani brać do ręki smyczy, wystarczy wstać z krzesła. Nie miałem okazji pracować z tym psem, więc nie wykluczam, że istotnie przejawiał dar jasnowidzenia: bardziej jednak prawdopodobne, że podobnie jak moja Xephos nauczył się kojarzyć ruchy ciała z konkretną czynnością, którą jego pan zamierzał wykonać po wstaniu z krzesła. Xephos sprawia wrażenie, jakby potrafiła odróżnić, czy po odejściu od biurka zamierzam wziąć ją na spacer po osiedlu czy zrobić sobie kawę. Sam tego nie zauważam, a mimo to jestem przekonany, że mój sposób poruszania się, a nawet patrzenia na suczkę wystarczająco zdradza moje intencje.

Psy wykrywające – obdarzone zdumiewającą umiejętnością wywąchiwania obiektów ukrytych przed okiem człowieka, a bardzo dla niego istotnych: bomb,

narkotyków, nowotworów, osób zaginionych – dokonują swoich wyczynów za sprawą tych samych mechanizmów uczenia skojarzeniowego. Po wielu miesiącach żmudnych ćwiczeń trener wpaja psu, że wykonanie konkretnej czynności – na przykład siadania i szczekania na znak, że podopieczny wyczuł wskazaną woń – zostanie nagrodzone okazją do zaaportowania piłki, szamotaniną z zabawką albo jakimś smakołykiem.

Terier westie, który zdaje się wyczuwać intencje swojego pana; Chaser, która potrafi na komendę wybrać żądany przedmiot spośród setki zabawek; tysiące anonimowych psów wykrywających, które dzień w dzień ciężko pracują na nasze bezpieczeństwo – przykłady psów zdolnych do rzeczy niezwykłych można by mnożyć w nieskończoność. Nie sądzę jednak, by świadczyło to o wyjątkowości psiej inteligencji. Suczkę Chaser wyróżniały etos pracy i mocna więź, która łączyła ją z Johnem Pilleyem. Nie mam wątpliwości, że starszy pan i rzekomo czytający w jego myślach terier zbudowali silną relację emocjonalną. Za większością wyczynów psiej inteligencji stoi związek psa z właścicielem oraz entuzjazm, z jakim pupil wykonuje polecenia swojego pana. To nie jest szczególny rodzaj inteligencji. Inne zwierzęta też można tego nauczyć – wystarczająco cierpliwy trener zdoła im wpoić jeszcze bardziej spektakularne umiejętności.

Brian Hare z pewnością był na dobrym tropie, twierdząc, że psy przejawiają jakiś rodzaj geniuszu. Pies mieszkający w ciepłym domu z człowiekiem i całkowicie zdany na opiekuna, który zaspokaja wszystkie jego potrzeby – zapewnia mu karmę i wodę, daje mu sposobność załatwienia potrzeb fizjologicznych bez obaw, że dostanie burę – z czasem nauczy się w lot pojmować konsekwencje ludzkich działań. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Wielu z nas obserwuje ten mechanizm na co dzień, kiedy pies zdaje się czytać w naszych myślach, bo wie, że

właściciel wstał z krzesła, żeby zaparzyć sobie kawę albo wyjść z nim na spacer. Psy z pewnością to potrafią i właśnie dlatego współżycie z nimi przebiega tak gładko i daje nam tyle radości.

Z badań, które prowadziłem wspólnie z moimi studentami, wynika jednak, że psy uczą się rozumieć nasze poczynania, bo z nami mieszkają – nie dlatego, że mają jakiś szczególny wrodzony „dar” rozumienia ludzi. Sposób, w jaki się poruszamy i wykonujemy różne czynności, pozwala psu przewidzieć, co zrobimy za chwilę. Psy uczą się znaczenia naszych zachowań. Nie przychodzą na świat z tą umiejętnością; jeśli przebywają w schroniskach, mają z tym kłopot, ale potrafią szybko nadrobić zaległości. Co więcej, dotyczy to także innych zwierząt. Na liście gatunków, których przedstawiciele umieją odczytać ludzkie intencje, znalazły się nie tylko inne zwierzęta udomowione, na przykład konie i kozy, ale też mieszkańcy dzikiej przyrody, choćby delfiny. Rozmawiałem ostatnio z badaczami w Szwecji, którzy wychowali od małego kilka danieli. Znając moje zainteresowanie tematem, poinformowali mnie z przejęciem, że ich podopieczni reagują na gest wskazywania palcem.

Reasumując: wychodzi na jaw, że wyczyny naszych psów nie są oznaką wyjątkowej bystrości, tylko pochodną niezwyklej więzi, jaka nas z nimi łączy. Dzięki intensywności tej relacji mogą blisko współpracować z człowiekiem – i w przypadku bardzo cierpliwych właścicieli i psów obdarzonych nieprzeciętną motywacją wyniki mogą być naprawdę spektakularne.

Co w takim razie jest źródłem tej zadziwiającej więzi między psem a człowiekiem? Choć po naszych eksperymentach w Wolf Park i w miejscowym schronisku dla zwierząt straciłem przekonanie o wyjątkowej inteligencji psów, nie mogłem się wyzbyć poczucia, że mimo to jest w nich coś szczególnego. Skoro nie inteligencja, to w takim razie co?

Moje dotychczasowe badania doprowadziły mnie do konkluzji, że odpowiedź na to pytanie jest bardzo istotna – zarówno dla psów, jak i dla ludzi, którzy się nimi opiekują i studiują ich psychikę.

Organizując pierwsze wypady do schronisk, nie zastanawialiśmy się zbyt nad losem bezdomnych psów w naszym społeczeństwie. Wyznaję ze skruchą, że nie miałem wówczas pojęcia, jak żyją te, które nie są pod niczyją opieką; do schronisk sprowadzała mnie tylko naukowa ciekawość, pragnienie odkrycia, skąd bierze się psia umiejętność odczytywania ludzkich zamiarów. Po naszych testach w azylu nie dało się już utrzymać profesjonalnego dystansu do sprawy.

Byłem wstrząśnięty niedolą bezdomnych psów. Nie zdawałem sobie sprawy, że miliony przybłądów męczą się miesiącami w boksach przeznaczonych na tymczasowy pobyt. Spędzają całe dni na betonowej podłodze, prawie bez kontaktu z ludźmi, z możliwością pobiegania za piłką lub jakiegokolwiek innej zabawy tylko od wielkiego dzwonu. Niektóre psy dosłownie głuchną od nieustannego szczekania sąsiadów i chorują w tych warunkach na przewlekłą bezsenność. Cierpią też z innych powodów. W dwóch amerykańskich stanach, które znam najlepiej, lata bywają nieznosne: na Florydzie przez podzwrotnikową wilgotność powietrza, w pustynnej Arizonie przez żar lejący się prosto z nieba. Psy w tamtejszych schroniskach nie korzystają jednak z dobrodziejstw letniej klimatyzacji; ogrzewanie boksów zimą też pozostawia wiele do życzenia.

Nasze badania nad psimi procesami poznawczymi były jeszcze w powijakach, ale już zdążyły nas doprowadzić do kilku istotnych spostrzeżeń na temat umysłu psa – spostrzeżeń, które z pewnością mogły się przyczynić do poprawy jakości życia tych zwierząt, a nawet ocalić je od śmierci. Udowodniliśmy na przykład, że psy schroniskowe – choć nie reagują spontanicznie na ludzkie gesty – mogą w bardzo krótkim czasie nadrobić te zaległości. Jeśli chcesz

wziąć następnego psa ze schroniska (gorąco polecam!), nie musisz się już zamartwiać, że będziesz musiał go wysłać na specjalne szkolenie, by zrozumiał twoje polecenia. Zwykle codzienne życie z psem, podczas którego wchodzimy z nim w mnóstwo skomplikowanych interakcji, wystarczy aż nadto, by zwierzę nauczyło się pojmować konsekwencje ludzkich działań w sferze zarówno ruchowej, jak i werbalnej. W warunkach domowych twój pupil będzie zapewne uczył się wolniej niż psy, które trenowaliśmy w schronisku. Reakcję na wskazywanie palcem opanuje po kilku tygodniach pobytu w nowym domu, wraz z mnóstwem innych umiejętności – jak sprawdzanie, czy wolno mu wskoczyć na łóżko i kanapę i czy może ganiać kota wokół stołu w kuchni.

Pierwsze wyprawy do schroniska dla zwierząt dały mi przedsmak dobra wynikającego z naszej pracy – ale uświadomiły mi również bezduszość dotychczasowych badań nad psimi procesami poznawczymi, a co za tym idzie, pilną konieczność uaktualnienia informacji o tym, jak działa pies. Po naszych testach w azylu poczytałem sobie za misję nie tylko zrozumienie, co sprawia, że psy są wyjątkowe, ale też ustalenie, jak może to wpłynąć na model naszej opieki nad tym zwierzęciem. Byłem to winien Benjiemu, Xephos i wszystkim innym psom, które wzbogaciły moje życie – chciałem dowiedzieć się, co je odróżnia od reszty zwierząt, i wykorzystać tę informację, by dla odmiany wzbogacić ich życie.

2 Co stanowi sedno wyjątkowości psów?

Kiedy w moim życiu pojawiła się Xephos, właśnie zacząłem dostrzegać pierwsze luki w panującej teorii, jakoby o wyjątkowości psów stanowiła ich inteligencja. Xephos miała wkrótce powiększyć te luki do rozmiarów ziejącej przepaści.

Moje uczucie do Xephos rozkwitło niemal natychmiast po wzięciu jej ze schroniska – muszę jednak przyznać (co już wcześniej sugerowałem), że to słodkie maleństwo nie było szczególnie bystre. Suczka miała między innymi problem z pokonywaniem schodów. Nasz ówczesny dom był piętrowy, co musiało być dla niej nowością. Najpierw z wahaniem wgramoliła się za mną na górę, gdy jednak zszedłem, została na piętrze i uderzyła w płacz. W końcu zebrała się na odwagę i też spróbowała zejść. Za pierwszym razem nie bardzo jej się udało: przewróciła się w połowie schodów i stoczyła na dół. Nic jej się nie stało; stopniowo nauczyła się korzystać z tego dziwnego ludzkiego wynalazku.

W 2013 roku, rok po adopcji Xephos, przeniosłem się z Florydy do Arizony, żeby rozpocząć działalność Canine Science Collaboratory przy Uniwersytecie Stanu Arizona. Misją tej placówki badawczej jest próba lepszego zrozumienia psych zachowań, a tym samym poprawa dobrostanu psów oraz ich opiekunów za pomocą narzędzi nauk behawioralnych. Przeprowadziliśmy się z Ros i Samem do Tempe, mając nadzieję, że nasz nowy dom przypadnie Xephos do gustu. Nie było w nim schodów, były za to specjalne drzwiczki dla psów, żeby suczka nie musiała za każdym razem prosić o wypuszczenie na dwór. Jak można się było spodziewać, opanowanie ich obsługi zajęło Xephos długie tygodnie – mimo że próbowałem jej objaśnić działanie drzwiczek, otwierając je, kładąc po drugiej stronie smakołyk i podnosząc klapkę, żeby się przekonała, co jest na zewnątrz. Nauka szła jej opornie.

Podobnych kłopotów przysparzała jej smycz. Sądzę, że poprzedni właściciele nie wyprowadzali jej na smyczy, bo wciąż się w to ustrojstwo zaplątywała. Ponieważ cały świat ją

fascynował, dreptała wokół mnie aż do chwili, kiedy skrępowala mi smyczą obie nogi. Albo przechodziła na drugą stronę latarni i nie mogła pojąć, dlaczego oboje nie jesteśmy w stanie się ruszyć. Zanim zdołaliśmy odbyć godziwą przechadzkę po okolicy, minęło parę miesięcy.

O ile jednak Xephos nie sprawiała wrażenia szczególnie rozgarniętej, o tyle zawsze była (i wciąż jest) rozkosznie pełna uczucia. Jej czuły temperament dał o sobie znać już w momencie, kiedy braliśmy ją ze schroniska; odkąd u nas zamieszkała, witała się serdecznie z każdym, kto jej się nawinął (z wyjątkiem brodatych mężczyzn, do których odnosi się trochę nieufnie). Byłem też zdumiony, z jakim zapalem zabrała się do przekonywania, że traktuje nas absolutnie wyjątkowo. Rzadko oddala się od kogoś z naszej trójki więcej niż na metr. Nie przepuści żadnej okazji, żeby przywitać nas w drzwiach; uwielbia wylegiwać się z nami w łóżku i na kanapie. Na szczęście się okazało, że Xephos – w przeciwieństwie do większości psów – nie przejmuje się zbytnio, kiedy zostawiamy ją samą w domu, ale po naszym powrocie jej radość nie zna granic. Suczka szczeka jak opętana, nawet jeśli wyszliśmy tylko na kilka godzin. W rzadkich przypadkach, kiedy musimy zostawić ją na parę tygodni, wita nas rozdzierającym skomleniem, jakby coś jej dolegało. Jej ulga podszyta udręką zawsze budzi w nas wyrzuty sumienia, że wyjechaliśmy na tak długo.

Nawet jeśli psia inteligencja nie była jakaś nadzwyczajna, trwałem w przeświadczeniu – a Xephos dokładała wszelkich starań, żeby mnie w nim utwierdzić – że psy mają w sobie coś szczególnego. Mogłem spędzić cały dzień w biurze, czytając i pisząc artykuły o behawiorze psów, wykazując słabości w rozumowaniu uczonych, którzy dowodzili wyjątkowych zdolności poznawczych naszych pupilów. Kiedy jednak wracałem do Xephos, jej dziki entuzjazm na mój widok – tak niepohamowany, że miałem trudności z przejściem przez próg, bo rzucała się z miejsca, żeby polizać mnie po twarzy, parę razy straciła mi nawet okulary – sprawiał, że musiałem przyznać, iż jest w tych zwierzętach coś, co odróżnia je od innych stworzeń.

Im więcej o tym myślałem, tym bardziej mi się wydawało, że to coś nie leży w sferze intelektu, tylko emocji. Tym, co różniło Xephos od wszystkich zwierząt, z którymi miałem kiedykolwiek do czynienia – od gołębi i szczurów aż po torbacze i wilki – była niezwykle silna więź emocjonalna z otaczającymi ją ludźmi. Czułość i podekscytowanie na nasz widok, udręka, kiedy musieliśmy wyjechać, były zapewne kluczowymi elementami jej zachowań wobec ludzkich towarzyszy.

Choć Xephos jest z nami stosunkowo krótko, zdążyła już zachwiać w posadach kilkoma z moich najistotniejszych przekonań w dziedzinie nauk behawioralnych. Za większością jej zachowań stoi coś, czego nie potrafię nazwać inaczej, jak tylko wyjątkowo silną więzią emocjonalną z ludźmi. A jednak zarówno obiegowe poglądy, jak i podstawy mojej dyscypliny naukowej, czyli behawioryzmu, sugerowały dobitnie, że problem tkwi gdzie indziej.

Behawioryzm w gruncie rzeczy polega na dostosowaniu jednej z podstawowych zasad naukowych do praw rządzących psychologią. Owa zasada, zwana prawem ekonomii myślenia bądź brzytwą Ockhama, wiąże się tradycyjnie z osobą XIV-wiecznego filozofa Williama Ockhama. Byłem kiedyś we wsi Ockham, położonej na południowy zachód od Londynu, i miałem nadzieję kupić tam brzytwę, którą mógłbym później pokazywać studentom – żeby to abstrakcyjne pojęcie nabrało w ich oczach bardziej konkretnych kształtów. Niestety, wiejskie sklepy były tak źle zaopatrzone, że nawet brzytwy nie dało się w nich dostać – odkryłem za to doskonały pub, gdzie zjadłem wyśmienity obiad. Tak czy inaczej, brzytwa Ockhama nie jest obiektem fizycznym, tylko zasadą; głosi, że w wyjaśnianiu zjawisk zawsze należy dążyć do prostoty, zamiast się skłaniać ku dodatkowym i w gruncie rzeczy zbędnym eksplikacjom. Opisana norma jest jednym z głównych narzędzi heurystyki, stosowanym z powodzeniem od ponad sześciuset lat w najrozmaitszych dyscyplinach, od astronomii po zoologię.

Jako behawiorysta postanowiłem znaleźć najprostsze i najbardziej ekonomiczne wyjaśnienie czułych z pozoru zachowań Xephos. Nie chcąc mieszać w psychologię zwierząt pojęć, bez których z powodzeniem można się obyć, wciąż się

wzdragałem przed mówieniem o emocjach w odniesieniu do stworzeń innych niż ludzie. Owszem, kiedy Xephos doskoczyła do mnie w drzwiach, witając pana po powrocie z uniwersytetu, wyglądała na uszczęśliwioną moim widokiem. Niemniej drzemiący we mnie zwolennik ekonomii myślenia wołał dostrzec w jej zachowaniu związek między moim przyjściem a pojawieniem się jakiejś nagrody, na przykład spaceru albo kolacji. Wplątanie w tę sytuację czegoś tak krępującego jak emocje naruszyłoby schludne podstawy mojej wiedzy naukowej i pogwałciło zasadę brzytwy Ockhama.

Nie tylko ja byłem sceptycznie nastawiony do uwzględniania emocji w psychologii zwierząt. Wielu uczonych zajmujących się zwierzęcym behawiorem odrzucało tę koncepcję. Antrozoolog John Bradshaw i Alexandra Horowitz, specjalistka od psych procesów poznawczych, są zdania, że przypisywanie psom złożonych emocji w rodzaju poczucia winy prowadzi do nieporozumień i może przynieść naszym pupilom więcej szkody niż pożytku. Przykład pierwszy z brzegu: ludzie często karzą psy sprawiające wrażenie zawstydzonych, interpretując zachowanie tych nieszczęśników jako przyznanie się do winy. W rzeczywistości pozornie zawstydzona mina psa z całą pewnością tego nie oznacza – jest tylko wyrazem strachu przed reakcją wyraźnie rozgniewanego człowieka. Wyglądający na skruszonego pies nie rozumie, że zrobił coś złego: karanie go za ten postępek jest nierozważne, bezsensowne, a nawet okrutne.

Neurobiolog i psycholog Lisa Feldman Barrett posunęła się jeszcze dalej, twierdząc, że samo pojęcie emocji oraz słowa, których używamy na ich określenie, są wytworem człowieka, zakorzenionym wyłącznie w ludzkich systemach językowych. Opierają się zatem na semantyce, zapewne nieobecnej w komunikacji psowatych. Nasze mózgi konstruują emocje na podstawie przejściowych stanów fizycznych naszych ciał oraz naszych doświadczeń, w tym reakcji na innych ludzi używających konkretnych słów na opisanie swoich stanów wewnętrznych. Barrett przyznaje, że zwierzęta mogą doświadczać różnorodnych reakcji afektywnych, zarówno pozytywnych, jak i negatywnych – czegoś w rodzaju podstawowych „uczuć” gniewu, strachu, szczęścia i smutku –

zwraca jednak uwagę, że ich niezdolność do pojmowania kategorii lingwistycznych uniemożliwia twierdzenie, jakoby doświadczały konkretnych emocji *per se*.

Bez względu na to, do której teorii się przychylimy, specjaliści co do jednego są zgodni: z naukowego punktu widzenia zwierzęce emocje wciąż stanowią zagadkę – ziemię nieznaną i być może niemożliwą do poznania. Zaczęło mnie jednak nurtować przeczucie, że relację Xephos z ludźmi da się zrozumieć tylko przy założeniu, że suczka jest istotą zdolną do przeżywania emocji i kształtowania silnych więzi z przedstawicielami naszego gatunku. Nasunęło mi się też przypuszczenie, że ta zdolność nie ma sobie równych w całym świecie zwierzęcym.

Odnosząc się tak sceptycznie do twierdzeń innych uczonych, jakoby psy przejawiały jakąś szczególną formę inteligencji, w pełni zdawałem sobie sprawę, że występując z własną teorią na temat ich wyjątkowości, biorę na siebie ogromny ciężar dowodu. Skoro zamierzałem wykazać, że psy mają niezwykłą zdolność do nawiązywania emocjonalnej więzi z ludźmi, potrzebowałem danych, które wytrzymają próbę najsurowszej analizy. Nie zdziwiłbym się, gdyby część naukowców odniosła się do moich założeń równie sceptycznie jak ja do cudzych konkluzji.

Zacząłem więc zbierać informacje na poparcie swej hipotezy. Jak się okazało, nie musiałem daleko szukać.

Choć współcześni behawioryści nie lubią mówić o zwierzęcych emocjach, sławny rosyjski uczony, poniekąd ojciec behawioryzmu, nie miał podobnych uprzedzeń. Zwrócił uwagę, że psy zdają się nawiązywać silne relacje uczuciowe z ludźmi – i zamiast wzdragać się przed tą konkluzją, uczynił z niej główny przedmiot swoich badań.

Każdy student, który przeżył pierwszy rok psychologii, słyszał o Iwanie Piotrowiczu Pawłowie. To ten gość, który dowiódł, że psy ślinią się na widok pokarmu. (Irlandzki dramaturg George Bernard Shaw odpalił w odpowiedzi, że „był policjant wie tyle o psach”)^[1]. Zaobserwowane zjawisko – które, jak uczą się studenci, Pawłow prezentował, dzwoniąc dzwonkiem tuż

przed podaniem psom karmy, aż do momentu, kiedy psy zaczęły się ślinić na sam dźwięk dzwonka – było przykładem tak zwanego warunkowania klasycznego, zwanego też pawłowowskim. Warunkowanie klasyczne, czyli forma uczenia się przez skojarzenie neutralnego sygnału z konsekwencją istotną dla zwierzęcia, zostało wykorzystane przez Johna Pilleya w szkoleniu Chaser, która opanowała w ten sposób nazwy 1200 zabawek. To wciąż najistotniejsze narzędzie w niezbędniku każdego trenera i zasadniczy element psich relacji z człowiekiem.

Za sprawą powtarzanej w nieskończoność historii o eksperymencie ze śliniącymi się psami Pawłow zyskał dość jednostronną sławę – tymczasem sam był człowiekiem bardzo skomplikowanym. Przez osiemdziesiąt lat po jego śmierci właściwie nic o nim nie wiedzieliśmy; dopiero znakomita, niedawno wydana biografia pióra Daniela Todesa rzuciła światło na życie i karierę tego wielkiego uczonego^[2]. Większość odkryć Todesa burzy pokutujące od niemal stulecia mity na temat Pawłowa. Todes ustalił między innymi, że w żadnym ze swoich eksperymentów nie używał on dzwonka (w rzeczywistości chodziło o brzęczyk). Przede wszystkim jednak biograf ujawnił, że Pawłow uważał swoje psy za jednostki obdarzone emocjami i osobowością; imiona, które im nadawał, odzwierciedlały specyficzne cechy ich charakteru.

Teza, że psy mają emocje, wpłynęła też na jego słynne eksperymenty. Autorzy podręczników poświęcają wiele miejsca na opis laboratorium Pawłowa w Petersburgu, zaprojektowanego z myślą o jego badaniach. Spektakularna, wciąż istniejąca budowla jest znana pod nazwą Wieża Milczenia, Pawłow bowiem dołożył wszelkich starań, żeby odizolować psy od bodźców zewnętrznych. Na zdjęciach widać psy testowane w specjalnych komorach dźwiękoszczelnych; osoba prowadząca eksperyment przebywa w sąsiednim pomieszczeniu, oddzielonym od komory podwójną szybą. Kliniczny chłód wewnątrz łagodziły jednak silne więzi emocjonalne między Pawłowem a jego psami. Todes potwierdza, że Pawłow nie dopuszczał do bezpośrednich kontaktów swoich studentów ze zwierzętami –

sam jednak towarzyszył psom wewnątrz komory. Wiedział, że jego obecność działa na nie odprężająco.

Pawłow też potrzebował towarzystwa. Od roku 1914 aż do śmierci w 1934 jego prawą ręką była Maria Kapitonowna Pietrowa. Zaczynała jako studentka wielkiego uczonego, z czasem jednak znalazła się w grupie jego najbliższych współpracowników, bezpośrednio zaangażowanych w badania nad warunkowaniem, którym Pawłow zawdzięcza swoją sławę. Dziś prawie całkiem zapomniana, za życia cieszyła się dużym autorytetem. Od przejścia Pawłowa na emeryturę w 1935 roku aż do czasu, kiedy sama wycofała się z aktywności zawodowej w wieku sześćdziesięciu sześciu lat, kierowała Wieżą Milczenia, a w roku 1947 została laureatką Nagrody Stalinowskiej w dziedzinie nauki.

Pietrowa była nie tylko główną kontynuatorką myśli badawczej Pawłowa, lecz także jego kochanką. Oboje siadywali razem w psich komorach dźwiękoszczelnych, szepcząc sobie na ucho o szczegółach eksperymentów i innych sprawach. Niejednemu psu zdarzało się zasnąć w oczekiwaniu na rozpoczęcie testu – biada studentowi, który wtargnął niechcący do komory i nakrył Pawłowa na intymnej konwersacji z Pietrową.

Pawłow, biolog z krwi i kości, tłumaczył każde zachowanie jako odruch – dlatego zaobserwowaną u psów (i u siebie samego) potrzebę towarzystwa nazwał „odruchem społecznym”. Jeden z zaledwie dwóch amerykańskich studentów Pawłowa, W. Horsley Gantt, prowadził pod jego okiem badania nad tym zjawiskiem. Mocował do klatki piersiowej psa czujnik do pomiaru częstości rytmu serca. Ilekroć ktoś wchodził do pomieszczenia, rytm psiego serca przyspieszał w niespokojnym oczekiwaniu; jeśli jednak człowiek pogłaskał psa, tętno wracało do poziomu spoczynkowego^[3].

Trafiłem na ten zapomniany rozdział badań Pawłowa wkrótce po tym, jak zacząłem szukać danych na potwierdzenie mojej wykluwającej się dopiero teorii na temat źródeł psiej wyjątkowości. Odkrycie Pawłowa, że pies reaguje fizycznie na obecność człowieka, pod pewnymi względami należało do prehistorii nauki – podsunęło mi jednak piękny przykład

intrygującej reakcji emocjonalnej, którą miałem nadzieję się zająć we własnych badaniach. Tak więc wspólnie z moją była studentką Ericą Feuerbacher, teraz profesor Virginia Tech University, zaplanowaliśmy cykl eksperymentów nawiązujących do okrytych mgłą niepamięci badań Pawłowa i Gantta nad wpływem ludzkiej obecności na psy. Chcieliśmy się przekonać, jak ważne dla psa jest przebywanie z bliską mu osobą. Zamierzaliśmy poniekąd zmierzyć siłę reakcji emocjonalnej na człowieka – zaobserwowanej kilkadziesiąt lat temu przez Pawłowa i Gantta.

Postanowiliśmy uprościć ich taktykę badawczą. Zamiast śledzić zmiany częstości rytmu serca, przyjęliśmy bezpośrednią metodę oceny zachowań psów. Ściślej, zamierzaliśmy dać im wybór między towarzystwem człowieka a czymś równie, a może bardziej dla nich atrakcyjnym: jedzeniem. W naszych pierwszych testach dawaliśmy psu prostą alternatywę: chcesz trącić nosem rękę, żeby dostać smakołyk, czy w nagrodę za to samo wolisz, żeby ktoś cię delikatnie podrapał pod szyją i powiedział ci, że jesteś dobrym pieskiem? W praktyce okazało się to równie proste: kiedy pies trącał nosem prawą dłoń Eriki, albo dawała mu kasek z lewej ręki, albo drapała go pod szyją oburącz i mówiła „dobry piesek”. W innych testach Erica nagradzała psy smakołykiem lub pieszczotą przez dwie minuty na przemian; w jeszcze innych dawała psom wybór między dwiema osobami – jedna dawała im jedzenie, druga drapała je pod szyją.

Zaczęliśmy od psów schroniskowych, które nieczęsto miawały gości i naszym zdaniem mogły być tym bardziej zainteresowane pochwałą i drapaniem pod szyją. Kiedy wyniki testu nie pokryły się z naszymi oczekiwaniami, kontynuowaliśmy eksperyment z udziałem psów domowych oraz ich właścicieli. Wyszliśmy z założenia, że na dźwięk czulej przemowy troskliwego opiekuna pies będzie wołał głaskanie. Rezultat był jednak wciąż taki sam: zwierzaki chętniej wybierały smakołyk niż pieszczotę i pochwałę. Wszystkie testowane psy bez wyjątku – schroniskowe kundły i wymuszkane domowe pupilki – przedkładały jedzenie nad uwagę ze strony człowieka^[4].

Z perspektywy lat nie mam już pewności, czy prawidłowo przeprowadziliśmy ten eksperyment. Myślę, że oboje z Ericą tak bardzo lubimy przebywać w towarzystwie psów – przekonani, że psy odwzajemniają to uczucie – że przeoczyliśmy pewien istotny szczegół: otóż pies, który już się znalazł przy człowieku, może zrezygnować z dodatkowej pieszczoty na rzecz trudniej dostępnego smakołyku.

Z czasem jednak nasze badania stały się bardziej skomplikowane. Okazało się, że psy w mig zmieniły preferencje, kiedy przestaliśmy hojnie szafować kąskami i przed każdą kolejną chrupką Natural Balance kazaliśmy im odczekać kilka sekund; za to drapanie pod szyją dostawały natychmiast. Zaczęły spędzać coraz więcej czasu z osobą, która je pieści i chwali – przedkładając ją nad tę, która ociagała się z rozdawaniem smakołyków. W ten sposób udowodniły, że naprawdę im zależy na ludzkich pochwałach. Mając do wyboru osobę, która wydziela im kąski co piętnaście sekund, oraz taką, która z miejsca drapie je pod szyją i szepcze w ucho czułe słówka, psy wołały człowieka, który je pieści, niż opieszałego rozdawcę smacznych kąsków.

Pomyśleliśmy nad tym dłużej i doszliśmy do wniosku, że psy uczestniczące w naszym badaniu i tak czerpały przyjemność z towarzystwa ludzi, którzy byli obecni zawsze, nawet jeśli nie drapali pod szyją. Poza tym zaczęliśmy racjonować smakołyki: trzymaliśmy je w torebkach i wydzielaliśmy psom po jednej sztuce, w określonym momencie eksperymentu. Niewykluczone, że dla psa, który lubi przebywać z ludźmi, liczy się samo nasze towarzystwo, a czułe słówka i drapanie pod szyją niewiele już wnoszą do obrazu sytuacji. W kolejnym, bardziej miarodajnym eksperymencie postanowiliśmy wydzielać psom ludzi (tak jak poprzednio ograniczyliśmy im dostęp do jedzenia), żeby się przekonać, jak zareagują na obecność bliskiej osoby po dłuższym rozstaniu połączonym z przerwą w dostępie do karmy. Zaczęliśmy się głowić, jak przeprowadzić takie badanie.

Kiedy już wszystko obmyśleliśmy, reszta poszła jak z płatka. Erica zaangażowała kilkoro pomocników, którzy mieli własne psy, ale musieli zostawiać je w domu przed wyjściem do pracy. Niestety, dość łatwo zebrać taką grupę ludzi. Był tylko jeden

warunek: wszyscy ochotnicy musieli dysponować garażem połączonym bezpośrednio z częścią mieszkalną domu.

Pod koniec dnia, kiedy każdy z uczestniczących w badaniu psów spędził już wiele godzin w samotności, Erica rozpoczynała test w garażu obok domu właściciela. Przy drzwiach prowadzących do części mieszkalnej rysowała dwa znaki – obydwa w tej samej odległości od drzwi i pod tym samym kątem z punktu widzenia obserwatora zagląającego przez drzwi do środka garażu. Następnie przytwierdzała linkę do klamki i powierzała asystentowi zadanie otwarcia drzwi w taki sposób, żeby pies nie widział, jak pociąga za sznurek.

Zanim asystent otworzył drzwi, przy jednym znaku umieszczała miskę pysznej psiej karmy, przy drugim zaś polecała stanąć właścicielowi psa. Właściciel przebywał poza domem pełne osiem godzin: przez ten czas pies nie miał dostępu do jedzenia. Był więc w równej mierze pozbawiony dwóch ważnych dla siebie rzeczy.

Mieliśmy przed sobą niezłą zabawę. Kiedy asystent otworzył drzwi, a pies zobaczy właściciela i miskę z karmą – dwie rzeczy, do których nie miał dostępu przez osiem godzin, umieszczone w tej samej odległości od obserwatora – co wybierze? Ukochanego pana czy pyszne jedzenie?

Asystent otwierał drzwi.

Każdy pies – kiedy tylko usłyszał, że samochód zajeżdża pod dom – prawie natychmiast rzucał się w objęcia właściciela. Przez chwilę więc był wyraźnie zdezorientowany, że nie widzi nikogo po drugiej stronie drzwi. Ale w mgnieniu oka dostrzegał panią lub pana i ruszał na powitanie, merdając ogonem, przypadając do ziemi albo skacząc w górę, żeby polizać swojego człowieka po twarzy. Krótko mówiąc, nie posiadał się ze szczęścia, że pod koniec dnia spędzonego w samotności doczekał się wreszcie spotkania z bliską mu osobą.

Na tym etapie eksperymentu wydawało się całkiem prawdopodobne, że biedny psiak nie zauważył miski z jedzeniem. Z czysto technicznego punktu widzenia nasz test był obarczony pewnym błędem: uczestniczące w badaniu osoby były znacznie większe niż miski z karmą. Ale już wkrótce, po wykonaniu kilku okrążeń wokół właściciela, pies dostrzegał

drugą nagrodę. Z początku tylko na nią spoglądał – w porównaniu z okazją do przywitania pana jedzenie w ogóle się nie liczyło. Prędzej czy później podbiegał jednak do miski, żeby obwąchać jej zawartość – ale po krótkiej chwili wracał do właściciela. Mając do wyboru pana albo jedzenie, bez wahania wybierał to pierwsze.

Za każdym razem dawaliśmy psu dwie minuty na dokonanie wyboru między człowiekiem a jedzeniem. W pierwszej rundzie eksperymentu żaden pies nie okazał prawdziwego zainteresowania karmą.

Powtarzaliśmy test codziennie przez tydzień – z upływem czasu psy rozgryzły nasz spisek i zaczęły podjadać karmę z miski. Ilekroć właściciel miał wrócić do domu, Erica i jej asystent wyznaczali dwa punkty na podłodze, przy jednym umieszczali miskę z jedzeniem, przy drugim człowieka (nie zawsze w tym samym punkcie, żeby pies nie przyzwyczaił się do konkretnego ustawienia), po czym asystent otwierał drzwi i czekał, aż pies dokona wyboru. Po kilku dniach psy zorientowały się, o co chodzi. Wciąż w pierwszej kolejności witały się z człowiekiem, ale zaczęły podbiegać do miski, żeby nachapać się, ile wlezie, po czym wrócić do pana i dalej się z nim witać.

Choć psy witające właściciela zaczęły z czasem podskubywać karmę z miski, eksperyment wykazał jasno, że możliwość kontaktu z bliską osobą jest dla psa równie cenną nagrodą jak jedzenie. Mało tego: psy zmuszone do wyboru między pełną miską a towarzystwem swojego pana, przeważnie decydują się na to drugie. Oczywiście, z czasem uspokajają się w obecności człowieka i zaczynają jeść – właściwie cóż w tym złego? To wcale nie znaczy, że człowiek nie jest ważny: pies po prostu nie spodziewa się nagłego odejścia swojego pana.

Tak czy inaczej, zachowanie wszystkich psów uczestniczących w naszym tygodniowym eksperymencie okazało się koronnym dowodem na potęgę ich więzi z człowiekiem – dzięki temu ujrzałem także moją relację z Xephos w całkiem nowym świetle. Nieważne, ile razy suczka witała mnie wylewnie, gdy wracałem z pracy – zawsze dręczyły mnie wątpliwości, czy naprawdę cieszy się na mój widok, czy po

prostu nie może się doczekać kolacji. Eksperyment Eriki z drzwiami do garażu dał mi ostateczną odpowiedź na to pytanie. Xephos rzeczywiście cieszyła się z naszego spotkania; nie działała z żadnych innych, a przynajmniej nie tylko z niskich pobudek.

Co jednak tkwiło u źródła jej podekscytowania? Zdawałem sobie sprawę, że test Eriki, aczkolwiek zgrabnie pomyślany, dowiódł tylko, że Xephos zależy – ale już nie dlaczego, a ściślej, w związku z czym jej zależy. Żeby znaleźć odpowiedź na to pytanie, musielibyśmy przeprowadzić całkiem inny eksperyment.

Za badaniami Eriki stała chęć zrozumienia więzi łączącej psa z człowiekiem. Jej kolejny eksperyment wyjaśnił ją wszakże w dość nieoczekiwany sposób. Tym razem Erica dała psom wybór między dwiema osobami: właścicielem i obcym człowiekiem. Gdyby twój pies miał wybierać między tobą a nieznajomym, z kim twoim zdaniem spędziłby więcej czasu? Jeśli uznasz, że z tobą, będziesz zdumiony wynikiem eksperymentu Eriki, która postawiła psy przed takim właśnie wyborem i przekonała się, że w znajomym otoczeniu psy wolą spędzić czas z kimś obcym.

Rezultat może się wydać zaskakujący – czy aby na pewno twój pies ceni cię wyżej niż jakiegoś przypadkowego faceta z ulicy? – ale w rzeczywistości w pełni pokrywa się z czymś, co psychologowie określają mianem „efektu bezpiecznej przystani”, świadczącego o silnym przywiązaniu do rodzica lub opiekuna.

W latach 60. i 70. Mary Ainsworth, słynna pionierka psychologii rozwoju człowieka, opracowała naturalny, lecz niezwykle miarodajny test więzi łączącej dziecko (przeważnie w wieku poniżej dwóch lat) z opiekunem (zwykle matką). Celem tak zwanej procedury obcej sytuacji była ocena relacji małego dziecka z matką w okolicznościach krótkiej separacji od opiekuna.

Eksperyment Ainsworth polegał na umieszczeniu matki razem z dzieckiem w nieznanym pomieszczeniu. Na początku dziecko mogło swobodnie poznawać otoczenie pod okiem matki;

następnie matka wychodziła z pokoju bez uprzedzenia, zostawiając dziecko z obcą osobą. Większość maluchów reagowała na to płaczem. Matka po chwili wracała, ale później znów zostawiała dziecko, tym razem zupełnie samo, bo wychodziła z pokoju razem z obcym. Zanim zdążyła wrócić, do pomieszczenia wkraczał nieznajomy. Test kończył się ostatecznym powrotem matki.

Ainsworth odkryła, że dzieci reagują na separację i powrót matki w zależności od stylu łączącej ich więzi. Maluchy połączone z matką „bezpieczną więzią” odważnie eksplorowały otoczenie w jej obecności, traktując ją jako „bezpieczną przystań”, z której ruszały na podbój świata. Takie dzieci reagowały płaczem na opuszczenie, ale z radością witały powrót matki i szybko uspokajały się w jej obecności. Tymczasem dzieci, których relację z opiekunem Ainsworth określiła mianem „więzi lękowej”, z reguły nie przejmowały się odejściem matki i reagowały obojętnie na jej powrót; niektóre okazywały negatywne emocje jeszcze przed wyjściem matki z pokoju, a po jej powrocie przywierały do niej kurczowo i nie dawały się pocieszyć^[5].

Procedura obcej sytuacji umożliwia miarodajną ocenę więzi łączącej dziecko z opiekunem – wprawdzie od dawna podejrzewano, że jakość tej więzi ma wpływ na późniejsze życie człowieka, ale dopiero Ainsworth opracowała metodę jej oszacowania. Test Ainsworth, przeprowadzany do dziś na tysiącach dzieci, daje wspaniały wgląd w subtelności relacji między dzieckiem a tak zwanym obiektem znaczącym.

Podstawowe założenia eksperymentu Ainsworth można bez trudu wykorzystać w badaniach nad więzią, która łączy psa z jego ludzkim obiektem znaczącym. W jednym z pierwszych badań na nowej fali zainteresowania relacją psów z ludźmi József Topál, współpracownik Ádáma Miklósiego przy Family Dog Project na Uniwersytecie Loránda Eötvösa w Budapeszcie, stanął na czele zespołu analizującego reakcje psów poddanych procedurze obcej sytuacji. Odkrycia węgierskich naukowców rzucają światło na więź psa z człowiekiem. Pozwalają też zrozumieć, dlaczego psy uczestniczące w eksperymencie Eriki

wolały spędzać czas w towarzystwie nieznanego niż bliskiej osoby.

Topál i jego koledzy przeprowadzili testy na pięćdziesięciu jeden psach dwudziestu ras, mniej więcej równo po połowie płci męskiej i żeńskiej. Psy miały od roku do dziesięciu lat, wszystkie więc były dorosłe – pomijając jednak przynależność gatunkową i wiek obiektów, przebieg eksperymentu pokrywał się niemal pod każdym względem z procedurą pierwotnych badań Ainsworth. Zespół Topála przeprowadził test obcej sytuacji tak samo, jakby miał do czynienia z małymi dziećmi, przeznaczając po dwie minuty na każdy etap.

Topál stwierdził, że procedura opracowana z myślą o dzieciach ludzkich okazała się równie skuteczna w ocenie więzi łączących psy z ich właścicielami. Wszystkie zwierzęta uczestniczące w badaniu traktowały swoich właścicieli jako bezpieczną przystań – podobnie jak dzieci połączone bezpieczną więzią z rodzicami. Każdy z psów odważnie eksplorował otoczenie i bawił się chętniej w obecności swojego pana. Kiedy właściciel zniknął, psy zdradzały wyraźny niepokój i stały przy drzwiach w oczekiwaniu, aż znów się pojawi. Kiedy wracał, nie posiadały się z radości, natychmiast wchodziły z nim w kontakt fizyczny i z początku starały się spędzać jak najwięcej czasu w jego towarzystwie. Uczni doszli do wniosku, że ten wzorzec behawioru, podobny do zachowań małych dzieci, pozwala uznać, że psy są „związane” z ludźmi.

Odkrycia Węgrów idealnie korespondują z wynikami testów prowadzonych na Florydzie przez Ericę, które dowiodły, że psy przebywające w znajomym otoczeniu chętniej spędzają czas z osobą obcą niż z właścicielem. Obydwa badania sugerują, że relacje łączące psy z ludźmi przypominają najbardziej stabilne wzorce więzi między ludzkimi dziećmi a ich rodzicami. Psy, podobnie jak dzieci pozostające w bezpiecznej relacji ze swymi opiekunami, przywiązują ogromną wagę do obecności właścicieli. Pozbawione ich towarzystwa lub umieszczone w obcym otoczeniu przedkładają kontakt z bliską osobą nad motywację w postaci jedzenia.

Dociekając istoty psych stosunków z ludźmi, uznałem wyniki tych badań za mocne dowody w sprawie. Eksperymenty

ujawniły relację międzygatunkową, która zdradzała wszelkie cechy przywiązania. Odkryte wzorce zachowań pokrywały się z tym, co psychologowie obserwujący relacje ludzkich dzieci z ich rodzicami określają właśnie takim mianem.

Co jednak oznacza ta więź? Naukowe doświadczenie behawiorysty zwierzęcego oduczyło mnie wyciągania zbyt pochopnych wniosków – moje teorie i podejrzenia padły jednak na podatny grunt i nie dało się zaprzeczyć, że pierwsze uzyskane wyniki zdają się potwierdzać moją hipotezę. U źródła zachowań psów uczestniczących w eksperymentach leżała więź emocjonalna z człowiekiem.

Owszem, zafrapowały mnie te odkrycia, oparłem się jednak pokusie nadmiernego entuzjazmu. Prawdopodobnie zyskaliśmy przesłankę do stwierdzenia, że psy angażują się uczuciowo w związki z nami – ale to był dopiero początek. Jeśli chcieliśmy ustalić to ponad wszelką wątpliwość – a tym samym zakwestionować zasadę ekonomii myślenia – potrzebowaliśmy więcej dowodów.

Pawłow, Topál, Erica Feuerbacher, a przede wszystkim Xephos: wszyscy starali się mnie przekonać, że więź emocjonalna między psem a człowiekiem istnieje. Wciąż jednak nie przyjmowałem tych argumentów za pewnik. Do wysunięcia mojej hipotezy skłonił mnie instynkt miłośnika psów, rozumowałem wszakże jak sceptyk. Chciałem zachować ostrożność i skrupulatnie przetestować swoją teorię na temat istoty relacji psów z ludźmi, jakkolwiek zależało mi na jej potwierdzeniu.

Przed wszystkim zdawałem sobie sprawę, że przywilej mieszkania z człowiekiem dotyczy niewielkiej części psiej populacji. Niewykluczone, że behavior tych rozpieszczonych pupilków nie jest typowy dla całego gatunku. Czy stoi za nim fakt, że psy trzymane w domu traktujemy prawie jak dzieci?

Szacunkowa liczba psów na świecie (dokładnej zapewne nigdy nie poznamy) zbliża się do miliarda, z czego mniej więcej trzysta milionów to zwierzęta domowe. Spora część ludzkiej populacji mieszka w Ameryce Północnej, północno-zachodniej Europie i Australazji, gdzie w zasadzie (choć nie do końca) nie

ma bezpańskich psów. Wciąż jednak pozostają ogromne połacie naszego globu – między innymi Ameryka Środkowa i Południowa, wschodnia i południowa Europa oraz Azja – gdzie znacznie więcej psów bytuje na zewnątrz niż w czterech ścianach domów.

Jeśli chciałem sformułować jakiekolwiek wnioski na temat psa jako gatunku, nie zaś poszczególnych grup zwierząt żyjących w konkretnym środowisku, powinienem zbadać behavior psów bezpańskich, co było dość skomplikowanym przedsięwzięciem. Musieliśmy znaleźć sposób na odróżnienie psów, które wchodzi tylko w interakcję z ludźmi dla własnego dobra, od zwierząt, które naprawdę przywiązują się do człowieka. Ta subtelna, a mimo to istotna różnica wyszła na jaw podczas mojego niedawnego wyjazdu do Rosji.

W 2010 roku zahaczyłem o Moskwę w podróży badawczej. Miałem okazję spędzić fascynujący dzień w towarzystwie Andrieja Pojarkowa, profesora tamtejszego Instytutu Problemów Ekologii i Ewolucji im. Aleksieja Nikołajewicza Siewiercowa, jego dawnego ucznia, a obecnie współpracownika Aleksieja Wiereszczagina, oraz kilku studentów. Pojarkow niewiele publikuje w języku angielskim i jest dużo mniej znany na Zachodzie, niż na to zasłużył. Przekonałem się, że nie tylko dysponuje olbrzymią wiedzą kynologiczną, ale jest też człowiekiem o wielkim sercu, który z zapałem troszczy się o byt miejskich psów. Ochoczo podzielił się ze mną owocami swych wieloletnich, intensywnych badań nad moskiewskimi psami ulicznymi.

Profesor zajmuje się bezpańskimi psami w Moskwie od prawie trzydziestu lat, a ściślej od czasu, kiedy zaczęły pojawiać się tłumnie na stołecznych ulicach po upadku Związku Radzieckiego. Z naszej fascynującej rozmowy w instytucie badawczym przy moskiewskim ogrodzie zoologicznym, w której uczestniczyło też kilku studentów, dowiedziałem się mnóstwo o niedoli tych nieszczęsnych zwierząt przed transformacją ustrojową i po niej, zyskałem też pewien wgląd w losy moskwičan w czasach sowieckich. (Ja: Jak postępowano z bezdomnymi psami w czasach ZSRR? Pojarkow: Spędzano w jedno miejsce i jeśli przez dobę nikt się po nie nie zgłosił,

rozstrzeliwano. Pyskaty student: Tak samo jak bezdomnych ludzi).

Jeśli kiedykolwiek słyszeliście o ulicznych psach w Moskwie, pewnie obita wam się o uszy historia psów jeżdżących metrem. Zanim odwiedziłem stolicę Rosji, sam mniej więcej tyle wiedziałem o miejskich przybłędach. Zwierzęta z pierwszych stron gazet to jednak zaledwie ułamek populacji moskiewskich psów.

Psy nie bez powodu zbierają się na stacjach metra, nie chodzi im jednak o pociągi. W tych zatłoczonych miejscach szukają przede wszystkim ciepła i okazji do podjadania smakowitych kąsków po ludziach, którzy w drodze do domu kupują w kiosku kebab albo hot doga i zanim wejdą do windy albo na schody ruchome, wyrzucają resztki. Psom byłoby trudno dostać się na peron (metro moskiewskie jest wyjątkowo głębokie). Niewiele by skorzystały, schodząc na sam dół i pakując się do hałaśliwych, pędzących z zawrotną prędkością wagonów. Pojarkow szacuje liczbę moskiewskich psów ulicznych na mniej więcej trzydzieści pięć tysięcy. Jego zdaniem zaledwie „garstka” jeździ tramwajami. Andriej Nieuronow, inny rosyjski specjalista od psów, doliczył się raptem dwudziestu osobników jeżdżących regularnie metrem^[6]. Tak czy inaczej, statystyki dowodzą niezbicie, że psy wolą włóczyć się po ulicach i stacjach moskiewskiego metra niż urządzać sobie przejażdżki pociągami.

Tego samego wieczoru, po dniu spędzonym w zoo na rozmowach z Andriejem Pojarkowem, wybrałem się do centrum Moskwy szukać psów z Aleksiejem Wiereszczaginem. Asystent profesora reprezentuje młode pokolenie rosyjskich naukowców: wierne rodzimej tradycji badawczej, a zarazem zorientowane w najnowszych odkryciach uczonych z Zachodu. Oswoiłem się z widokiem bezpańskich psów w cieplejszych krajach, byłem jednak zaskoczony ich liczbą na tutejszych ulicach, gdzie już we wrześniu robi się naprawdę chłodno. Moskiewskie psy były duże i w większości porośnięte gęstym futrem – brudnym, skudlonym i sfilcowanym.

Na jednej ze stacji przesiadkowych podpatrzyliśmy ciekawą interakcję trzech mężczyzn z psem. Każdy miał w jednej ręce hot doga, a w drugiej butelkę piwa. Sądząc z tego, jak zataczali

się podczas kłótni, nie było to ich pierwsze piwo tego wieczoru. Między nogami plątał im się spory, niechlujny pies o długiej, poplątanej białej sierści, albo upstrzonej naturalnymi plamami, albo utytłanej w błocie. Nie zamierzałem podchodzić, żeby sprawdzić dokładniej. Wolałem stanąć na uboczu i poobserwować, co się między nimi wydarzy.

Wkrótce wyszło na jaw, że każdy z trzech facetów odnosił się do zwierzaka inaczej. Jeden sprawiał wrażenie zainteresowanego: co rusz odwracał się w stronę psa i był gotów oddać mu kawałek swojego hot doga. Drugi był ewidentnie wrogo nastawiony: ilekroć kundel się do niego zbliżał, próbował go kopnąć. Trzeciemu pies był całkowicie obojętny: zajęty jedzeniem i piciem, traktował go jak powietrze.

Obserwując tę scenkę, zdałem sobie sprawę, że psy uliczne muszą jeszcze bardziej uważać na ludzi niż domowi pupile, którzy przecież i tak są wyjątkowo wyczuleni na nasze działania. Większość psów domowych nie obawia się jednak ataku, tymczasem bezpańskie kundle mogą oberwać w każdej chwili. Byłem wstrząśnięty tym obrazem nędzy i niepewności, które dzień w dzień są udziałem mniej więcej trzech czwartych psów na świecie.

Gdzie indziej w centrum napatoczyliśmy się z Wiereszczaginem na dwa psy leżące przy budkach z jedzeniem. Kiedy stanęliśmy, żeby przez chwilę na nie popatrzeć, zaczęły warczeć; widząc, że nie ruszamy się z miejsca, wstały z ziemi i odeszły, popatrując na nas spode łba, aż znalazły się w bezpiecznej odległości. Ludzi, którzy nie mieli ze sobą nic do jedzenia i podeszli zbyt blisko, uznały za potencjalne zagrożenie, przed którym lepiej się mieć na baczności.

Zrozumiałem, że moskiewskie psy interesują się ludźmi ze względu na jedzenie – byłem jednak ciekaw, czy widzą w człowieku coś więcej niż talon na obiad. Niestety, za krótko byłem w Moskwie, żeby się o tym z Andriejem, Aleksiejem i ich zespołem przekonać; o ile mi wiadomo, nikt w Rosji nie prowadził podobnych badań. Szczęśliwie uczeni z innych krajów zaczęli wypełniać tę lukę.

Indie są kolejnym miejscem, w którym aż się roi od bezdomnych psów. Zespół uczonych z Indian Institute of Science Education and Research w Kalkucie, pod kierunkiem Anindity Bhadry, prowadził fascynujące badania nad tymi zwierzętami. Bhadra i jej współpracownicy zwrócili uwagę, że wałęsające się po ulicach psy są prawdziwym utrapieniem dla wielu mieszkańców: grzebią w śmieciach i rozwlekają je po okolicy, załatwiają potrzeby fizjologiczne na drogach i ścieżkach – co stwarza zagrożenie epidemiologiczne nawet w przypadku zdrowych zwierząt. Tymczasem większość bezdomnych psów nie jest zdrowa. Przybłędy bywają nosicielami wielu poważnych chorób, między innymi wścieklizny, która wciąż jest w Indiach przyczyną około dwudziestu tysięcy zgonów rocznie^[7]. Większość ofiar tej straszliwej choroby zaraziła się właśnie od psów. Jeśli dodać do tego nocne ujadanie, które zakłóca ludziom sen, pies jest w tym kraju nie lada szkodnikiem.

To tragiczne, ale bezpańskie psy w Indiach często są zabijane. Mogą zostać otrute albo załuczone na śmierć; dużo zwierząt ginie w wypadkach drogowych. Jednak też sporo ludzi o nie dba, zapewnia im pokarm i choćby prowizoryczne schronienie. Z punktu widzenia psa człowiek jest istotą skrajnie nieprzewidywalną. Suki często rodzą młode w pobliżu ludzkich siedzib, muszą więc w tym dostrzegać jakieś korzyści przeważające nad potencjalnym zagrożeniem ze strony naszego gatunku. Bezpańskie psy w Indiach także są biegłe w interpretacji ludzkich działań – opisany w pierwszym rozdziale test ze wskazywaniem palcem zaliczają bez trudu.

Zważywszy na brutalne nieraz traktowanie indyjskich psów ulicznych, nie zdziwiłbym się, gdyby miały co najmniej ambiwalentny stosunek do człowieka^[8]. Chciałem się dowiedzieć, jak jest naprawdę. Czy boją się ludzi, czy też do nich lgną? A jeśli jesteśmy dla nich ważni, czy zdradzają podobne oznaki przywiązania, jakie uczeni zaobserwowali u zwierząt żyjących pod opieką ludzi?

Testowanie bezpańskich psów jest znacznie trudniejsze niż prowadzenie eksperymentów z udziałem psów domowych i schroniskowych – tym bardziej zaskoczyło mnie sprawozdanie z przełomowych badań Debottama Bhattacharjee, studenta

z zespołu Bhadry, który postanowił sprawdzić, co te przybłędy do nas czują.

Naukowcy wyruszyli do trzech miejsc w Kalkucie i innych okręgach Bengalu Zachodniego w poszukiwaniu bezdomnych samotników. Część psich włóczęgów łączy się w stada (ludzie często określają je mianem watah, unikałbym jednak tego terminu, psie stada mają bowiem luźniejszą strukturę niż stabilne watahy formowane przez wilki), inne prowadzą samotny tryb życia; Bhattacharjee postanowił skupić się na tych drugich, żeby prowadzić badania na pojedynczych osobnikach. Członkowie zespołu Bhattacharjee dawali psom wybór między kawałkiem jedzenia położonym na ziemi i trzymanym w ręce przez człowieka. Co dało się przewidzieć, większość bała się obcych ludzi i wołała jeść z ziemi – nie była jednak w zdecydowanej przewadze. Prawie czterdzieści procent psów podchodziło do nieznanego człowieka i brało jedzenie prosto z ręki.

Rezultat był dość zaskakujący, ale kolejny test przeprowadzony przez współpracowników Bhattacharjee dał jeszcze ciekawsze wyniki. Uczniowie wypróbowali na bezpańskich psach dwie oddzielne czynności. Albo dawali psu kasek, albo klepali go trzy razy po łbie. Na każdym psie powtórzyli ten test sześciokrotnie, rozkładając badanie na kilka tygodni. Eksperyment opierał się na bardzo prostej zasadzie: część psów była wielokrotnie karmiona, druga część – wielokrotnie klepana po głowie. Na zakończenie badacze proponowali smakołyk psom z obydwu grup, po czym sprawdzali, ile czasu zajmie im podejście do człowieka i wzięcie od niego jedzenia.

Ku powszechnemu zdumieniu eksperyment Bhattacharjee i jego współpracowników wykazał, że psy regularnie klepane po łbie przez dwa tygodnie podchodziły do człowieka szybciej i chętniej brały jedzenie z ręki niż psy regularnie karmione. W świetle tych spektakularnych i nieoczekiwanych rezultatów badacze doszli do wniosku, że „nagroda społeczna skuteczniej buduje więź między bezdomnym psem a obcym człowiekiem niż nagroda w postaci pokarmu”^[9]. Psy badane przez Bhattacharjee – podobnie jak psy uczestniczące w eksperymencie Eriki, którym dawano wybór między powitaniem właściciela a miską pełną

jedzenia – zdawały się przywiązywać większą wagę do interakcji z ludźmi.

Oględnie mówiąc, nie spodziewałem się takich rezultatów. Wprawdzie Xephos wciąż pokazuje ludziom, jacy są dla niej ważni – ale na podstawie swoich dotychczasowych obserwacji bezpiecznych psów, między innymi w Moskwie, nie podejrzewałem u nich podobnych zachowań. Nie sądziłem, że kontakty społeczne z ludźmi okażą się tak atrakcyjne dla psich pariasów: włóczących się po ulicach miast, traktowanych jak najgorsze szkodniki, wyłapywanych i przeznaczanych do likwidacji. Sam fakt, że bezdomne psy w Indiach pozwalają się głaskać, wydał mi się dość zaskakujący, ale że łatwiej można zdobyć ich zaufanie pieszczotą niż regularnym karmieniem – to już była prawdziwa sensacja. Wynikałoby stąd, że pozytywny kontakt społeczny z przedstawicielami naszego gatunku może mieć ogromne znaczenie dla psów, nawet tych, które nie wykształciły bezpiecznej więzi z konkretnym człowiekiem. Istniało też duże prawdopodobieństwo, że „odruch społeczny” – jak nazywał to Pawłow – jest podstawową determinantą ich zachowań, silniejszą niż chęć zdobycia pokarmu.

Odkrycie Bhattacharjee było tym bardziej niezwykle, że jedzenie stanowi dla tych zwierząt główną motywację (o czym wie każdy właściciel psa), a już zwłaszcza dla wymizierowanych kundli, żyjących z dnia na dzień na ulicach miast. Trudno wyobrazić sobie lepszy prezent dla kogoś, kto wszędzie szuka dowodów na potwierdzenie tezy, że ludzie są dla psów ważni.

O ile jednak indyjscy badacze pod kierunkiem Bhadry zdołali dowieść, że psy potrzebują „nagród społecznych”, o tyle nie zaprzęтали sobie głowy wyjaśnianiem, dlaczego tak jest. Ściślej, nie podsunęli żadnych sugestii, dlaczego socjalizacja z człowiekiem jest tak atrakcyjna dla psa. Psy najwyraźniej szukały wsparcia w kontaktach z człowiekiem. Skąd się jednak to bierze, że tak rozkwitają w naszej obecności? Czy ten nieodparty pociąg do ludzi charakteryzuje wyłącznie psy?

Wspominałem już wcześniej, że behawiorystom przypisuje się ignorowanie zwierzęcych emocji – po części słusznie. Dlatego zakrawa na ironię, że gdy postanowiłem za wszelką cenę

dotrzeć do źródła wyjątkowej relacji między psem a człowiekiem, we właściwą stronę popchnęła mnie właśnie behawiorystka.

Mariana Bentosela jest badaczką zatrudnioną w Consejo Nacional de Investigaciones Científicas y Técnicas w Buenos Aires. Przyjechała na Uniwersytet Florydy na kilka tygodni rzekomo po to, żeby opanować kilka naszych technik badawczych. Skończyło się na tym, że my nauczyliśmy się znacznie więcej od niej niż ona od nas.

Mariana także pasjonowała się kwestią szczególnego zachowania psów: potrafiliśmy dyskutować o tym do późna w nocy i zwierzać się z trudności napotkanych w naszej dotychczasowej pracy. Próbowaliśmy wówczas obmyślić prostą i wiarygodną metodę oceny, w jakim stopniu pies jest zainteresowany ludźmi. Dzięki swoim badaniom nad reakcjami psów domowych i schroniskowych, które dostały wybór między towarzystwem człowieka a jedzeniem, Erica dała nam wgląd w psie odczucia wobec ludzi; to samo dotyczy Bhattacharjee, który badał reakcje bezpańskich psów w Indiach na osoby, które je pieściły albo karmiły. Obydwa eksperymenty były jednak dość pracochłonne. Czy był jakiś prostszy sposób – możliwy do zastosowania w każdych okolicznościach – żeby ocenić stopień porozumienia psa z człowiekiem?

Niezależnie od naukowego zainteresowania istotą wyjątkowości psów dzieliliśmy z Marianą troskę o dobrostan zwierząt w schroniskach – miejscach reprezentujących mroczną stronę naszej relacji międzygatunkowej. Próbowaliśmy dociec, na czym polega różnica między psami, które bez trudu znajdują dom, a nieszczęśnikami, które męczą się w boksach przez wiele miesięcy, a nawet lat, o ile pracownicy azylu nie podejmą decyzji o ich uśpieniu.

Personel schronisk i obrońcy praw zwierząt korzystają z najrozmaitszych testów, żeby określić psią osobowość. W niektórych przypadkach próbują ustalić, czy dany pies ma szansę na adopcję; czasem starają się wyciągnąć ogólniejsze wnioski na temat zwierząt, które z tych bądź innych powodów powinny trafić do konkretnej rodziny. Ale wszystkie te testy, podobnie jak eksperymenty prowadzone przez Ericę

i Bhattacharjee, są dość skomplikowane. Mariana zapoznała się z ich założeniami, po czym zaczęła się zastanawiać, czy nie ma jakiejś prostszej metody na sprawdzenie, czy pies dobrze rokuje jako zwierzę domowe.

Mariana i jej studenci z Buenos Aires opracowali test cudowny w swej prostocie. Ustaw krzesło na pustej, otwartej przestrzeni. Narysuj wokół niego okrąg o promieniu jednego metra. Poproś kogoś, żeby posiedział na krześle przez dwie minuty, i zmierz, ile tego czasu pies spędził wewnątrz okręgu. Mariana przeprowadziła ten test już wcześniej na kilku psach w Argentynie i doszła do wniosku, że pozwala on trafnie określić różnicę między psem towarzyskim – łatwym do ułożenia – a psem, który będzie miał kłopot z przystosowaniem się do nowych warunków. Zademonstrowała nam swój test kilkakrotnie na Florydzie, aby pokazać, że psy towarzyskie spędzają większość czasu z człowiekiem, wewnątrz okręgu. Psy nietowarzyskie wolą pozostać na zewnątrz.

Uwielbiam proste eksperymenty, dużo łatwiej podsumować ich wyniki, znacznie trudniej je schrzanić. Siedzenie na krześle nie wymaga jakichś szczególnych umiejętności, obliczenie czasu spędzonego przez psa wewnątrz okręgu też nie jest wielką filozofią. Uznałem, że test Mariany może się bardzo przydać psom w schroniskach. Kiedy zobaczyłem, że sprawdza się także na wilkach z Wolf Park w stanie Indiana, zacząłem doceniać jego niewiarygodny potencjał dla moich własnych badań nad więzią łączącą psy z ludźmi.



Autor powtarza test towarzyskości na swojej suczce Xephos

Przed wizytą na Florydzie Mariana przeprowadziła mnóstwo badań na psach, nigdy jednak nie spotkała się bezpośrednio z wilkiem. Ja i Monique Udell zabraliśmy ją zatem w następną podróż do Wolf Park. Do końca naszego pobytu udało nam się wykonać wszystkie zaplanowane zadania, spytaliśmy więc Marianę, czy też chciałaby czegoś spróbować. „Może zrobię swój prosty test na towarzyskość?” – odparła. Tak tylko, dla zabawy.

Do tej pory nie zastanawiałem się nad implikacjami testu Mariany w kontekście naszych rozmów o istocie wyjątkowości psów – kiedy jednak zasugerowała, żeby przeprowadzić go na wilkach, uświadomiłem sobie, że być może dostaliśmy do ręki bardzo ciekawą metodę oceny stopnia uspołecznienia tych zwierząt w porównaniu z ich udomowionymi kuzynami. Pracownicy i wolontariusze Wolf Park, szczególnie wyczuleni na te różnice, często zwracali uwagę, że ich dzicy podopieczni – choć bywają bardzo serdeczni wobec znajomych ludzi i zdarza im się nawet ich „całować” – w przeciwieństwie do psów nie

sprawiają wrażenia otwartych na wszystkich przedstawicieli naszego gatunku. Dzięki testowi Mariany moglibyśmy precyzyjnie określić stopień ich zainteresowania ludźmi. Fascynująca perspektywa!

Zabraliśmy się do dzieła: sadzaliśmy kogoś na odwróconym kubie i zostawialiśmy go samego na wybiegu z wilkiem. Tak samo jak w teście z udziałem psów, dawaliśmy wilkowi dwie minuty na ewentualne podejście do człowieka na odległość mniejszą niż metr. I jak poprzednio, pracowaliśmy na przemian z ludźmi znanymi zwierzętom i z osobami zupełnie obcymi.

Rezultat okazał się więcej niż spektakularny. Jak już wcześniej wspomniałem, wilki z Wolf Park są wyjątkowo dobrze oswojone z człowiekiem. Większość z nich można bez żadnego ryzyka przedstawić całkiem nieznanemu osobie. Właśnie takie wilki wzięły udział w naszym teście: przyjaźnie nastawione, a zarazem pełne majestatu. W eksperymencie Mariany nie próbowały uciekać przed obcymi – szczęśliwie nie zdradzały też żadnych oznak wrogości wobec ludzi. Nie miały jednak szczególnej ochoty na bliższy kontakt z nieznanymi. Przeważnie nie podchodziły do osoby siedzącej na kubie na mniej niż metr.

Kiedy jednak do zagrody wkraczał ktoś znajomy, wilki okazywały mu znacznie większe zainteresowanie. Podbiegały do dyrektora parku Dany Drenzek – młodej kobiety, z którą miały do czynienia od małego – i spędzały w jej towarzystwie mniej więcej pół minuty. W pozostałym czasie zajmowały się swoimi sprawami na zewnątrz kręgu.

Zachowywały się całkiem inaczej niż psy. Psy testowane pod okiem Mariany spędzały więcej czasu blisko obcej osoby niż wilki w towarzystwie człowieka, którego znały przez całe życie. Ilekroć pies rozpoznał w człowieku siedzącym na krześle swojego właściciela, nie odstępował go na krok.

Na ówczesnym etapie naszych badań mieliśmy już za sobą wiele wypraw do Wolf Park; wysuwane przez innych uczonych dowody na różnice między psami i wilkami rozwiewały się, ilekroć postanawialiśmy je zweryfikować. Po prostu nie byliśmy w stanie potwierdzić ich odkryć. W rezultacie zyskaliśmy opinię badaczy, którzy nie dostrzegają żadnych istotnych różnic między

tymi zwierzętami. Oczywiście to nieprawda, nie da się jednak zaprzeczyć, że każda próba weryfikacji odkrytych odmienności kończyła się fiaskiem.



Dana Drenzek, szefowa Wolf Park, przeprowadza test towarzyskości na jednym z wilków

Tym razem jednak znaleźliśmy rozbieżność – i to fundamentalną. Nie chodziło bynajmniej o odmienną inteligencję albo procesów poznawczych, tylko o coś znacznie istotniejszego: różnicę w chęci zbliżenia się do człowieka. Coś w nas wyraźnie przyciąga psy. Pytanie, co to takiego.

Gdybym miał sobie wybrać dewizę zawodową, byłoby to hasło „zachowaj ostrożność”. Uważam, że pogłębianie rzetelnej wiedzy naukowej wymaga krytycznego oglądu, nawet w przypadku twierdzeń, które brzmią w pełni wiarygodnie.

Odnosi się to zwłaszcza do spraw szczególnie bliskich mojemu sercu – a mało co jest mi bliższe niż psy, stworzenia niezwykle, którym poświęciłem swoją karierę i z którymi dzielę swój dom.

Kiedy prowadziłem badania nad szczurami, gołębiami, a nawet torbaczami – jakkolwiek są to zwierzęta fascynujące i nieraz bardzo sympatyczne – nie musiałem się obawiać, że moje osobiste odczucia wezmą górę nad przygotowaniem naukowym. Pracując jednak z psami, które często przemawiają wprost do moich emocji, powinienem liczyć się z ryzykiem, że uczucia zaciemnią mój naukowy obiektywizm.

Musiałem zrobić krok wstecz i przyjrzeć się wszystkiemu z dystansu. Uznałem, że psie reakcje emocjonalne wobec człowieka mogą być kluczem do zrozumienia potężnej i wyjątkowej więzi między naszymi gatunkami. Podejrzywałem, że u podstaw behawioru psów leży właśnie uczucie. Znalazłem twarde naukowe dowody, które moim zdaniem potwierdzały tę teorię. Zdawałem sobie jednak sprawę, że dotykam zaledwie czubka góry lodowej, a jeśli zacznę kopać głębiej, może się okazać, że utknąłem w ślepym zaułku.

Musiałem jednak rozważyć tezę, która sprowadziła mnie na tę ścieżkę: że tym, co odróżnia psy od ich dzikich kuzynów – a może od wszystkich zwierząt na świecie – jest umiejętność nawiązywania emocjonalnych kontaktów z ludźmi i okazywania nam swoich uczuć.

Byłem pełen obaw, a zarazem szczerze zaintrygowany, dokąd nas zaprowadzą badania. Czułem, że stopniowo zbliżam się do punktu, który wprawdzie nie stanowił dla mnie tabu, ale z pewnością stał w sprzeczności z moim wykształceniem behawiorysty. Nauczono mnie szukać prostych i zwięzłych odpowiedzi na pytania badawcze. Przez całą dotychczasową karierę potrafiłem jasno odgraniczyć chłodny i obiektywny opis behawioru od cieplej i sympatycznej, lecz ostatecznie mylącej definicji zwierzęcia jako ofutrzzonego kłębka emocji. Niemniej kolejne dowody na psią wyjątkowość – na to, co sprawia, że pies jest niezrównanym towarzyszem człowieka – kierowały nas w dziedzinę niebezpiecznie bliską czemuś, co uważałem kiedyś za naiwny bełkot.

U źródeł naszej międzygatunkowej relacji zdawały się tkwić emocje – przede wszystkim czułe przywiązanie psa do człowieka. Jako behawiorysta (a zarazem nieprzejednany sceptyk) znalazłem się w kropce.

Zrobiłem więc to, co umiałem najlepiej: kopałem dalej.

3 Psom zależy

Mnóstwo zachowań psów wskazuje na ich silne przywiązanie do ludzi. Przekonywałem się o tym w parkach od Moskwy po Tel Awiw oraz przy okazji badań, które recenzowałem i prowadziłem sam. Moje obserwacje dotyczyły nie tylko psów domowych, rozpieszczonych przez kochających właścicieli, lecz i bezpańskich kundli, które też lgnęły do człowieka – często kosztem równie cennej nagrody w postaci jedzenia.

Dotychczasowe testy pozwalały jednak ocenić wyłącznie stopień psiej chęci przebywania w pobliżu ludzi. Nie przynosiły szerszej wiedzy o tym, jak zachowania psów w obecności bliskich im osób przekładają się na ich więź emocjonalną z człowiekiem. Szukałem odpowiedzi na następujące pytania: jak owa więź manifestuje się w świetle nowo odkrytych aspektów psiego behawioru? I czy sposób, w jaki psy odnoszą się do ludzi, pomoże nam dotrzeć do jej sedna?

Tę właśnie zagadkę postanowiłem rozwikłać w następnej kolejności, baczniej obserwując zachowania psów w obecności ludzi. Na szczęście z miejsca się zorientowałem, że inni myśliciele głowią się nad tym od dawna.

Jednym z pierwszych uczonych, którzy zastanawiali się nad istotą relacji między psem a człowiekiem i pisali o tym w swoich pracach, był Karol Darwin. Podobnie jak większość z nas, uwielbiał przebywać w towarzystwie swoich psów i rzadko się z nimi rozstawał. Emma Townshend w fascynującej książce *Darwin's Dogs* [Psy Darwina] zwraca uwagę, że uczony tylko raz w swoim dorosłym życiu nie mógł cieszyć się obecnością co najmniej jednego z wiernych psich kompanów – w czasie słynnej

pięcioletniej podróży dookoła świata na pokładzie okrętu, który dziwnym trafem nazywał się HMS „Beagle”^[1]. (Jakby tego było mało, HMS „Beagle” został wcześniej przerobiony i otaklowany jako – uwaga – *bark*, co po angielsku znaczy też „szczekać”).

Darwin z pewnością uważał psy za istoty emocjonalne, skłonne do okazywania silnych uczuć wobec swoich ludzkich towarzyszy. W jednej ze swoich późniejszych prac, *The Expression of the Emotions in Animals and Man* [O wyrażaniu emocji u człowieka i zwierząt], objaśnia tę kwestię. Na wstępie odrzuca tezę, jakoby emocje były wyłącznie domeną ludzi, zwracając uwagę, że żadne zwierzę nie tworzy równie mocnych więzi emocjonalnych jak pies. „Nawet człowiek nie wyraża miłości i pokory tak ostentacyjnie jak pies, który na widok ukochanego pana kładzie uszy po sobie, rozluźnia fagle, kręci tułowiem i merda ogonem”^[2].

Darwin szczegółowo omawia sposób okazywania uczuć przez psy. Komentuje ruchy ogona („zamaszyste machanie z lewa na prawo”) i uszu (które „zwisają, odchylne nieco w tył”) oraz zniżanie głowy i całego tułowia. Wspomina również o skłonności do lizania pana po rękach i twarzy. Zwraca uwagę, że psy liżą się także nawzajem po pyskach, i powołuje się na obserwacje psów, które wylizywały „zaprzyjaźnione koty”^[3]. (Myślę, że Xephos z przyjemnością wylizalaby pyszczek naszej kotki, ale Peppermint nie zniosłaby tak zuchwałej manifestacji braterstwa między gatunkami).

Pisząc o psich sposobach ujawniania emocji, Darwin dostrzega ścisły związek między behawioralnymi oznakami radości z przebywania w ludzkim towarzystwie a leżącym u źródła tej radości uczuciem do człowieka. Uczony poczynił też inną ważną obserwację: że psy okazują radość nie tylko merdaniem ogona. Manifestują swoje zadowolenie całym ciałem, począwszy od pyska.

Darwin – jako pierwszy ze znanych mi autorów – podjął próbę analizy, w jaki sposób emocje uwidaczniają się w psiej mimice, zwłaszcza w wyrazie pyska. Przede wszystkim był ciekaw, dlaczego wyraz szczęścia tak łatwo pomylić z manifestacją złości lub agresji. Zwrócił uwagę, że u szczęśliwego psa „górna warga jest uniesiona jak przy warczeniu, kły odsłonięte, uszy zaś odchylone w tył”^[4]. Teoria Darwina, jakoby ten sam wyraz pyska odzwierciedlał dwie przeciwstawne emocje, w przeciwieństwie do jego słynniejszej teorii doboru naturalnego nie przetrwała próby czasu, posłużyła wszakże jako punkt wyjścia do dalszych badań nad uczuciami zwierząt.

Choć Darwin był pierwszym uczonym, który zajął się skomplikowaną kwestią psiej mimiki, na szczęście nie był ostatni. W swojej fascynującej książce *Z miłości do psa* Patricia McConnell – znana trenerka psów i behawiorystka – próbuje zgłębić to ciekawe zjawisko. Zwraca uwagę, że „szczęśliwe psy mają podobnie otwarte i odprężone twarze jak szczęśliwi ludzie”. Porównując zdjęcia ludzi i psów, dochodzi do wniosku, że „szczęśliwego psa równie łatwo wskazać jak szczęśliwego człowieka”^[5]. Coś w tym jest: każdy, kto miał kiedykolwiek do czynienia z psami, bez trudu rozpozna szczęśliwe zwierzę po jego mimice.

Ileokroć wracałem do domu, a Xephos biegła mi na powitanie, gorące uczucie dosłownie malowało się na jej pysku. Kiedy stawałem w drzwiach, wyglądała, jakby się śmiała: kąciaki mordki unosiły się w radosnym grymasie, wargi odchyłały się, odsłaniając zęby (ale niezupełnie jak przy warczeniu – z całym szacunkiem dla pana Darwina).

Skąd jednak miałem wiedzieć, że to, co widzę na pysku Xephos, odzwierciedla jej emocje? Mimo znamienitego towarzystwa Darwina i McConnell nie chciałem dopatrywać się w psiej mimice czegoś, czego naprawdę w niej nie ma. Na przykład uniesione kąciaki pyska u delfina nie oznaczają bynajmniej radosnego uśmiechu; jego pysk jest po prostu tak zbudowany – w przeciwieństwie do ludzkich ust nie

zmienia kształtu pod wpływem wydarzeń dnia codziennego. Nic nie wskazuje, by twarz delfina miała się okazać podobnym zwierciadłem emocji jak twarz człowieka. Tymczasem mimika psa rzeczywiście się zmienia zależnie od sytuacji. Tylko jak sprawdzić, czy uniesione kąciaki psiego pyska są oznaką szczęścia, nie zaś pochodną budowy czaszki – jak u delfinów – albo innej cechy biologicznej właściwej dla tego gatunku?

Kiedy zacząłem się nad tym zastanawiać, nie miałem żadnego pomysłu, jak przeprowadzić naukowy test interpretacji psiej mimiki. W badaniach nad wyrażaniem i odbieraniem emocji u człowieka uczestniczą aktorzy odgrywający konkretne stany umysłu; następnie osoby badane to interpretują. Aktorzy oczywiście uczą się okazywania emocji, których naprawdę nie doświadczają – nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak wyszkolić psy w tym kierunku.

Ku mojemu zaskoczeniu twórcom pewnego eksperymentu udało się obejść ten problem. Tina Bloom z Wydziału Więziennictwa Stanu Pensylwania i Harris Friedman z Walden University postanowili sprawdzić, czy ludzie umieją prawidłowo zidentyfikować wyraz rozmaitych emocji malujących się na psim pysku. Zatrudnili w tym celu zawodowego fotografa, który wykonał serię portretów policyjnego psa Tiny Bloom. Pięcioletni owczarek belgijski malinois imieniem Mal musiał posłusznie wytrwać w wyuczonych pozycjach – w warunkach, które sprowokowałyby większość psów (i mnóstwo ludzi!) do całkiem innej reakcji. Na przykład: żeby wywołać na pysku Mała grymas wstrętu, prowadzący eksperyment wydawali mu komendę „siad, zostań”, za której wykonanie przeważnie otrzymywał smakołyk; tym razem dostawał ohydne w smaku lekarstwo. Żeby na zdjęciu miał smutny wyraz pyska, mówili do niego „fuj” – słowo używane podczas treningu, kiedy Mal zrobił coś nie tak. Żeby sprowokować Mała do grymasu strachu, pokazywali mu

obcinarce do pazurów. Żeby wyglądał na szczęśliwego, opiekunka wydawała mu komendę „siad, zostań”, po czym mówiła: „Dobry piesek. Zaraz się pobawimy”. Mal słyszał te słowa tysiące razy i wiedział, że są zapowiedzią zabawy w aportowanie piłki; Bloom i Friedman uznali, że na ich dźwięk pysk Mala rozpromieni się ze szczęścia. Po każdym zdjęciu Mal był zwalniany z pozycji „siad”, a Bloom rzucała mu piłkę. W ten sposób Bloom i Friedman zebrali po trzy fotografie każdego z siedmiu podstawowych wyrazów pyska: oprócz wymienionych także grymasu zaskoczenia i złości oraz mimiki neutralnej.

Następnie pokazali 21 zdjęć 25 osobom doświadczonym w treningu psów oraz 25, które nigdy nie miały własnego psa i rzadko stykały się z tymi zwierzętami. Uczestnicy eksperymentu mieli ocenić, czy pies na danej fotografii nie zdradza żadnych emocji (mimika neutralna), czy też przejawia którąś z sześciu podstawowych: radość, smutek, wstręt, zaskoczenie, strach i złość.



Mal, owczarek malinois uczestniczący w badaniu Bloom i Friedmana, okazuje kolejno radość, smutek, strach i złość (od lewej u góry, zgodnie z ruchem wskazówek zegara)

Osoby biorące udział w teście na ogół dość precyzyjnie określały emocje Mala, choć interpretacja niektórych zdjęć sprawiała im więcej kłopotu. Najtrudniej było odczytać wstręt: zaledwie trzynastie procent uczestników udzieliło prawidłowej odpowiedzi, większość myliła wstręt Mala ze smutkiem. Wyszły też na jaw problemy z rozpoznawaniem zaskoczenia: tylko co piąty uczestnik trafnie oceniał wyraz psiego pyska. W pozostałych przypadkach większość badanych odpowiadała prawidłowo. Mniej więcej cztery osoby na dziesięć bez trudu odgadły smutek na pysku owczarka, niemal połowa zareagowała prawidłowo na zdjęcie psa przestraszonego, siedemdziesiąt procent

uczestników celnie zinterpretowało wyraz psiej złości (z punktu widzenia ich bezpieczeństwa to dobry znak – Mał jest dość duży i bardzo silny).

Jaką emocję najłatwiej było rozszyfrować? Radość. Aż dziewięciu na dziesięciu badanych trafnie zinterpretowało zdjęcie szczęśliwego Mała. Wynik był odrobinę lepszy w grupie osób doświadczonych w kontaktach z psami (ponad 90 procent odpowiedzi prawidłowych) niż w grupie uczestników, którzy prawie nie mieli z nimi do czynienia (nieco powyżej 80 procent trafień)^[6]. Mimo to nawet w drugiej grupie przeszło trzy czwarte osób udzieliło właściwej odpowiedzi, z czego by wynikało, że ludzie całkiem nieźle sobie radzą z rozpoznawaniem zadowolonych psów. A jak wygląda taki grymas szczęścia? Pies jest wyraźnie rozluźniony i ma lekko otwarty pysk z łagodnie uniesionymi kącikami warg – zgodnie z opisem Darwina i McConnell oraz z moimi obserwacjami mimiki Xephos.

Test Bloom i Friedmana potwierdza tezy Darwina i McConnell, że emocje malują się na psim pysku; dostarcza też solidnych dowodów empirycznych na trafność spostrzeżeń obojga uczonych, a zarazem uważnych obserwatorów psich zachowań – zwłaszcza w odniesieniu do specyficznego uśmiechu, który oznacza zadowolenie psa. Eksperyment nie wymagał użycia drogiego, skomplikowanego sprzętu, a jednak wykazał, że wyraz pyska może odzwierciedlać stan psiego umysłu; tym samym dał nam do ręki kolejny mocny dowód na potwierdzenie przypuszczeń, że pupil, który patrzy na właściciela z wyrazem szczęścia na mordce, jest z nim związany silną więzią uczuciową. To dobra wiadomość dla wszystkich, których zdaniem psy są szczęśliwe w naszym towarzystwie, a zarazem kolejny argument na rzecz hipotezy, że wchodzą w relacje emocjonalne z ludźmi.

Oczywiście, psy nie tylko mimiką okazują zadowolenie na nasz widok. Innym ważnym narzędziem, które służy im

do przekazywania radości z bycia z nami, jest ogon. Ludzie na ogół bez trudu rozpoznają jego wesołe merdanie. W gruncie rzeczy to zdumiewające, jak chętnie bierzemy machanie ogonem za oznakę psiego ukontentowania, skoro sami nie mamy czym merdać. Tymczasem psi ogon kryje w sobie więcej tajemnic niż pysk, a jego ruchy są trudniejsze do zinterpretowania, niż mogłoby się z początku wydawać.

Grupa włoskich naukowców przeprowadziła ostatnio szczegółowe badania nad merdaniem ogonem i odkryła, że ten ruch obejmuje niesłychanie szeroki zakres ekspresji. Giorgio Vallortigara i jego współpracownicy z uniwersytetu w Trieście wybrali do testu trzydzieści psów, które mogły przebywać bez stresu w ciemnym, niewiele większym od nich samych pomieszczeniu, wyposażonym w jedno okienko. Ilekroć pies w nie spoglądał, asystenci Vallortigary pokazywali mu kolejno: właściciela, nieznanego człowieka, obcego psa i kota. Kiedy pies patrzył na obiekt, kamery wideo rejestrowały ruch jego ogona.

Naukowcy zaobserwowali u psów zaskakującą skłonność do merdania ogonem w prawo na widok obiektu, do którego mają ochotę podejść – innymi słowy, czegoś, co daje im radość. Gest machania ogonem w prawo był najsilniejszy na widok właściciela, ale pojawiał się także przy spotkaniu z obcą osobą. Fascynuje mnie odkrycie, że psi ogon może wysyłać tak subtelne sygnały ciepłych uczuć wobec człowieka – dużo bardziej precyzyjne, niż to wynikałoby z naszych wieloletnich obserwacji. Wygląda na to, że psia serdeczność w obcowaniu z ludźmi jest niejako zaprogramowana w ciele.

Rzecz jasna, psy ciągnie nie tylko do ludzi. Na widok kota merdają ogonem nieznacznie, co jednak ciekawe – również w prawą stronę. Kiedy zostawić je dłużej same, bez możliwości patrzenia na cokolwiek, na widok innego psa częściej machają ogonem w lewo^[7].

Odkąd przeczytałem o tym badaniu, próbowałem podpatrzeć, jak merda ogonem Xephos – żeby sprawdzić, czy odkrycia włoskich naukowców pokrywają się z tym, co dzieje się w Arizonie. Zachęciłem też do obserwacji kilkoro przyjaciół. Niestety, w codziennych warunkach trudno ustalić, w którą stronę pies macha ogonem. Xephos, podobnie jak większość znajomych psów, rzadko ogranicza się do merdania – przeważnie cała jest w ruchu. Wpatrywanie się w jej ogon nie wystarczyło, żeby potwierdzić wyniki eksperymentu Vallortigary i jego zespołu.

Tak czy inaczej, ustalenia Włochów rzucają obiektywne światło na fakt zaobserwowany przez miliony ludzi: pies cieszy się na twój widok i daje temu wyraz, machając ogonem. Współpracownicy Vallortigary odkryli jednak coś jeszcze: że merdanie zawiera znacznie więcej informacji, niż potrafimy odczytać na pierwszy rzut oka. Na tym polega siła metody naukowej. Owszem, gdyby praca badaczy sprowadzała się do potwierdzania (a czasami obalania) obiegowych opinii o psach – byłaby i tak użyteczna. Dostrzec jednak coś, co wcześniej nam umknęło – w tym przypadku to, że merdanie ogonem w lewo lub w prawo niesie z sobą całkiem inny przekaz – to jest prawdziwie ekscytujące w nauce!

Możliwość rozpoznania szczęśliwego psa po wyglądzie z pewnością przemawia za twierdzeniem, że psy reagują na obecność bliskich im ludzi: kiedy są z nami, często widzimy ich roześmiane pyski i merdające ogony. Jeśli jednak zamierzałem postawić tezę, że o wyjątkowości psów świadczy ich umiejętność budowania więzi emocjonalnej z człowiekiem, potrzebowałem jeszcze mocniejszych dowodów.

Mówiąc między nami, zgromadziłem już całkiem pokaźny materiał naukowy. Dokopałem się do wyników badań prowadzonych na początku XX wieku przez Pawłowa

i Gantta w Petersburgu, uwzględniłem też najnowsze eksperymenty z Kalkuty, Moskwy, Budapesztu i północnych regionów środkowej Florydy; wszystkie wskazywały, że psy łączy jakaś istotna więź z ludźmi. Dysponowałem też wynikami naszych eksperymentów w Wolf Park, które dowiodły, że w porównaniu ze swoimi najbliższymi kuzynami psy mają znacznie większą skłonność do nawiązywania kontaktów z człowiekiem.

Wszystkie dowody prowadziły do jednego wniosku, ale można było zinterpretować je inaczej. Przecież psy są całkowicie od nas zależne – zapewniamy im karmę, schronienie, ciepły kąt, kontrolujemy nawet ich potrzeby fizjologiczne. Niewykluczone, że psie zainteresowanie nami wynika po prostu z roli, jaką odgrywamy w ich życiu.

Nie mogłem poprzestać na wykazaniu, że pies ma do nas entuzjastyczny stosunek. Musiałem udowodnić, że człowiek coś dla niego znaczy. Potrzebowałem argumentów na potwierdzenie tezy, że psy naprawdę starają się ulżyć ludziom w cierpieniu. To by oznaczało, że nasze uczucie jest odwzajemnione – co z kolei świadczyłoby, że psy nie tylko są do nas przywiązane, ale też o nas się troszczą. Dowody w tej sprawie dałyby nam głębszy wgląd w życie emocjonalne tych zwierząt i rzuciły światło na psią stronę naszej relacji międzygatunkowej.

Kiedy zacząłem rozważać możliwość uzyskania dowodów na to, że psy naprawdę próbują coś zrobić dla swoich właścicieli, ogarnęły mnie złe przeczucia. Przypomniałem sobie jedno z najbardziej sugestywnych wystąpień konferencyjnych, z jakimi miałem kiedykolwiek do czynienia. Dotyczyło właśnie tej kwestii i prowadziło do bardzo gorzkiej konkluzji.

Było to w początkowym okresie moich naukowych zainteresowań behawiorem psów – w roku 2004 albo 2005 – na konferencji poświęconej badaniom porównawczym nad procesami poznawczymi, w Melbourne na Florydzie. Uczestniczyłem w wielu konferencjach i muszę przyznać, że

czasem trudno mi się skupić na przebiegu obrad toczących się godzinami w zatłoczonych salach. Między nami mówiąc, zdarza mi się przysypiać na poobiednich sesjach. Na konferencji w Melbourne byłem jednak całkiem przytomny i nie wierzyłem własnym uszom.

Tamtego popołudnia przyszła kolej na wystąpienie Billa Robertsa z Uniwersytetu Zachodniego Ontario. Bill jest nieszczególnie wymowny, posługuje się suchym, lakonicznym stylem, który czasem umniejsza wartość jego wybitnej pracy naukowej. Ledwo jednak zacząłem się mościć do poobiedniej drzemki, zdałem sobie sprawę, że wykład Billa tym razem znacząco odbiega od jego zwyczajowych, skrupulatnych sprawozdań z testów laboratoryjnych z udziałem gołębi. Przedmiot wystąpienia z Melbourne wywarł niewątpliwy, choć szokujący wpływ na moje dalsze badania nad wyjątkowością psów.

Bill opowiedział o swoim niedawnym eksperymencie z udziałem kanadyjskich wolontariuszy, którzy w chłodny listopadowy dzień wyprowadzali swoje psy na spacer do parku i tam symulowali zawał serca^[8]. Krista MacPherson, ówczesna studentka Billa, ukryła się za drzewem z kamerą wideo, drugi asystent siedział na ławce i udawał, że czyta gazetę. Bill pokazywał kolejne filmy nagrane przez Kristę. Wolontariusze pojawiali się w kadrze, zatrzymywali raptownie przy siedzącym na ławce „nieznajomym”, z bolesnym okrzykiem łapali się za klatkę piersiową i padali na ziemię. Psy ostrożnie obwąchiwały leżącego właściciela, po czym reagowały dwojako. Albo kładły się obok pana, albo (w najzabawniejszych przypadkach) okrężały go czujnie ze dwa razy, po czym, upewniwszy się, że nikogo nie ma na drugim końcu smyczy, ruszały w siną dal. Żaden pies nie podszedł do człowieka na ławce, który mógł udzielić właścicielowi pierwszej pomocy medycznej.

W życiu nie byłem na konferencji, na której byłoby tyle śmiechu. Na widok psów biorących nogi za pas – zwłaszcza

po lakonicznym przedstawieniu założeń eksperymentu przez Billa – dosłownie boki można było zrywać.

Jak sugerowali późniejsi krytycy, psy mogły się zorientować, że właściciel symuluje zawał serca i w rzeczywistości nic mu nie grozi. A może nie poprosiły o pomoc człowieka na ławce, bo go po prostu nie знаły. W odpowiedzi na zarzuty MacPherson i Roberts udoskonalili swój eksperyment, tym razem aranżując sytuację, w której na właściciela psa przewracała się półka z książkami. Zanim dochodziło do „wypadku”, pies poznawał „obcego”, który mógł później pomóc „ofierze”. Krista i Bill przewidzieli nawet, że leżący na podłodze właściciel będzie mógł wysłać psa po pomoc. Mimo wszystkich zmian w formule badania uzyskali dokładnie ten sam rezultat. Podobnie jak w eksperymencie z udawanym zawałem, żaden pies nie zrobił nic, żeby pomóc panu lub pani – tym razem wydostać się spod przewróconego regału.

Kilka lat później opublikowano wyniki badania, które dostarczyło kolejnych mocnych argumentów na potwierdzenie tezy, że psy nie palą się do pomocy ludziom^[9]. Juliane Bräuer i jej współpracownicy z Instytutu Antropologii Ewolucyjnej Maxa Plancka w Lipsku skonstruowali pomieszczenie o wymiarach mniej więcej trzy metry na półtora metra, wykonane w całości z pleksiglasu i wyposażone w przezroczyste drzwiczki otwierane zewnętrznym przyciskiem. Zespół Bräuer nauczył dwanaście psów, żeby otwierały sobie te drzwiczki, naciskając łapą przycisk w podłodze. Kiedy już wszystkie opanowały tę sztukę, badacze umieszczali wewnątrz smakołyk albo duży klucz. Pomieszczenie było zupełnie przezroczyste, żeby psy mogły zobaczyć, co tam jest, zanim nacisną guzik. Kiedy w boksie był smakołyk, większość psów naciskała przycisk, żeby dostać się do środka – udowadniając, że rozumie, jak działa mechanizm otwierający drzwiczki. Kiedy wewnątrz był duży klucz, tylko co trzeci pies uruchamiał przycisk. Nic to nie dało, że

człowiek wskazywał psu klucz wzrokiem, prosił o jego przyniesienie, próbował sam otworzyć drzwiczki, ciągnąc za nie, a nawet wydał psu komendę: „Otwórz!” – surowym i stanowczym tonem.

W toku kolejnego eksperymentu zespół Bräuer ustalił, że mniej więcej połowie psów wystarczy wskazać przycisk, by otworzyły sobie drzwiczki. Osobiście uważam (Bräuer i jej asystenci podzielają mój pogląd), że psy odczytywały ten gest jako polecenie naciśnięcia guzika – czyli badanie i tak nie potwierdziło tezy, że psy chcą pomagać ludziom.

Zarówno eksperyment MacPherson i Robertsa, jak i testy naukowców z Lipska dostarczają mocnych dowodów przeciwko opinii, że psy wystarczająco przejmują się ludźmi, żeby im spieszyć z pomocą. Wszystko też wskazuje, że badania przeprowadzono bez żadnych uchybień. Gdyby oceniać tylko ich wyniki, należałoby wyciągnąć wniosek, że psy niespecjalnie troszczą się o człowieka.

Na szczęście inne badania sugerują, że psy mimo wszystko zwracają uwagę na to, co dzieje się z ludźmi. Ted Ruffman i Zara Morris-Trainor, pracownicy dwóch uniwersytetów w Nowej Zelandii, wpadli na genialny pomysł, żeby zetknąć psy z ludźmi w stanie skrajnej udręki emocjonalnej (a w każdym razie z wydawanymi przez nich dźwiękami) i nie kazać im nic robić. Chcieli się tylko przekonać, czy stany emocjonalne człowieka wywołają jakąkolwiek reakcję emocjonalną psa.

Badacze przygotowali nagrania z okresu niemowlęstwa – fazy najmniej skrępowanej ekspresji uczuć w życiu człowieka. Żadne dziecko nie ucierpiało podczas eksperymentu: Ruffman i Morris-Trainor zarejestrowali spontaniczny płacz i śmiech niemowląt. Ustawili w pomieszczeniu dwa głośniki i puszczali z nich na przemian te nagrania. Pies znajdował się w równej odległości od obydwu głośników i słuchał każdego z nagrań przez dwadzieścia sekund. Badacze sprawdzali, do którego głośnika pies podchodzi chętniej i czy w ogóle jest

zainteresowany dobiegającymi stamtąd dźwiękami. Ustalili, że wszystkie badane psy wołały podejść do tego, z którego emitowano płacz niemowlęcia^[10].

Odkrycie jest frapujące, do sprawy wnosi jednak niewiele. Możliwe, że psy przejmują się cierpieniem dziecka, ale nie da się wykluczyć, że odgłos płaczącego niemowlęcia brzmi w ich uszach dobitniej, ciekawiej albo po prostu bardziej obco niż dziecięcy śmiech. Deborah Custance i Jennifer Mayer z Uniwersytetu Londyńskiego Goldsmiths postanowiły zatem rozwinąć eksperyment Ruffmana i Morris-Trainor – żeby określić bardziej miarodajnie, czy psy troszczą się o ludzi.

Pracując nad swoim badaniem, Custance i Mayer dostrzegły intrygującą różnicę między empatią a sympatią^[11]. Empatia przypomina ich zdaniem chorobę zakaźną. Widzę, że jesteś smutny, więc sam robię się smutny. Gdybym odczuwał wyłącznie empatię, szukałbym ulgi od mojego smutku. Gdybym był małym dzieckiem, zwróciłbym się do matki (nie jestem, więc wolę nalać sobie szkockiej). Sympatia jest bardziej skomplikowana. Skoro widzę, że jesteś smutny i odczuwam do ciebie sympatię, zamiast popadać w przygnębienie, spróbuję cię pocieszyć. Gdybym był twoim ojcem, przytuliłbym cię. Ponieważ nie jestem, wolę nalać ci szkockiej. Owszem, byłoby ciekawie, gdyby wyszło na jaw, że psy reagują empatią na nasze nieszczęście; jeśli jednak psy naprawdę troszczą się o ludzi, w ich zachowaniu powinniśmy raczej szukać oznak sympatii.

Custance i Mayer nawiązały do eksperymentu Ruffmana i Morris-Trainor, wystawiając psy na ludzki ból; dokonały jednak licznych poprawek w samym schemacie badania. Chcąc zwiększyć szanse normalnej psiej reakcji na cierpienie człowieka, testowały psy w domach, a jedną z osób udających smutek był właściciel, który przez dwadzieścia sekund szlochał możliwie przekonująco w obecności swojego pupila. W ramach sytuacji kontrolnej –

żeby się upewnić, że reakcja psa na ludzki płacz nie jest po prostu reakcją na dziwne odgłosy wydawane przez człowieka – przez kolejne dwadzieścia sekund właściciel mruczał coś pod nosem. Mayer – osoba nieznana psom uczestniczącym w eksperymencie – wykonywała na przemian te same czynności. W przerwach właściciel spokojnie rozmawiał z Mayer przez dwie minuty, żeby pies mógł odpocząć od doznań wywołanych płaczem i mruczeniem. Oboje przebywali z psem przez cały czas: tylko dźwięki wydawali pojedynczo, na zmianę mrucząc i udając płacz. Kolejność osób i wydawanych przez nie dźwięków była całkowicie przypadkowa.

Gdyby psy podchodziły do płaczących ludzi tylko z ciekawości wywołanej tym niecodziennym odgłosem, równie często zbliżałyby się do mruczących pod nosem, bo i ten dźwięk rzadko daje się słyszeć w relacjach psa z człowiekiem. Eksperyment Custance i Mayer dowiódł czegoś innego. Psy znacznie częściej reagowały na płacz.

Jednak gdyby psy odczuwały empatię – czyli na widok smutnej osoby i wydawanych przez nią dźwięków same robiły się smutne – to wzorem małych dzieci, które na odgłos czyjegoś płaczu zwracają się do matki, powinny szukać pocieszenia u swoich właścicieli, nawet gdy dotyczy to obcego człowieka. Eksperyment Custance i Mayer i tym razem dowiódł czegoś innego.

Badaczki stwierdziły, że psy biorące udział w eksperymencie podchodziły zarówno do płaczącego właściciela, jak i płaczącej nieznajomej. Świadczyłoby to o zdolności odczuwania sympatii – czyli troski o cudze dobro oraz chęci udzielenia wsparcia emocjonalnego każdej cierpiącej istocie.

Żeby nie było nieporozumień: z eksperymentu Custance i Mayer wyciągnąłem inne wnioski niż jego autorki. Badaczki uznały, że testowane psy – doświadczone w obcowaniu z człowiekiem – były najprawdopodobniej

nagradzane za podchodzenie do ludzi, którzy wyglądali na przygnębionych.

Wspomniałem już wcześniej, że lubię proste i zwięzłe objaśnienia takich odkryć naukowych. Wprawdzie nie udało mi się kupić brzytwy w wiosce Ockham, ale i tak uważam, że prawo ekonomii myślenia – ograniczające liczbę możliwych eksplikacji – stanowi istotę poznania naukowego. W tym przypadku mam jednak wątpliwości, czy redukcjonistyczna hipoteza Custance i Mayer jest słuszna. Czyżby smutni ludzie częściej nagradzali swoje psy niż ludzie weseli? Nigdy tego nie sprawdzałem, ale jeśli o mnie chodzi, chętniej rozpieszczam Xephos smakołykami, kiedy jestem w dobrym humorze. Nie sędzę, że bym był pod tym względem wyjątkowy, nie widzę też nadużycia w stwierdzeniu, że szczęście bardziej niż smutek usposabia do hojności.

Co więcej, jeśli psy w oczekiwaniu nagrody podchodzą do płaczących ludzi, dlaczego lgną do wstrząsanej szlochem nieznajomej? Przypominam, że w całym teście brał udział nie tylko właściciel, lecz i osoba obca. Gdyby pies na odgłos płaczu spodziewał się nagrody, z pewnością pokładałby większe nadzieje w swoim właścicielu, który już wcześniej dawał mu smaczne kąski, niż w obcym człowieku, który go nigdy nie karmił.

Nie, z tych fascynujących odkryć nie wypływa wniosek, że psy oczekują prezentów od smutnych ludzi. One naprawdę się o nich martwią. Zwierzaki uczestniczące w eksperymencie podchodziły do płaczącej osoby – nieważne, czy był to właściciel czy ktoś obcy – bo poczuły empatię albo sympatię. Przejmowały się jej cierpieniem. Badanie dostarczyło mocnych dowodów na poparcie tezy, że psy troszczą się o nasz los.

Uwielbiam takie eksperymenty. Test Custance i Mayer jest równie łatwy do przeprowadzenia jak opracowany przez Marianę Bentoselę test towarzyskości – i daje równie przekonujące wyniki. Poza tym jest na tyle prosty, że można

go wypróbować na własnym psie. Nie potrzeba żadnego sprzętu – wystarczy właściciel i ktoś, kogo pies nie zna. Ewentualnie kanapa i dwa krzesła, choć osoby sprawne mogą równie dobrze usiąść na podłodze. Trzeba znaleźć miejsce, w którym pies nie będzie się rozpraszał, po czym na przemian szlochać i mruczeć pod nosem przez dwadzieścia sekund, z dwuminutową przerwą na pogawędkę. Sam się przekonasz, czy twój pies reaguje podobnie jak psy Custance i Mayer. Czy w równym stopniu przejmuję się twoim cierpieniem jak cierpieniem kogoś obcego? Nie wszystkie psy testowane przez badaczki zachowywały się w ten sposób, nie jest więc wykluczone, że twój pies ujawni inny wzorzec zachowań niż ten, który opisałem powyżej. Może się dowiesz zaskakujących rzeczy o swoim pupilu – oby to było miłe zaskoczenie.

Jak wynika z wielu badań nad reakcją psów na ludzkie cierpienie, te zwierzęta się o nas troszczą – a w każdym razie tyle dla nich znaczymy, że nasz ból wyzwala w nich reakcję emocjonalną. Z kolei eksperymenty dowodzące, że pies nie pomoże właścicielowi, który dostał zawału albo utknął pod przewróconym regałem z książkami, wydają się przeczyć tej konkluzji. Jak pogodzić te z pozoru przeciwstawne wnioski?

Jeden ze sposobów na rozwikłanie tej sprzeczności wymaga szerszego spojrzenia: wyjścia poza mury laboratorium i szukania gdzie indziej psów, które pomagają ludziom. Oczywiście, są psy, które robią to na co dzień: na przykład psy przewodniki niewidomych i niedowidzących albo bernardyny, używane do poszukiwania ludzi zasypanych przez lawinę. Są to jednak zwierzęta szkolone, których behavior jest tylko odzwierciedleniem intencji trenera – analiza ich zachowań nie da nam odpowiedzi na pytanie, czy pies jako gatunek przejawia skłonność do pomocy człowiekowi.

A przecież jest tyle innych przykładów wśród zwykłych psów, które dokonują nieprawdopodobnych wyczynów, by ulżyć ludziom w nieszczęściu. W pełni zdają sobie sprawę, że opowieści niektórych psiarzy trzeba traktować z przymrużeniem oka: miłość do psów zaburza czasem nasz osąd i wyolbrzymia wspomnienia. Niemniej sama liczba doniesień o psach, które próbowały nieść pomoc ofiarom ewidentnie poważnych i nieudawanych urazów, dowodzi niezbie, że w każdej z tych anegdot kryje się ziarno prawdy.

Niektóre z najjaśniejszych przykładów dotyczą jednego z najciemniejszych epizodów XX wieku. Podczas II wojny światowej prasa brytyjska donosiła kilkakrotnie o psach, którym udało się wygrzebać swoich właścicieli spod ruin zbombardowanych budynków. „Daily Mail” informował w grudniu 1940 roku: „To Chum, dwunastoletni airedale terier, uratował Marjorie French. Jej dom legł w gruzach, a ona sama utkwiała w schronie; do chwili, kiedy ujrzała psie łapy, wściekle przekopujące rumowisko, żeby ją uwolnić. Pies wyciągnął ją stamtąd za włosy”^[12].

W tym przypadku cierpienie właścicielki nie było udawane. Krzyk bólu musiał brzmieć w pełni przekonująco. Chum w lot zrozumiał oczekiwania swojej pani, a to, co musiał w tej sytuacji robić – czyli kopać – jest całkiem naturalnym odruchem u większości psów tej rasy. W takich okolicznościach psy bez wątpienia spieszą z pomocą swoim właścicielom. (Nawiasem mówiąc, Chum został później odznaczony za odwagę medalem Our Dumb Friends League – najważniejszej brytyjskiej organizacji pomocy zwierzętom).

To już raczej nieodparty dowód, że psy pomagają ludziom, na których im zależy – a takich zdumiewających historii jest znacznie więcej. Wszystkie te anegdoty błędną jednak wobec wyników pewnego sprytnego eksperymentu na szczurach, który przeprowadzono na uniwersytecie w Chicago.

Ujawniam fakty: spotykałem się kiedyś z dziewczyną, która miała oswojonego szczura. Maluch buszował radośnie po całym mieszkaniu i dosłownie tryskał energią – mimo to nie dawałem się przekonać, że szczury przejawiają jakiś szczególny instynkt społeczny. Okazało się, że nie mam racji: szczury nawiązują między sobą silne więzi. Dwa osobniki mieszkające w tej samej klatce wkrótce zostają najlepszymi kumplami i sojusznikami. Potęga szczurzego koleżeństwa wzbudziła ciekawość badaczy – rzecz jasna, przyciągnęła też moją uwagę.

Żeby oszacować stopień wzajemnego zrozumienia u szczurów dzielących ze sobą klatkę, Peggy Mason i jej asystenci zaczęli od przygotowania cylindrycznego pojemnika – dostatecznych rozmiarów, żeby upchnąć w nim pojedyncze zwierzę. Szczury nie znoszą przebywać w tak ciasnej przestrzeni: udręczone maluchy piszczą wniebogłosy, w częstotliwościach zbyt wysokich dla ucha ludzkiego, ale z pewnością słyszalnych dla innych przedstawicieli gatunku. Pojemnik wyposażono w drzwiczki, które zasuwają się w taki sposób, żeby szczur nie mógł otworzyć ich od wewnątrz. Za to inny osobnik może rozsunać je z zewnątrz – o ile wolny i swobodny szczur będzie chciał pomóc uwięzionemu w tubie kumplowi. Zespół Mason wykazał najpierw, że w przypadku przyjaciół z tej samej klatki ten przebywający na zewnątrz przeważnie uwalnia kolegę z potrzasku. Następnie badacze stwierdzili, że szczury zachowują się tak samo, jeśli w pobliżu znajdzie się pudełko z czekoladkami. Szczur puszczony wolno otworzy obydwa pojemniki i słodkościami podzieli się z kumplem^[13].

Skoro się dowiedziałem, że szczury potrafią uwolnić przyjaciela, musiałem uwierzyć, że i psy są do tego zdolne. Byłby to znakomity test na sprawdzenie, w jakim stopniu psom zależy na ludziach. Doszedłem do wniosku, że wystarczy skonstruować specjalną pułapkę na człowieka, wyposażoną w zewnętrzną zasuwkę, z którą pies poradzi

sobie bez trudu; po czym znaleźć ochotnika, który pozwoli się zamknąć w środku i będzie przekonująco wzywał pomocy.

Zaczęliśmy od przygotowania „trumny” z kartonowych opakowań ze sklepu spożywczego, które połączyliśmy szeroką taśmą materiałową. Żeby dorosły człowiek mógł wczłgać się do środka, trzeba było skleić ze sobą trzy puste kartony. Miejsce, w którym miała się znaleźć głowa ochotnika, zostawiliśmy niezaklejone, a z boku wycięliśmy dostatecznie duży otwór, żeby pies mógł zobaczyć, co jest wewnątrz. Mógł też wcisnąć nos do środka, rozepchać otwór i otworzyć pudło – gdyby tylko miał na to ochotę.

Tę skomplikowaną aparaturę przetestowaliśmy najpierw na Xephos; z przykrością informuję, że suczka nie reagowała na moje wrzaski i nie próbowała wydobyć mnie z „trumny”. Dowiedziałem się potem od mojego studenta Joshuy Van Bourga, który prowadził eksperyment, że Xephos biegała w kółko wyraźnie zaniepokojona i próbowała wezwać na pomoc moją żonę – ale pudła nie otworzyła. Z kolei gdy żona wczłgała się do środka i zaczęła wzywać pomocy, suczka natychmiast otworzyła „trumnę” i wyswobodziła z niej bezradną z pozoru więźniarkę. Powiedzmy, że test przyniósł niejednoznaczne wyniki.

Po pierwszych doświadczeniach Josh skonstruował dużo solidniejsze pudło i zaprosił do udziału w eksperymencie wiele osób, które dały się zamknąć, po czym rozpaczliwie wzywały na pomoc swoje psy. Badanie wciąż jest w toku, niemniej Josh otrzymał już mocne dowody, że większość psów wydobędzie udręczonego właściciela z pojemnika. Odkrył też istotne różnice między wynikami swoich testów a rezultatem badań prowadzonych na szczurach. Zespół Mason ustalił, że w pierwszym dniu eksperymentu około 40 procent szczurów uwolniło swojego kumpla – rozwiązanie problemu zajmowało im jednak przeciętnie godzinę. Po tygodniu codziennych testów wciąż zaledwie połowa

szczurów uwalniała kompanów z potrzasku i trwało to więcej niż kwadrans. Psy badane przez Josha radziły sobie zdecydowanie szybciej: w jednym z testów, trwającym zaledwie dwie minuty, mniej więcej jedna trzecia wyswobodziła swoich państwa.

O ile mi wiadomo, Josh jest pierwszym naukowcem, który zajął się w swych badaniach kwestią pomocy międzygatunkowej. Dziedzina jest fascynująca sama przez się, a Josh zyskał moim zdaniem mocne dowody na potwierdzenie tezy, że psy mają silną potrzebę pomagania swoim właścicielom. Z innych badań wynika, że psom zależy na ludzkim towarzystwie – teraz się okazało, że dołożą wszelkich starań, żeby wydobyć z opresji osoby, z którymi łączy je szczególna więź.

Oczywiście nie wszystkie psy biorące udział w eksperymencie okazywały chęć ratowania ludzi. Podejrzewam jednak, że wynika to po części z przyjętych założeń. Testy są z konieczności krótkie: żeby pozyskać większą liczbę wolontariuszy i uniknąć wrażenia, że ich wołania o pomoc zostały wcześniej przećwiczone. Co więcej, nie wszyscy właściciele psów potrafili równie przekonująco odegrać rozpacz i desperację. Z pewnością dlatego nie wszystkie psy przybiegły im w sukurs.

Myślę też, że niektóre chciały pomóc, ale nie wiedziały, jak to zrobić. Podejrzewam, że to samo odnosi się do kanadyjskiego eksperymentu MacPherson i Roberta. Reakcje psów były czasem nieodparcie śmieszne, co nie zmienia faktu, że zwierzęta mogły być naprawdę zdenerwowane widokiem pana symulującego zawał lub uwięzionego pod przewróconym regałem – tylko nie miały pojęcia, jak się zachować w tej sytuacji.

Na tej samej zasadzie część psów biorących udział w naszym badaniu mogła mieć kłopot ze zrozumieniem, jak otworzyć pudło i wypuścić pana ze środka. Takie są nieuchronne ograniczenia eksperymentów behawioralnych. Choć badanie zostało opracowane w taki sposób, żeby pies

mógł w miarę spontanicznie okazać troskę i chęć pomocy, nie da się zaprzeczyć, że w niektórych przypadkach problem przerósł ich możliwości intelektualne. Jeśli spróbujesz przeprowadzić ten test na własnym psie, niewykluczone, że twój pupil poczuje się zdezorientowany.

Z materiałów wideo zarejestrowanych podczas badań wynika jednak, że psy były przeważnie zestresowane sytuacją, nawet jeśli nie wszystkie otworzyły „trumnę”, żeby wypuścić z niej właściciela. Co więcej, nasze eksperymenty dowodzą, że większość psów pomaga ludziom w potrzebie – pod warunkiem, że zwierzę rozumie, na czym polega problem, i umie go rozwiązać przy użyciu opanowanych już wcześniej zachowań. Kopanie, ciągnięcie za włosy – psy się na tym znają. Jeśli ograniczyć się do tych podstawowych parametrów, wyjdzie na jaw, że psom zależy na nas wystarczająco, by przyjść nam z pomocą.

Przeszło sto lat temu Edward Thorndike, jeden z amerykańskich pionierów psychologii zwierząt (przez wielu, podobnie jak Pawłow, uważany za ojca behawioryzmu), poskarżył się gorzko w swojej książce: „Psy gubią się setki razy i nikt na to nie zwraca uwagi, a tym bardziej nie pisze o tym do czasopism naukowych. Ale niech tylko jakiś trafi z Brooklynu do Yonkers, a jego wyczyn natychmiast stanie się przedmiotem anegdoty”^[14].

Thorndike trafił w dziesiątkę: mamy naturalną skłonność do cudownych i wyjątkowych historii. Czasem kryją w sobie ziarno prawdy, przeważnie są jednak wyolbrzymione i nie należy wyciągać ogólnych wniosków na ich podstawie. Jeśli nasza wiedza o psach ma być obiektywna i naukowa, jeśli ma się przyczynić do lepszej opieki nad tymi zwierzętami, musimy tak konstruować testy i eksperymenty, żeby ustalić bez żadnych wątpliwości, co pies potrafi i do czego jest zdolny.

Dlatego zabrakło w tym rozdziale zmyślonych anegdot i świadectw z drugiej ręki, jak to psy nas kochają i się o nas

troszczą. Z naukowego punktu widzenia opowieści o wyczynach Lassie są równie bezwartościowe jak opublikowana w 1940 roku na łamach „Daily Mail” wiadomość, że pies wydostał swoją właścicielkę spod gruzów zbombardowanego domu – chyba że uzyskam eksperymentalny dowód na to, że psy są naprawdę zdolne do takich dokonań (rzecz jasna, nie mam zamiaru bombardować niczyich domów). Pokaz MacPherson i Robertsa, z którego wynikało, że psy wcale nie są skłonne do niesienia pomocy ludziom w potrzebie, ma równie istotny wkład w nasze rozumienie relacji między psem a człowiekiem jak dużo bardziej optymistyczne wyniki badań mojego studenta Josha. Nie mając pod ręką obiektywnych dowodów, tym bardziej podałbym w wątpliwość interpretację psiego uśmiechu i machania ogonem (aczkolwiek przyznaję, że nawet mnie trudno byłoby zakwestionować, że merdanie jest oznaką radości).

Behawior traktuję śmiertelnie poważnie – jako wyznacznik relacji zwierzęcia ze światem. Dysponujemy wystarczającą liczbą dowodów behawioralnych na potwierdzenie tezy, że psom naprawdę zależy na ludziach. Psy do nas lgną; przedkładają nasze towarzystwo nad jedzenie; okazują chęć pomocy, kiedy jesteśmy w potrzebie. Wszystko to sugeruje, że łączy je z nami silna więź emocjonalna, że im na nas zależy – znacznie bardziej, niż byłaby skłonna przyznać większość uczonych i ekspertów.

Zdaję też sobie sprawę, że trudno dociec motywacji, badając wyłącznie działania. Co psy o nas myślą? Wskazówki mogą się kryć w psich zachowaniach – odpowiedzi trzeba szukać w ich ciele.

4 Ciało i dusza

Xephos wydaje czasem dźwięki, które brzmią jak coś pośredniego między wyciem a skomleniem. Nazywam to żartobliwie próbami mówienia po angielsku. Na ogół potrafię ją zrozumieć mimo dzielącej nas bariery językowej. Wiem, że uwielbia spacerować, że kocha swoją ludzką rodzinę, żywi mieszane uczucia wobec kotów, woli nasze jedzenie od psiej karmy i tak dalej. Niemniej fakt, że Xephos i jej pobratymcy nie mogą powiedzieć nam wprost, co czują, wznosi mur niedomówień między naukowcami a ofutrzonym przedmiotem ich badań.

Narzędzia stosowane w psychologii z pewnością pomagają nam przedrzeć się przez ten mur. Pomysłowe eksperymenty umożliwiają obserwowanie związków między wydarzeniami dnia codziennego (na przykład pojawieniem się bliskiej osoby albo wskazywaniem palcem na obiekt) a behawiorem naszych psów (szukanie bliskości z człowiekiem, odczytywanie gestu). Te oraz inne testy na pewno poszerzają naszą wiedzę i pozwalają lepiej zrozumieć psie zachowania. Trudno jednak zyskać wgląd w jego głębszą motywację, ograniczając się wyłącznie do badań behawioralnych.

I tak, mimo coraz większej liczby dowodów naukowych – i rosnącego przekonania, że Xephos łączy ze mną silna więź emocjonalna – doszedłem do granic wykorzystania narzędzi używanych przez behawiorystów. Byłem też coraz bardziej świadom, że wielu specjalistów od psychologii psów nie podziela mojej pasji studiowania zwierzęcych emocji i raczej nie będą pomocni w dalszych poszukiwaniach w tej dziedzinie. Psycholodzy zostali w tyle. Na szczęście inna grupa uczonych – biolodzy – ruszyła pełną parą naprzód.

Wiele najnowszych badań naukowych koncentruje się na biologicznych uwarunkowaniach psych reakcji na ludzi. W tej kategorii mieszczą się jedne z najciekawszych i najbardziej twórczych projektów badawczych współczesnej kynologii. Zdawałem sobie sprawę, że materiał z tych badań może

dostarczyć niezbitych argumentów na potwierdzenie mojej tezy, że istotą wyjątkowości psów jest ich troska o ludzi.

Jeśli psy angażują się emocjonalnie w relacje z przedstawicielami naszego gatunku, powinniśmy szukać na to dowodów w ich ciele – a ściślej, w aktywowaniu mechanizmów biologicznych odpowiedzialnych za kontrolę emocji. Uczeni wyodrębnili wiele wskaźników fizjologicznych, między innymi neurologicznych, hormonalnych i kardiologicznych, które wiążą się z konkretnymi reakcjami emocjonalnymi u ludzi. Ponieważ ewolucja wszystkich zwierząt przebiega z udziałem tych samych mechanizmów, zbliżona aktywność wymienionych wskaźników u przedstawicieli innych gatunków sugerowałaby, że doświadczają podobnych stanów wewnętrznych.

Jeśli więc psom naprawdę zależy na ludziach, ich odczucia powinny znajdować odzwierciedlenie w ich biologii. Tkwiące w niej dowody wyjątkowości psów wyjdą na jaw, kiedy znajdziemy odpowiednie do tego celu narzędzia.

Mówiąc o emocjach, siłą rzeczy wspominamy o sercu. Nie bez przyczyny: emocje dosłownie przyspieszają nasz puls. Pawłow i Gantt odkryli to przeszło sto lat temu, kiedy postanowili umocować elektrody do klatki piersiowej psa, żeby sprawdzić, jak zmienia się rytm uderzeń jego serca na widok osoby wchodzącej do komory badawczej. Dwaj uczeni doszli do wniosku, że obecność znajomego człowieka uspokaja podenerwowane zwierzę.

Podobne założenia przyjęło niedawno dwoje badaczy w Australii: Craig Duncan z Australijskiego Uniwersytetu Katolickiego i Mia Cobb z Uniwersytetu Monasha. Wspólnie przygotowali wspaniały pokaz, który dowiódł, że dwa serca potrafią naprawdę bić w jednym rytmie, jeśli pies i jego właściciel są zgrani pod względem emocjonalnym. Badanie przeprowadzono z pomocą firmy produkującej karmę dla psów, a jego przebieg można obejrzeć w sieci (wideo *Pedigree Hearts Aligned* jest dostępne w serwisie YouTube). Znam oboje uczonych i rozmawiałem o tym eksperymencie z Mią Cobb. Wideo sprawia dość powierzchowne wrażenie, samo badanie było jednak rzetelne i dało bardzo przekonujące wyniki.

Duncan i Cobb wyposażyli trzy osoby oraz ich psich kompanów w pulsometrię. Urządzenie nie tylko mierzy częstotliwość pulsu, lecz także – w przypadku równoległego monitorowania dwóch badanych – pozwala określić, czy ich serca biją synchronicznie.

Do udziału w eksperymencie uczeni wytypowali ludzi szczególnie blisko związanych ze swoimi podopiecznymi. Glenn jest budowlańcem, który doznał rozległych obrażeń, kiedy zawaliło się pod nim rusztowanie na placu budowy. Jak sam powiedział, wypadek okazał się prawdziwym koszmarem; gdyby nie ukochana Lyric, zapewne nie odzyskałby chęci do życia. Alice jest głucha od urodzenia; suczka Juno zastępuje jej zmysł słuchu, informując ją o wszystkim, co dzieje się dookoła. Sienna jest młodą kobietą, która bardzo przeżyła śmierć swojego psa Maksa. Nigdy nie sądziła, że jakiegokolwiek inne zwierzę będzie dla niej równie wiele znaczyć, ale jej nowy podopieczny Jake postanowił za wszelką cenę dowieść, że to nieprawda.

Reguły eksperymentu były proste. Badacze prosili uczestników, żeby siadali na zmianę na kanapie; następnie mocowali im pulsometr do klatki piersiowej. Duncan i Cobb wywnioskowali z odczytów wyświetlanych na ekranie komputera, że ludzie są odrobinę zestresowani tą sytuacją. Osoba nieprzyzwyczajona czuje się dość nieswojo z przyklejonym do piersi nadajnikiem; wrażenie dyskomfortu pogłębiała konieczność siedzenia na kanapie pod obstrzałem kamer rejestrujących każdy, choćby najdrobniejszy skurcz mięśni. Po założeniu pulsometrów właścicielom do pomieszczenia wpuszczano psy – również wyposażone w urządzenia do monitorowania pracy serca.

Natychmiast po spotkaniu z psem właściciel się odprężył, o czym świadczył spadek jego tętna. Wkrótce potem puls psa synchronizował się z pulsem właściciela: ich serca biły dosłownie w jednym rytmie. Trudno o piękniejszy dowód intymnej relacji między psem a człowiekiem.

Tego eksperymentu zapewne nie da się przeprowadzić w warunkach domowych. Nawet jeśli masz swój własny pulsometr, odradzam mocowanie urządzenia na klatce piersiowej psa bez asysty fachowca. Możesz jednak sam

zaobserwować uczucie wszechogarniającego spokoju i głębokiego odprężenia, jakiego doświadcza większość ludzi w obecności swojego pupila. Każdy blisko związany z psem człowiek zaznał wielokrotnie tej pogodnej wspólnoty.

Pulsometry nie są szczególnie kosztowne ani trudno dostępne, uczeni mogą więc bez przeszkód badać, co dzieje się w ciele psa związanego silną relacją z człowiekiem. Gregory Berns z Uniwersytetu Emory'ego w Atlancie używa jednak znacznie droższej aparatury. Prowadzona przez niego analiza biologicznych podstaw interakcji psa z człowiekiem sięga w głąb organu, który kontroluje wszystkie rodzaje motywacji – czyli mózgu.

W 2012 roku Berns był cenionym specjalistą w stosunkowo nowej dziedzinie neuroekonomii – która wykorzystuje narzędzia neuronauki do badania przyczyn ludzkich zachowań w sferze ekonomii. Berns i jego współpracownicy instruuja ochotników, żeby podczas obrazowania metodą rezonansu magnetycznego (MRI) leżeli całkiem nieruchomo. Aparat MRI wykorzystuje potężne pole magnetyczne do tworzenia niezwykle szczegółowych obrazów mózgu w stanie czujności. Porównując obrazy uzyskane za pośrednictwem MRI w trakcie rozmaitych rodzajów aktywności umysłowej, uczeni mogą ustalić, jakie obszary mózgu odpowiadają za konkretne sfery myślenia.

Obrazy aktywności mózgu, uzyskane przez zespół Bernsa podczas badania ochotników, którzy na ich polecenie głośnią się nad zagadnieniami ekonomicznymi, są tak precyzyjne, że na ich podstawie można wyodrębnić ośrodki odpowiedzialne za rozmaite aspekty przetwarzania informacji ekonomicznych.

Ponieważ sukces badania MRI wiąże się z koniecznością trwania przez pacjenta w całkowitym bezruchu, obrazowanie tą metodą stosowano wyłącznie w odniesieniu do przedstawicieli naszego gatunku. Berns traktował swoje psy jak członków rodziny i zawsze chciał rozwikłać zagadkę, o czym tak naprawdę myślą te ukochane i odwzajemniające jego uczucia stworzenia. Mimo to nigdy nie przyszło mu do głowy, że do zbadania, co dzieje się w psim mózgu, można wykorzystać MRI.

Coś jednak zaiskrzyło w umyśle Bernsa, kiedy usłyszał o tajnej operacji, w której 2 maja 2011 roku zginął Osama bin Laden. Berns zwrócił uwagę, że w grupie zaangażowanych w akcję komandosów Navy SEALs znalazł się także pies, a ściślej owczarek malinois. Jak czytamy w jego fascynujących wspomnieniach z wydarzeń, które dały mu impuls do opracowania nowej linii badań, uderzyło go pewne zdjęcie^[1]. Przedstawiało wojskowego psa, który był przywiązany do piersi żołnierza skaczącego ze spadochronem z samolotu. Berns nie mógł wyjść z podziwu, że psa da się wyszkolić do przebywania w tak ekstremalnych warunkach. Pies (podobnie jak żołnierz) był wyposażony w maskę tlenową. Musiał znieść potworny hałas silników lotniczych, nie wspominając już o odczuciach, jakie towarzyszą spadaniu z tak dużej wysokości.

Świadomość, że psy można wytrenować do niezwykle wyczynów w absolutnie skrajnych okolicznościach, rozpałała wyobraźnię Bernsa i zainspirowała go do opracowania cyklu przełomowych badań nad psim mózgiem – eksperymentów, które mogłyby dostarczyć mocnych dowodów na potwierdzenie teorii, że o wyjątkowości psów stanowi ich emocjonalne zaangażowanie w relacje z ludźmi.

Berns zapisał niedawno swoją suczkę Callie na szkolenie dla szczeniaków prowadzone przez wybitnego trenera Marka Spivaka. Teraz spytał go, czy jego zdaniem można nauczyć psa, żeby leżał nieruchomo w aparacie MRI.

Badacz wiedział, że obrazowanie mózgu psa przy użyciu MRI wymaga współpracy ze strony zwierzęcia. Żeby aparat mógł szczegółowo zarejestrować, co dzieje się w czyjejś głowie, pacjent albo ochotnik musi leżeć całkiem bez ruchu w wąskim tunelu, przy wtórze głośnych i nieprzyjemnych dźwięków. Badanie rezonansem magnetycznym wzbudza niepokój nawet u ludzi, których zapewniono o bezpieczeństwie tej procedury. Jak można nauczyć psa – któremu ludzkie wyjaśnienia nic nie pomogą – żeby leżał zupełnie nieruchomo w takiej niewygodzie?

Spivak zapewnił Bernsa, że jest to możliwe. Stwierdził, że dzięki nowoczesnym i humanitarnym metodom treningowym da się wyszkolić psa, żeby wytrzymał w bezruchu na czas badania w skanerze MRI.

Berns podjął współpracę ze Spivakiem. Wspólnie zbudowali prostą drewnianą ramę, w której uczyli psy leżeć w pozycji sfinksa, z łapami po obu stronach głowy. Berns nagrał odgłosy wydawane przez aparat MRI w trakcie obrazowania mózgu, Spivak wyszkolił psy do noszenia słuchawek, po czym odtwarzał w nich te niepokojące dźwięki aż do momentu, kiedy zwierzęta oswoiły się ze stukotem i buczeniem skanera.

W następnej kolejności Berns i Spivak skonstruowali atrapę skanera MRI, żeby psy mogły się przyzwyczaić do przebywania w wąskim i ciasnym tunelu. Umieściwszy atrapę na stole, nauczili psy wchodzić po schodkach i kłaść się wewnątrz drewnianej obudowy aparatu, gdzie odtwarzano im w słuchawkach uciążliwe odgłosy, z którymi później miały się zetknąć w prawdziwym aparacie MRI. W długotrwałym i żmudnym procesie kształtowania psiego behawioru używali wyłącznie wzmocnienia pozytywnego (czyli smakołyków) i przechodzili do następnego etapu szkolenia dopiero wówczas, gdy zachowanie psów świadczyło o oswojeniu z sytuacją i gotowości do podjęcia nowych wyzwań.

Wreszcie, po kilku miesiącach szkolenia, Spivak i Berns uznali, że dwa psy mogą już wejść do prawdziwego skanera i wytrzymać w nim bez ruchu. Obydwa zwierzęta radziły sobie na tyle dobrze podczas treningu, że zamknięcie w tej dziwnej tubie oraz towarzyszące badaniu drgania i hałasy nie powinny przysporzyć im kłopotu.

Kiedy psy nauczyły się już wygodnie układać w aparacie, Berns rozpoczął serię badań. Był ciekaw – podobnie jak ja – co psy sobie myślą o swoich ludziach, postanowił więc sprawdzić, czy tajemnica tej międzygatunkowej więzi emocjonalnej kryje się w ich mózgach. Żeby jednak zinterpretować reakcje psiego mózgu na obecność człowieka, musiał wpierw zyskać pewność, czy metoda MRI umożliwi wyodrębnienie obszarów odpowiedzialnych za układ nagrody – aktywowany przez pojedynczy, prosty bodziec, na przykład jedzenie. Najpierw musiał się dowiedzieć, w jaki sposób mózg psa reaguje na jednoznaczną nagrodę w postaci smakołyku. Dopiero na tej podstawie mógł ocenić, jaką przyjemność daje psu przebywanie w ludzkim towarzystwie.

Żeby sprawdzić, jakie obszary mózgu aktywują się pod wpływem spodziewanej nagrody, nie wystarczyło zamknąć psa w skanerze i pokazać mu coś dobrego. Pies mógłby zacząć się wiercić i ślinić, a to przeszkodziłoby w uzyskaniu precyzyjnego obrazu aktywności jego mózgu. Berns i Spivak nauczylili więc psy, że sygnał ręką (a ściślej, uniesienie pionowo lewej dłoni) oznacza, że za chwilę dostaną jakiś kąsek; drugi sygnał (dłonie uniesione poziomo i zetknięte czubkami palców) wskazywał, że nie ma co liczyć na smakołyk. Obydwa psy umiały po każdym sygnale utrzymać głowę w bezruchu wystarczająco długo, żeby Berns i jego asystenci zdążyli wyodrębnić aktywujące się w mózgu ośrodki^[2].

Podczas pierwszego badania zespół Bernsa ustalił, że mózg psa spodziewającego się jakiejś atrakcji funkcjonuje podobnie jak mózg człowieka. Neurony uaktywniały się w części zwanej ciałem prążkowanym brzuszynym. Struktura, wchodząca w skład skupiska neuronów określanego mianem prążkownia, odgrywa istotną rolę w mózgowym układzie nagrody, który z kolei wiąże się z motywacją i kontrolą wszelkich zachowań. Odkrycie, że ten obszar uaktywnia się także u psów oczekujących nagrody, potwierdziło słuszność założeń Bernsa i jego współpracowników.

W pierwszym eksperymencie uczestniczyły dwa psy. Ze względu na konieczność intensywnego szkolenia zespół Bernsa i Spivaka nie chciał tracić czasu i energii na trenowanie większej liczby zwierząt, aż zyska pewność, że metoda przynosi owoce. Dopiero po otrzymaniu wstępnych wyników naukowcy przystąpili do ćwiczenia kolejnych psów – obecnie prowadzą badania z udziałem przeszło dziewięćdziesięciu osobników przyuczonych do leżenia bez ruchu w skanerze MRI.

Kiedy udało się zobrazować konkretne wzorce aktywności psiego mózgu w reakcji na smakołyk, współpracownicy Bernsa i Spivaka przeszli do najważniejszej sprawy – badania aktywności mózgowej psów w relacjach uczuciowych z ludźmi. Przeprowadzili test na dwunastu psach, dając im do powąchania kawałek tkaniny przesiąknięty ich własnym zapachem, tkaninę pachnącą zaprzyjaźnionym człowiekiem oraz szmatki o zapachu obcej osoby, znajomego psa i obcego psa. Tym razem okazało się, że ciało prążkowane brzuszne uaktywnia się głównie pod

wpływem zapachu znajomego człowieka – osoby zajmującej się psem na co dzień. Aktywacja ośrodka powiązanego z nagrodą w postaci jedzenia potwierdza tezę, że mózg psa interpretuje obecność bliskiej osoby jako przyjemność najwyższej kategorii^[3].

Cynik mógłby uznać, że aktywacja ciała prądkowanego brzuszego w reakcji na zapach właściciela niekoniecznie oznacza przyjemność wywołaną samym tylko wspomnieniem znajomego człowieka. Skoro właściciel regularnie karmi psa, jego woń może przywołać psu na myśl jedzenie, a mózgowy układ nagrody aktywować się właśnie pod wpływem tego skojarzenia.

Poznałem Gregory'ego Bernsa na jednej z konferencji i zgłosiłem mu swoje zastrzeżenia. Zasugerowałem nawet, żeby przeprowadził ten sam eksperyment z udziałem osób, które są silnie związane ze swoimi psami, ale z jakichś powodów ich nie karmią. Berns całkiem słusznie zwrócił uwagę, że trudno byłoby znaleźć takich ludzi, po czym oznajmił, że wdrożył właśnie inny eksperyment, który zapewne rozproszy moje wątpliwości.

Istotnie, Berns i jego asystenci z Uniwersytetu Emory'ego wpadli na znacznie lepszy pomysł niż ja. Opracowany przez nich eksperyment jest wprawdzie dość skomplikowany, odbywa się bowiem w trzech etapach – trud przygotowań zwraca się jednak z nawiązką.

Zespół Bernsa zaczął od wytypowania piętnastu psów, które następnie wyszkolono do leżenia nieruchomo w skanerze MRI. Psom zamkniętym w aparacie badacze dawali sygnały, że mogą się spodziewać nagrody w postaci jedzenia albo pochwały od ważnej dla nich osoby. Zatknięty na koniec długiego pręta plastikowy samochodzik oznaczał trzysekundową pochwałę z ust właściciela psa. Plastikowy konik – kawałek parówki. W ten sposób spróbowano określić stopień aktywacji mózgowych ośrodków nagrody w odpowiedzi na jedzenie i na pochwałę od bliskiego człowieka.



Kady, jedna z podopiecznych Gregory'ego Bernsa, w atrapie skanera MRI. Plastikowy samochodzik zapowiada nadejście ukochanego opiekuna

W drugiej części eksperymentu badacze posłużyli się wyłącznie zwiastunem pochwały, czyli plastikowym samochodzikiem. Tym razem jednak sygnał nie gwarantował, że pies otrzyma spodziewaną nagrodę (pochwałę od pana). Miara mózgowego sygnału rozczarowania jest w tym przypadku odwrotnością miary aktywacji układu nagrody.

Po drugim etapie badań zespół Bernsa dysponował dwoma sygnałami neuronowymi, na których podstawie można było określić, jaką wartość dla psa ma oferowana mu przez człowieka nagroda społeczna. W pierwszej części eksperymentu, gdy badacze konsekwentnie sygnalizowali, kiedy pies może spodziewać się nagrody, określano stopień aktywacji mózgu w obrębie ciała prążkowanego brzuszego w reakcji na ludzką

pochwałę w porównaniu z analogicznym poziomem aktywacji w odpowiedzi na smakołyk. Różnica między obydwooma sygnałami wyznaczyła pierwszą miarę oceny pochwały wobec oceny smakołyku. W kolejnej części badania różnica między przyjemnością z otrzymanej nagrody a rozczarowaniem z powodu jej braku wyznaczyła drugą miarę oceny pochwały psa przez człowieka.

Obydwie miary okazały się ściśle ze sobą powiązane. Suczka imieniem Pearl, którą Berns opisał jako „niedużą i pełną energii golden retrieverkę”, przejawiała znacznie większą aktywność mózgową w reakcji na pochwałę niż na jedzenie; zdradzała też największe rozczarowanie, kiedy sygnał pochwały ze strony człowieka nie pociągał za sobą spodziewanej nagrody^[4]. Tymczasem pies o imieniu Truffles, którego mózg reagował na pochwałę dużo słabiej w porównaniu z reakcją na jedzenie, przejawiał równie wątpliwe neurologiczne oznaki rozczarowania, kiedy pochwały nie otrzymał. Tylko u dwóch z piętnastu psów zanotowano większą aktywność mózgową w reakcji na jedzenie niż na pochwałę – mózgi pozostałych trzynastu albo reagowały silniej na pochwałę, albo nie przejawiały żadnych różnic w odpowiedziach na oba rodzaje nagród.

Najbardziej pomysłowa okazała się jednak trzecia część eksperymentu. Na tym etapie badania psy wprowadzano kolejno do dużego pomieszczenia i dawano im wybór między dwiema ścieżkami: jedna prowadziła do siedzącego na krześle właściciela, od którego pies mógł spodziewać się pochwał i pieśczoty, druga – do miski pełnej smakołyków. Z miejsca, w którym pies musiał dokonać wyboru, było doskonale widać zarówno właściciela, jak i jaskrawożółtą miskę z przysmakami. Każdego psa testowano dwadzieścia razy – dając mu dwadzieścia okazji do zdecydowania, czy woli smaczne kąski czy pieśczotę właściciela.

Jak przekonał się zespół Bernsa, większość psów przedkładała pieśczoty nad miskę z jedzeniem, wynik badania sugerował jednak coś więcej niż przewagę pieśczot nad smakołykami. Ponieważ wszystkie psy przeszły wcześniej badanie rezonansem magnetycznym, uczeni mogli rozpatrzyć ich behavior w kontekście psych wzorców aktywności

mózgowej. Najbardziej fascynujące okazało się odkrycie, że w przypadku każdego psa wybór właściciela lub miski z jedzeniem idealnie pokrywał się z wzorcem aktywności mózgu zobrazowanym przez skaner MRI. Pearl – której mózg zdradzał znacznie większą skłonność do ludzkiej pieszczoty niż do przysmaków – kiedy miała wybrać ścieżkę, przeszło dwa razy częściej maszerowała do człowieka niż do miski. Jednak Truffles – którego mózg dużo słabiej reagował na pieszczotę niż na smakołyki – postawiony przed koniecznością wyboru, trzy razy częściej decydował się na jedzenie niż na kontakt z właścicielem. Berns podsumował wyniki swoich badań na łamach „New York Timesa”: „Doszliśmy do wniosku, że większość psów kocha nas co najmniej tak jak jedzenie”^[5]. Eksperyment zespołu Bernsa ma jednak znacznie szersze implikacje. Nie tylko wykazał, że wiele psów przedkłada swoich właścicieli nad jedzenie – dowiódł także, że psi mózg przetwarza informacje o stosunku do ludzi w tym samym ośrodku, który odpowiada za analizę podstawowych przyjemności, związanych między innymi z zaspokojeniem głodu.

Podjęta przez Bernsa próba rozwikłania zagadki, czy psia skłonność do ludzi znajduje odzwierciedlenie w mózgach tych zwierząt, zakończyła się oszałamiającym sukcesem. Wprawdzie psy nie posługują się ludzkim językiem, ale dzięki pomysłowości Bernsa i jego współpracowników przemówiły do nas ich mózgi – niosąc nam mocne i jasne przesłanie. Przywiązanie psów do ludzi rodzi się w głębi mózgu; miarą psiej troski o człowieka jest aktywność psich neuronów. Nie będzie przesadą stwierdzenie, że psy składają się z uczuć.

Szkoląc psy do leżenia bez ruchu w skanerze MRI i obserwując, jakie części ich mózgu uaktywniają się na wspomnienie ukochanego człowieka, Gregory Berns i jego współpracownicy zdołali wyznaczyć na mapie psiego umysłu obszar, w którym rodzi się więź emocjonalna z ludźmi.

Rzecz nie sprowadza się jednak do geografii umysłu. Kolejnym niezmiernie istotnym aspektem aktywności neuronalnej są bodźce chemiczne. Bez nich żaden mózg nie byłby w stanie funkcjonować. Nasze komórki nerwowe

porozumiewają się między sobą za pośrednictwem związków chemicznych zwanych neuroprzekaznikami; mózg koordynuje wszystkie procesy zachodzące w ciele dzięki hormonom.

Neurochemia jest jedną z najbardziej fascynujących dziedzin współczesnej biologii: pozwala uczonym pokonać barierę językową, która dzieli nas od innych gatunków zwierząt, z psami na czele. Geografia mózgu rzuca światło na zagadnienie, jak wiele znaczymy dla psów; chemia psiego umysłu daje nam niezrównany wgląd w relację między naszymi gatunkami – dostarcza też niezwykle ciekawych świadectw na potwierdzenie tezy, że psom naprawdę zależy na ludziach.

Jak wynika z najnowszych badań, główną rolę w kształtowaniu związku między psem a człowiekiem odgrywa pewien hormon. Chodzi o oksytocynę – której nazwa wywodzi się z greki i oznacza „szybki poród”. Związek ten został odkryty w 1909 roku przez angielskiego naukowca sir Henry’ego Halletta Dale’a, który stwierdził, że jakaś substancja w mózgu powoduje skurcze mięśnia macicy^[6]. Vincent du Vigneaud (wbrew pozorom Amerykanin) w 1955 roku otrzymał Nagrodę Nobla za określenie struktury chemicznej oksytocyny, pierwszego biologicznie czynnego peptydu, związku chemicznego powstałego przez połączenie kilku cząsteczek aminokwasów^[7]. Oksytocyna jest neuropeptydem – czyli peptydem, który ma bezpośredni wpływ na aktywność komórek mózgowych.

Ten niezmiernie istotny związek chemiczny, pierwotnie kojarzony ze specyficznymi dla płci żeńskiej procesami w rodzaju akcji porodowej i wydzielania mleka, według nowszych badań występuje u ssaków obydwu płci i wydzielana się w rozmaitych okolicznościach intymnych. Na przykład kiedy szczurzyca zachodzi w ciążę, poziom oksytocyny w jej krwi wzrasta; podwyższone stężenie neuropeptydu powoduje zwiększenie troski o potomstwo. Podawanie zastrzyków z tego peptydu – odpowiedzialnego za instynkt macierzyński – wzbudza zainteresowanie szczurzymi maluchami także u niezapłodnionych jeszcze samic. Podobnie jest u owiec: wyrzut oksytocyny podczas porodu sprawia, że maciorka zapamiętuje

zapach jagnięcia i dzięki temu potrafi je później zidentyfikować i odpowiednio się o nie zatroszczyć.

Badania nad kluczową rolą oksytocyny w cementowaniu więzi emocjonalnych rzuciły nowe światło na obraz relacji łączących psy z ludźmi. Wygląda na to, że psia miłość do człowieka wykracza poza kwestie behawioru, a nawet aktywności mózgowej, schodząc do poziomu psiej neurochemii. Jak się okazuje, związki chemiczne w mózgu psa współdziałają z geografią neuronów, dostosowując reakcje emocjonalne do bodźców zewnętrznych, w których kryje się klucz do zrozumienia psich uczuć do ludzi – a zarazem do ustalenia, w jaki sposób i w której części mózgu psa rodzi się jego przywiązanie do człowieka.

Nieproporcjonalnie dużą wiedzę o wpływie oksytocyny na czułość zachowań zawdzięczamy badaniom nad pewnym niewielkim gryzoniem zamieszkującym otwarte niziny w środkowo-zachodniej części Stanów Zjednoczonych i środkowej Kanadzie. Nornik preriowy, w przeciwieństwie do innych blisko z nim spokrewnionych członków podrodziny nornikowatych, jest na ogół monogamiczny, a potomstwem zajmują się oboje rodzice. Badacze odkryli, że oksytocyna odpowiada za reakcje norników preriowych na obecność i nieobecność życiowego partnera. Samica jest z reguły przywiązana do swojego samca, można w niej jednak wzbudzić zainteresowanie obcym osobnikiem, podając jej zastrzyk z oksytocyny. (Być może ten sam mechanizm występuje także u samców, aczkolwiek w tym przypadku wyniki są mniej jednoznaczne).

Oksytocyna odgrywa ważną rolę w kształtowaniu reakcji norników preriowych na potomstwo i partnerów seksualnych – to samo jednak dotyczy ośrodka w ich mózgu, który jest najwrażliwszy na działanie tego neuroprzekaźnika. Uczeni odkryli ten fenomen przy okazji obserwacji, że samice nornika preriowego przejawiają zróżnicowany stopień zainteresowania własnym potomstwem, powiązany ściśle z liczbą receptorów oksytocyny w tej części mózgu – pewnie już zgadliście, że chodzi o ciało prądkowane brzuszne.

To właśnie ten obszar, który uaktywnia się w mózgu psa w obecności ważnej dla niego osoby – czego dowiodły badania Gregory’ego Bernsa i jego współpracowników. Struktura wchodzi w skład skupiska neuronów zwanego prążkowiem, które odgrywa istotną rolę w mózgowym układzie nagrody, związanym z kontrolą wielu rodzajów zachowań. Znamienne, że ów obszar charakteryzuje się wyjątkowo dużym zagęszczeniem komórek wrażliwych na działanie oksytocyny.

Reasumując: analizy behawioru nornika preriowego (oraz badania nad szczurami, owcami i innymi gatunkami zwierząt) pozwoliły nam dużo lepiej zrozumieć mechanizm współdziałania konkretnych ośrodków w mózgu i neurozwiązków chemicznych w cementowaniu więzi społecznych i emocjonalnych między przedstawicielami tego samego gatunku. W ostatnich latach uczeni poszerzyli zakres swoich badań o relacje ludzi z ich psimi podopiecznymi.

Coraz więcej dowodów wskazuje, że te same neurony i neurozwiązki, które kształtują więzi wewnątrzgatunkowe, odpowiadają też za powstanie bliskości między człowiekiem a psem. Wygląda na to, że obecność oksytocyny w ciele prążkowanym brzuszny wpływa na przywiązanie zarówno psa do człowieka, jak i samicy nornika preriowego do partnera i potomstwa. Chyba najbardziej frapujące badanie nad tym zjawiskiem przeprowadzono w Japonii; dotyczyło ono roli oksytocyny w nawiązaniu i utrzymaniu więzi emocjonalnej.

Takefumi Kikusui i jego współpracownicy z Uniwersytetu Azabu na przedmieściach Tokio przodują w badaniach nad wpływem oksytocyny na reakcje psów na ludzi. W czerwcu 2011 roku miałem szczęście odwiedzić ich laboratorium. Takich warunków można im tylko pozazdrościć. Kikusui dysponuje oddzielnym budynkiem do badań nad psami, wyposażonym nie tylko w sprzęt do eksperymentów behawioralnych, ale też w urządzenia do analizy hormonalnej. Najbardziej jednak zazdroszczę Japończykom, że mogą przychodzić do laboratorium z własnymi psami. Podczas wizyty w gabinecie Kikusui dzieliliśmy pomieszczenie z jego trzema dorodnymi pudłami.

Oprócz badania wpływu oksytocyny na zachowania zwierząt laboratoryjnych wobec bliskich im stworzeń można też

analizować jej działanie na przedstawicieli naszego gatunku. Pewne ilości oksytocyny przedostają się do mózgu, jeśli zaaplikuje się ją w sprayu do nosa: kilku naukowców zastosowało ten trik, żeby manipulować poziomem peptydu w mózgach ochotników, którzy następnie obserwowali swoje reakcje na zmianę stężenia silnie działającego neurozwiązku. Badacze dowiedli między innymi, że podniesienie poziomu oksytocyny zwiększa zaufanie do obcych. Ludzie, którym sztucznie podwyższono stężenie tego hormonu, zapamiętywali też lepiej twarze i trafniej rozpoznawali emocje osób przedstawionych na zdjęciach. Przyczyna zapewne tkwi w tym, że wyższy poziom oksytocyny skłania ludzi do patrzenia innym prosto w oczy^[8].

Zespół Kikusui dokonał kilku fascynujących odkryć dzięki połączeniu technik badawczych. Na przykład uczeni pobierali od ochotników próbkę moczu i nauczyli ich psy siusiania na komendę, żeby skontrolować poziom oksytocyny w organizmie psa i człowieka w chwili ich kontaktu. Niezależnie od tej metody, zastosowali też u obu bezbolesną technikę aplikacji oksytocyny w sprayu do nosa, żeby różnicować jej stężenie. Ilekroć człowiek wchodził w interakcję z psem, badacze rejestrowali sytuację kamerą wideo, żeby tym dokładniej ocenić zmiany ich zachowania w zależności od poziomu oksytocyny w tkankach.

Dzięki innowacyjnej strategii pomiaru stężenia tego neurozwiązku w organizmach psów i ludzi Kikusui i jego współpracownicy odkryli coś niezwykłego: otóż poziom oksytocyny podnosił się po obu stronach, kiedy badani spoglądali sobie prosto w oczy. Natężenie tej reakcji zależy od siły więzi emocjonalnej łączącej psa z właścicielem; ludziom mocniej związanym ze swoimi podopiecznymi psy dłużej patrzyły w oczy. To z kolei powodowało silniejszy wyrzut oksytocyny niż w przypadku właścicieli luźniej związanych ze swymi psami. Zespół Kikusui przekonał się również, że psy, którym podano hormon, częściej spoglądają na swoich właścicieli. Pomiaru stężenia oksytocyny w ludzkim moczu dowiodły, że jej poziom u właścicieli podwyższał się nawet wówczas, kiedy dawano ją wyłącznie psom. Badacze z Uniwersytetu Azabu odkryli poza tym, że zwierzęta, którym

zaaplikowano oksytocynę, chętniej bawiły się z ludźmi i innymi psami^[9].

Ich wnioski pokrywają się idealnie z obserwacjami ludzkich matek i niemowląt: kobiety z wyższym stężeniem oksytocyny dłużej patrzą swoim dzieciom w oczy niż te, u których stwierdzono niższy jej poziom. Rodzice – bez względu na płeć – reagują gwałtownym wzruszeniem na widok matek doświadczających tego fenomenu. Wyobraźmy sobie, jak silne emocje muszą krążyć w podobnej sytuacji między psem a człowiekiem, skoro w ich sieciach neuronowych uaktywniają się te same obszary.

Te frapujące odkrycia stanowią zaledwie czubek góry lodowej. Nowatorskie badania nad rolą oksytocyny w kształtowaniu silnej więzi między psem a człowiekiem prowadzi się teraz na całym świecie. W rankingu krajów przodujących w tej dziedzinie Szwecja zajmuje równie wysoką pozycję jak Japonia.

Podczas mojej ostatniej wizyty w Szwecji usiłowałem dotrzeć do wszystkich tamtejszych naukowców, którzy prowadzą badania nad oksytocyną. Niestety, mój grafik był dość napięty, a Therese Rehn, młoda badaczka, której dorobek szczególnie podziwiam, była akurat na urlopie macierzyńskim. Zdołaliśmy jednak przegadać kilka godzin przy kawie i herbacie na głównym dworcu kolejowym w Sztokholmie. Nasza *fika*, czyli szwedzka przerwa na kawę, okazała się bardzo owocna. Rozmówczyni wzbogaciła moją wiedzę na temat roli oksytocyny w relacjach między psem a człowiekiem o nowe, fascynujące szczegóły.

Rehn i jej współpracownicy ze Szwedzkiego Uniwersytetu Rolniczego w Uppsali badali zjawisko, które zawsze uważałem za jedną z najdobitniejszych oznak psiego przywiązania do ludzi: sposób, w jaki psy reagują na nasz powrót do domu. Ilekroć się zastanowię, jak psy okazują nam swoje uczucia, dochodzę do wniosku, że trudno o gwałtowniejszą ich manifestację niż sceny towarzyszące powitaniam po długiej rozłące. W Phoenix w stanie Arizona można przyjść na lotnisko z psem. Uwielbiam patrzeć na podeksytowaną Xephos, kiedy ktoś z mojej rodziny

wyłoni się z tłumu pasażerów. Niemal jej zazdroszczę, jak pięknie się cieszy z powrotu naszych bliskich, okazując to o niebo lepiej ode mnie – całą swoją postawą i zachowaniem. Mój wrodzony brytyjski dystans nie pozwala mi obściskować się publicznie z osobami, które kocham; Xephos nie ma pod tym względem żadnych zahamowań. Szczeka wniebogłosy, przypada brzuchem do ziemi, zawzięcie merda ogonem, po czym rzuca się człowiekowi w ramiona, próbując skraść mu pocałunek. Obcy ludzie się na nią gapią, ale Xephos zupełnie to nie krępuje.

Spodobał mi się pomysł, żeby zbadać, co dzieje się wewnątrz psiego mózgu w tej znajomej, choć zagadkowej sytuacji – ewidentnej eksplozji uczuć wobec przedstawiciela innego gatunku. W swoim eksperymencie Rehn i jej koledzy mierzyli poziom oksytocyny u dwunastu beagli – przed wyjściem i po wyjściu ważnej dla nich osoby, która opuszczała pokój na dwadzieścia pięć minut. Właściciele podzielono na trzy grupy i każda dostała inne instrukcje, jak zachować się po powrocie z tego krótkiego rozstania. Członkowie pierwszej grupy mieli wejść z psem w przyjacielski kontakt werbalno-fizyczny (łagodna przemowa i czułe głaskanie); członkowie drugiej – po prostu odezwać się do niego miłym tonem; pozostali – usiąść obojętnie i zacząć czytać książkę. Po każdym spotkaniu obserwowano psa i człowieka przez cztery minuty.

Zespół Rehn odkrył, że poziom oksytocyny podnosił się nawet u psów zignorowanych przez wracających właścicieli. Im jednak więcej uwagi człowiek poświęcał psu, tym dłużej utrzymywał się u niego podwyższony poziom hormonu. Wyniki dowodzą, że za gwałtowną reakcją emocjonalną na powrót istotnej osoby stoją te same mechanizmy mózgowe, które odpowiadają za kształtowanie najważniejszych więzi uczuciowych.

Inna młoda badaczka, z którą miałem okazję porozmawiać w trakcie pobytu w Szwecji – Mia Persson z Uniwersytetu Linköping – prowadzi badania nad rolą oksytocyny w relacjach między psem a człowiekiem na jeszcze ciekawszej i głębszej płaszczyźnie: na poziomie genów kodujących receptory oksytocynowe, dzięki którym hormon uruchamia konkretne procesy w mózgu. Szukając powiązań między DNA psa a jego skłonnością do kontaktu z ludźmi, Persson i jej współpracownicy

analizują psie emocje na absolutnie najniższym poziomie organizacji życia.

Uczeni z Linköping wprowadzali kolejno sześćdziesiąt par – golden retrievery oraz ich właścicieli – do pomieszczenia testowego. Każdemu psu aplikowali do nosa oksytocynę w sprayu i stawiali go przed trudnym do rozwiązania problemem. Retriever widział przed sobą smakołyki, zamknięte jednak w specjalnie skonstruowanym pojemniku. W takich sytuacjach psy zwykle szybko dają za wygraną i patrzą błagalnie na człowieka, żeby im pomógł. (Tę część eksperymentu można bez kłopotu przećwiczyć w domu. Aż wstyd, ile psów przestaje sobie łamać głowę, jeśli może poprosić kogoś o pomoc). Dość zaskakujące, zwłaszcza w kontekście badań japońskich, ale większość psów naszpikowanych oksytocyną nie spoglądała na swoich państwa częściej niż psy z grupy kontrolnej, którym jej nie podano.

Eksperyment Persson miał jednak drugie dno. Używając pałeczki zakończonej bawełnianym wacikiem, uczeni pobrali próbkę DNA z pyska każdego psa, po czym przeanalizowali materiał pod kątem genu odpowiedzialnego za wytwarzanie mózgowych receptorów oksytocyny. Z tych badań wynika, że psy wykazują na nią różną wrażliwość – co tłumaczyłoby różnice w intensywności więzi emocjonalnych między naszymi gatunkami.

Badacze z Linköping odkryli, że zjawisko zmienności nukleotydów w obrębie genów kodujących mózgowie receptory oksytocyny dotyczy wyłącznie nukleotydów oznaczonych literami A i G. Ponieważ za każdą cechę odpowiadają dwie wersje genu, pies może być nosicielem jednego z trzech genotypów genu kodującego receptory oksytocynowe: AA (dwa allele A), GG (dwa allele G) lub AG (po jednym allele A i G). Te nieznaczne różnice mogą mieć zasadniczy wpływ na syntezę oksytocyny – a tym samym na relację psa z człowiekiem.

Osobniki z pierwszym genotypem przejawiały znacznie większą sympatię do ludzi niż psy z genotypem trzecim. Psy z wariantem genu AA chętniej prosiły człowieka o pomoc niż psy z wariantami GG i AG – kiedy zaaplikowano im oksytocynę, jeszcze gorliwiej domagały się pomocy właściciela [\[10\]](#).

To zdumiewające odkrycie łączy psie przywiązanie do człowieka z podstawową regułą organizacji życia – kodem genetycznym. Testy przeprowadzone przez zespół Persson – ukazujące sposób, w jaki poszczególne warianty genu determinują oddziaływanie pewnego neuropeptydu na behavior psów w tych relacjach – wyznaczają długą i krętą linię przewodnią od najniższych pokładów tożsamości biologicznej aż po wyżyny funkcji związanych z wyrażaniem emocji. Doprawdy niezwykle osiągnięcie – pierwszy krok na nowej drodze badań nad uczuciami psów wobec ludzi.

Uczeni zaobserwowali też inne ciekawe różnice w powiązaniach DNA psa z jego stosunkiem do człowieka. Anna Kis i jej współpracownicy, uczestniczący w pionierskim przedsięwzięciu Family Dog Project w Budapeszcie, dostarczyli kolejnych dowodów na niesłychaną złożoność genetyki psów, dokonując spektakularnego zwrotu w badaniach Mii Persson nad genami kodującymi receptory oksytocyny. Zespół Kis prowadził eksperymenty z psami dwóch ras i uzyskał szereg odmiennych rezultatów. Kiedy badacze wprowadzali oksytocynę do nozdrzy owczarka niemieckiego, potem zaś psa border collie, wynik zależał nie tylko od wariantu genu kodującego receptory oksytocynowe, ale też od rasy. Owczarek niemiecki zachowywał się przyjaźniej po zaaplikowaniu mu oksytocyny, jeśli był nosicielem „sprzyjającego” genotypu. Tymczasem border collie, jeśli miał wariant genu, który w przypadku owczarka niemieckiego determinował napięcie w relacjach z ludźmi, stawał się łagodniejszy.

Wynika stąd, że związki między genami a behawiorem są znacznie bardziej powikłane, niż nam się z początku wydawało. Genomy owczarka niemieckiego i border collie muszą czymś się różnić, skoro determinują odmienne reakcje behawioralne na wzrost stężenia oksytocyny. Ściślej rzecz ujmując, warianty kodu genetycznego w obrębie danej rasy muszą jakoś wpływać na interakcję oksytocyny z genami odpowiedzialnymi za wytwarzanie receptorów tego neurozwiązku, skoro psy obydwu ras wykształciły odmienne wzorce zachowań uczuciowych.

Od czułych zachowań, przez hormony miłości, aż po geny kodujące mózgowie receptory tych hormonów – uczeni wnikają

coraz głębiej w biologiczną istotę psa, znajdując coraz to nowe dowody, że psi organizm jest niejako zaprogramowany do związków emocjonalnych. Owe dowody, mimo że przekonujące, nie świadczą jednak, że pies jest pod tym względem wyjątkowy. Nie dają odpowiedzi na pytanie, które stało się punktem wyjścia moich dociekań: w czym tkwi sedno wyjątkowości psa?

Jako behawiorysta siłą rzeczy najlepiej się orientuję w wynikach badań z dziedziny behawioru psa. Nie mogę jednak zaprzeczyć, że zdefiniowanie różnic – także behawioralnych – między przedstawicielami dwóch dowolnych gatunków sprowadza się do prześledzenia odmienności w ich DNA^[2*].

Jeśli w psach istotnie kryje się coś wyjątkowego, musi mieć związek z genami. Wszelkie trwałe i niezbywalne różnice między wzorcami zachowań psów i wilków są z pewnością wpisane w ich kod genetyczny. Być może trudno je będzie odnaleźć, ale muszą tam być. Odkrycia Mii Persson i Anny Kis uświadomiły nam, w jaki sposób geny wpływają na behavior psów, ale kolejnych dowodów trzeba szukać gdzie indziej.

Znamy już każdą literę w wielkiej księdze kodu genetycznego psa: za sprawą bokserki imieniem Tasha, czwartego zwierzęcia na świecie, którego genom zsekwencjonowano w całości – w 2004 roku, w ramach projektu pod wodzą Kerstin Lindblad-Toh z Broad Institute w Cambridge w stanie Massachusetts. Informacje o psim genomie okazały się niezwykle użyteczne w badaniach nad chorobami genetycznymi, między innymi nad rakiem u psów. Przełomowe odkrycia w tej dziedzinie stanowią też klucz do rozwikłania tajemnicy psiej wyjątkowości^[11].

Pięć lat po odczytaniu genomu psa Bridgett von Holdt, młoda specjalistka genetyki z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles, stanęła na czele zespołu, który opublikował artykuł o dość drętwo brzmiącym tytule, kuszącym jednak obietnicą najświeższych odkryć w „bogatej historii udomowienia psa”^[12]. To wystarczyło, żeby przyciągnąć moje zainteresowanie – i stwierdzę bez żadnej przesady, że ten naukowy artykuł rzucił całkiem nowe światło na moją opinię o wyjątkowości psów.

Von Holdt i jej współpracownicy przedstawili wyniki drobiazgowej analizy genomu psa (a ściślej, genomów 912

psów) w porównaniu z genomem wilka (a ściślej, genomów 225 wilków). Badacze przyjrzeni się poszczególnym skrawkom materiału genetycznego w poszukiwaniu oznak niedawnej ewolucji. W tym konkretnym przypadku „niedawna ewolucja” oznaczała przemianę wilka w psa – proces zwany potocznie „udomowieniem”. Mówiąc krótko, zespół von Holdt poszedł tropem zmian genetycznych, dzięki którym powstał pies.

Podejrzewam, że wszyscy mają kłopot z językiem naukowym wykraczającym poza ramy znajomej dyscypliny – niemniej język genetyki przechodzi wszelkie ludzkie pojęcie. Wspólnie z moją ówczesną magistrantką Monique Udell (obecnie profesor Uniwersytetu Stanu Oregon) przeczytaliśmy wspomniany artykuł kilkakrotnie^[13]. Z początku nie dostrzegaliśmy niczego, co mogłoby się odnosić do naszej kwestii – na czym polega wyjątkowość psów w aspekcie psychologicznym. Było tam trochę o genach odpowiedzialnych za „tworzenie wspomnień i/albo sensytyzację behawioralną”, znaleźliśmy też kilka innych ciekawostek, ale poza tym nic, co wiązałoby się z odpowiedzią na nurtujące nas pytanie, czy psy wyróżniają się inteligencją czy umiejętnością kształtowania więzi emocjonalnych.

Następnie rzucił nam się w oczy fragment traktujący ściśle o genetyce: badacze odkryli mutację związaną z „genem odpowiedzialnym za występowanie u ludzi zespołu Williamsa [...], który objawia się między innymi wyjątkową ufnością wobec obcych”^[14].

„Wyjątkowa ufność” – trudno o lepsze podsumowanie zjawiska, które zaobserwowaliśmy podczas naszych badań behawioralnych. Czyżbyśmy znaleźli właściwy termin na określenie intensywnej więzi emocjonalnej, która łączy psa z człowiekiem? Natychmiast rzuciłem się do lektury opracowań na temat zespołu Williamsa i wkrótce się dowiedziałem, że spośród licznych objawów tego schorzenia na plan pierwszy wysuwa się nadmierna towarzyskość.

Ludzie z zespołem Williamsa nie rozumieją pojęcia „obcy”. Dla nich wszyscy są przyjaciółmi. Przeciętna charakterystyka osoby cierpiącej na zespół Williamsa wygląda mniej więcej tak: „otwarta, bardzo towarzyska, wyjątkowo przyjaźnie nastawiona,

ujmująca, wyjątkowo troskliwa wobec innych ludzi, nieokazująca lęku przed obcymi”.

W serwisie internetowym ABC News znalazłem odcinek programu 20/20 – o letnim obozie na północ od Nowego Jorku dla dzieci z zespołem Williamsa. Odcinek nosił tytuł *Gdzie wszyscy chcą się z tobą zaprzyjaźnić*^[15]. Dziennikarz Chris Cuomo był wyraźnie zbity z tropu gorącym przyjęciem ze strony uczestników. Dzieciaki, niezrażone obecnością kamer, zasypały go gradem pytań: Skąd przyjechał? Jaki jest jego ulubiony kolor? Czy ma dzieci? Jedna z małych pacjentek, na oko dwunastoletnia, spytała go, czy lubi dziewczynki. Kiedy odpowiedział twierdząco, zaczęła chichotać i w geście zażenowania zakryła usta dłonią.

Kiedy oglądałem ten dokument, natychmiast przyszły mi na myśl skojarzenia ze śmiesznymi filmikami na YouTube, w których ludzie udają psy. Najbardziej lubię cykl *Cat-Friend vs Dog-Friend* z udziałem Jimmiego Craiga i Justina Parkera, który w czasie pisania przeze mnie tej książki przekroczył liczbę 26 milionów wyświetleń^[16]. Justin Parker w roli psa zachowuje się całkiem jak dziecko z zespołem Williamsa: jest wyjątkowo przyjazny, uroczy, sympatyczny... wszystkie te przymiotniki równie dobrze pasują do dzieci z odcinka programu 20/20.

Muszę przyznać, że widok dzieciaków z zespołem Williamsa był dla mnie dość szokujący. Może to zabrzmie głupio, ale poczułem się, jakbym oglądał film o obozie dla dzieci udających psy. Od razu się zreflektowałem i zrobiło mi się wstyd. Nawet największy miłośnik psów nie pomyślałby w ten sposób o własnym dziecku (przynajmniej taką mam nadzieję). Mój syn był wówczas w wieku tych dzieciaków. Nie chciałbym, żeby ktokolwiek kwestionował jego człowieczeństwo, porównując go do psa.

Emocjonalnie czułem się skrępowany, patrząc na te dzieci; z punktu widzenia naukowca było to jednak niezmiernie ekscytujące. Pokrewieństwo między zachowaniami dzieci z zespołem Williamsa a intuicyjnym behawiorem psów było bardzo wyraźne. Czyżbym znalazł brakujące ogniwo? Od dawna szukana odpowiedź na pytanie o przyczynę psiej wyjątkowości?

Im dłużej myślałem o naukowych implikacjach tego, co właśnie zobaczyłem, tym większe ogarniały mnie wątpliwości. Kiedy porównywaliśmy z Monique zachowania psów i wilków, moja współpracownica często zwracała uwagę, że behavior danego osobnika nie jest uwarunkowany wyłącznie jego dziedzictwem genetycznym. Wpływ genów wiąże się ściśle z doświadczeniem życiowym. Ilekroć wdawaliśmy się w dyskusje, czy wilki potrafią zrozumieć wskazywanie palcem, cierpliwie tłumaczyliśmy kolegom, że w przypadku przedstawiciela innego gatunku reakcja na taki gest nie jest umiejętnością wrodzoną. Nawet ludzkie dzieci nie przychodzą z nią na świat; rozumienia mowy ciała uczą się dopiero w drugim roku życia. Oboje z Monique mogliśmy udowodnić, że niektóre wilki – zwłaszcza wychowane od małego przez człowieka, co nie zdarza się przecież zbyt często, choć w przypadku psów jest regułą – są całkiem chętne do podążania za gestem wskazywania i rozumieją, co on oznacza.

Tyle trudu włożyliśmy z Monique, by dowieść istotnej przewagi doświadczenia nad tożsamością genetyczną, że teraz było nam trochę nieswojo ekscytować się odkryciami genetyków. Nigdy jednak nie kwestionowaliśmy związku genetyki z wiedzą kynologiczną. Ani tym bardziej tego, że kod genetyczny jest kluczem do rozróżnienia między podgatunkiem *Canis lupus familiaris*, psa domowego, a pozostałymi podgatunkami wilka szarego, które wciąż uważamy za wilki.

Wkrótce potem Monique założyła własne laboratorium przy Uniwersytecie Stanu Oregon. Rzecz jasna, pozostaliśmy w kontakcie i często rozmawialiśmy o naszych wspólnych fascynacjach naukowych. Mniej więcej rok później Monique zetknęła się z Bridgett von Holdt na jakiejś konferencji. Bridgett odkryła, że geny odpowiedzialne za zespół Williamsa odegrały także kluczową rolę w ewolucji psa domowego. Oboje z Monique chcieliśmy rozstrzygnąć, czy znikoma różnica w genomach dwóch podgatunków – psa i wilka – mogła się przyczynić do tak istotnych różnic w ich behaviorze. Żeby rozwikłać ten ekscytujący problem, nawiązaliśmy współpracę z Bridgett.

Musieliśmy znaleźć sposób na ustalenie, czy geny, które zdaniem Bridgett uległy mutacji w procesie przejścia od wilka

do psa, odpowiadają właśnie za „skrajną towarzyskość” czy też za któryś z innych objawów zespołu Williamsa, niezwiązanych bezpośrednio z psim behawiorem^[17]. W pełni zdawaliśmy sobie sprawę, że na ten zespół wad wrodzonych składa się duża liczba genów (około 27), a osoby nim dotknięte przejawiają mnóstwo innych cech i zaburzeń poza intrygującą nas „towarzyskością”. Mają charakterystyczną dysmorfie twarzy, określaną jako „twarz elfa”, czasem też występują u nich wady serca, nadwrażliwość na dźwięki i upośledzenie rozwoju intelektualnego.

Akurat w trakcie tej burzy mózgów miałem okazję odwiedzić Wolf Science Center przy Uniwersytecie Weterynaryjnym w Wiedniu. Dopiero tam przekonałem się na własne oczy, jak ogromna przepaść behawioralna dzieli wilki od psów.

W Wolf Science Center, założonym przez troje behawiorystów – Kurta Kotrschala, Friederike Range i Zsófie Virányi – udało się stworzyć niemal identyczne warunki wychowu psów i wilków. Ośrodek mieści się w malowniczej wiosce wśród winnic, u stóp historycznego zamku, mniej więcej godzinę jazdy samochodem na południowy zachód od Wiednia. Przebywa w nim około dwudziestu wilków, odchowanych od małego i oswojonych z towarzystwem ludzi. Wielokrotnie spędzałem czas wśród wykarmionych butelką mieszkańców Wolf Park w stanie Indiana i choć wciąż jestem pod wrażeniem majestatu tych zwierząt, nie przyjechałem do Wolf Science Center ze względu na wilki. Byłem znacznie bardziej ciekaw tutejszych psów.

Żeby stworzyć miarodajny punkt wyjścia do badań porównawczych nad behawiorem wilków i psów, pracownicy ośrodka odchowują w tych samych warunkach podobną liczbę psich szczeniąt. Maluchy są odłączane od matek w pierwszych tygodniach życia i karmione mlekiem z butelki. Kiedy już się usamodzielnia, personel przenosi je do zagród, gdzie przebywają z reguły z innymi psami. Ponieważ zostały odchowane przez ludzi, czują się z nimi swobodnie, zupełnie jak psy domowe. Zarówno psy, jak i wilki widują personel codziennie i wchodzi z nim w interakcje, żyją jednak przeważnie wśród swoich. Ponieważ zwierzęta z obydwu grup wzrastają w niemal identycznych warunkach, wszelkie różnice

zaobserwowane podczas testów psychologicznych muszą wynikać z innych czynników niż wychowanie.

Zsófia, Friederike i Kurt oprowadzili mnie po ośrodku w chłodny lutowy dzień. Wolf Science Center jest wspaniale urządzone: dysponuje kilkoma zagrodami dla psów i wilków oraz pięknym laboratorium, które wygląda jak elegancki klub w środku lasu.

Podczas spaceru najpierw natknęliśmy się na wilki. Wygrzewały się w zimowym słońcu między zaspami śniegu po zamieci z poprzedniego tygodnia. Usłyszawszy, że się zbliżamy, kilka z nich wstało, przeciągnęło się i podeszło do ogrodzenia. Osoby zaznajomione z wilkami zaczęły je pieścić przez siatkę. Zwierzęta łagodnie merdały ogonami i dopraszały się głaskania, zachowując jednak rezerwę wobec gości. Niektóre w ogóle nie zwracały na nas uwagi.

Ruszyliśmy dalej, w stronę ogrodzenia, za którym mieszkały psy. Zanim zdążyliśmy podejść bliżej, psy wybiegły nam na powitanie, ujadając jak najęte i zawzięcie machając ogonami. Te, które wypatrzyły nas pierwsze, natychmiast przekazały wiadomość reszcie pobratymców. Podekscytowane zwierzaki skakały na siatkę przy wtórze ogłuszającej kakofonii skomleń i pisków.

Uderzyło mnie tak odmienne przyjęcie – przez zwierzęta ściśle ze sobą spokrewnione, reprezentujące dwa podgatunki tego samego gatunku *Canis lupus*. Trudno wejść do zagrody wilków bez kołającego się z tyłu głowy lęku o własne życie, nawet ze świadomością, że mieszkańcy Wolf Science Center nigdy nie wyrządzili nikomu krzywdy. Przy psach nie musieliśmy obawiać się o nasze bezpieczeństwo – martwiłem się tylko o utyłane w śniegu i błocie ubranie, bo rozentuzjasmowane zwierzaki bez przerwy na nas skakały.

Kontrast między umiarkowanym zainteresowaniem wilków a radosnym powitaniem przez psy uzmysłowił mi dobitnie, że ci bliscy kuzyni mają całkiem odmienny stosunek do człowieka.

Wróciłem do domu pod silnym wrażeniem zaobserwowanych różnic między podgatunkami. Wykorzystałem to w późniejszych rozmowach z Monique i Bridgett, głowiąc się nad testem, który pozwoliłby nam się przekonać, czy geny odpowiedzialne za

występowanie zespołu Williamsa mają też wpływ na odmienne zachowania tych zwierząt.

Z pewnością musieliśmy wyjść poza subiektywny odbiór psich i wilczych reakcji na ludzi, jakich doświadczyłem w Wolf Science Center. Najlepiej byłoby przeprowadzić prosty i krótki test umożliwiający naukowe porównanie predyspozycji wilków i psów do tworzenia międzygatunkowej więzi emocjonalnej. W ten sposób moglibyśmy ustalić, na ile psia zdolność okazywania uczuć przedstawicielom innych gatunków jest cechą nabytą, na ile zaś odziedziczoną po wilczych przodkach.

W grę wchodziło wiele rozmaitych testów, uświadomiłem sobie jednak, że już kiedyś zajmowaliśmy się czymś podobnym. W drugim rozdziale pisałem o naszej przyjaciółce Marianie Bentoseli z Buenos Aires, która wprowadziła nas w arkana jednego z moich najulubieńszych eksperymentów. Wystarczyło ustawić krzesło na pustej, otwartej przestrzeni, posadzić na nim ochotnika i narysować wokół niego okrąg o promieniu jednego metra. Potem zostawiało się człowieka z psem na dwie minuty i mierzyło, ile tego czasu pies przebywał wewnątrz okręgu. W Wolf Park mieliśmy okazję przeprowadzić ten test z udziałem wilków.

Zwierzęta badane przez Marianę w Wolf Park, mimo że miały na co dzień do czynienia z obcymi ludźmi, niechętnie wchodziły w interakcje z nieznajomymi, a gdy do zagrody wkraczał któryś z opiekunów, zostawały z nim zaledwie pół minuty. Natomiast psy nawet z obcą osobą spędzały więcej czasu niż wilki w towarzystwie człowieka, którego znały przez całe życie. Kiedy na krześle siadał ktoś zaprzyjaźniony z psem, zwierzę nie odstępowało go na krok.

Monique i jej studenci przeprowadzili też inny prosty test – na tych samych wilkach z Wolf Park i na psach z Oregonu. Monique podsuwała zwierzętom zwykły plastikowy pojemnik z kawałkiem parówki w środku. Dla ułatwienia przewlekała przez pokrywkę gruby sznurek, żeby mogły bez trudu ją zdjąć. Wilki przeważnie podchodziły prosto do pojemnika i ściągały wieczko, żeby wydostać smakołyk. Większość psów – jeśli ktoś stał w pobliżu – wołała patrzeć na człowieka błagalnym wzrokiem i prosić go o pomoc niż radzić sobie samemu.

Skłonność do rozglądania się za pomocnikiem stała się dodatkową współzrzedną naszych testów na poziom zainteresowania interakcją z człowiekiem – kiedy pies lub wilk miał jakiś problem do rozwiązania.

Następnie włączyliśmy do akcji naszą specjalistkę od genetyki. Monique wysłała Bridgett von Holdt próbki materiału genetycznego (wymazy z wewnętrznej strony policzka), pobrane od psów i wilków, które uczestniczyły w testach behawioralnych – żeby Bridgett mogła ustalić, czy różnice w wynikach mają jakikolwiek związek z genami odpowiedzialnymi za zespół Williamsa, uznanymi przez nią wcześniej za jedną z sił napędowych ewolucji psa domowego.

Od strony technicznej genetyka jest dziedziną niezwykle skomplikowaną, ale stawiane przez nas pytanie było zarazem proste, jak i głębokie – przynajmniej w teorii. Badane psy i wilki różniły się behawiorem; różniły się także genami. Czy istniał jakiś związek między stopniem zaangażowania behawioralnego w dwa proste testy towarzyskości a genotypem zwierząt?

Byłem dobrej myśli, nie oczekiwałem jednak, że uda się wskazać bezpośrednią relację między prostym wzorcem behawioralnym – na przykład podchodzeniem do człowieka siedzącego na krześle albo szukaniem kogoś do pomocy w potrzebie – a podstawową regułą organizacji życia, jaką jest kod genetyczny. Kiedy więc dostaliśmy e-mail od Bridgett, że niezwykle skłonność psów do ludzi wiąże się z trzema genami odpowiedzialnymi za zespół Williamsa, byłem równie przejęty jak przed laty, gdy odkryliśmy z Monique, że wilki uczą się prawidłowo reagować na gest wskazywania palcem. Jesteśmy w domu! Wiemy już, co odróżnia psy od innych zwierząt i pozwala im tak świetnie dogadywać się z ludźmi.

Bridgett zdołała wykazać, że jeden z genów (noszący niezbyt poetycką nazwę WBSCR17) podlegał rozlicznym mutacjom w niedawnej ewolucji psów. Innymi słowy, zmienił się zasadniczo w procesie udomowienia psa. Jak wynika z analiz, zmienność w obrębie genu WBSCR17 oraz dwóch innych, określanых jako GTF2I i GTF2IRD1, odpowiada za różnice w poziomie towarzyskości u psów i wilków^[18].

Oprócz spektakularnego dowodu, że wyodrębnieniu podgatunku *Canis lupus familiaris* towarzyszyły zmiany w genotypie, badanie przyniosło dwa inne ciekawe odkrycia. Po pierwsze, różne rasy psów mają odmienne postaci wspomnianych trzech genów, a ich rozkład pokrywa się z opisem usposobienia rasy, określanego jako przyjazne bądź powściągliwe. Monique i Bridgett prowadzą obecnie badania nad większą grupą psów różnych ras, żeby uzyskać dokładniejszy obraz wpływu mutacji genetycznych na różnicowanie wzorców zachowań społecznych. Po drugie, wcześniejsze badanie na myszach, u których zastosowano eksperymentalną metodę inżynierii genetycznej, dowiodło niezbicie, że zmiany w obrębie genów GTF2I i GTF2IRD1 mogą wpłynąć na ich towarzyskość. Co jeszcze ciekawsze, niewielki odsetek osób z zespołem Williamsa nie przejawia nadmiernie życzliwego usposobienia, uważanego za jeden z kluczowych objawów tego zespołu wad wrodzonych. Jak się okazało, obydwa wspomniane geny występują u nich w prawidłowej postaci.

Wszystko to świadczy o pokrewieństwie psów z ludźmi cierpiącymi na zespół Williamsa. Nowe badania Mii Persson i jej współpracowników z Uniwersytetu Linköping sugerują, że za poziom zainteresowania psów ludźmi odpowiadają też inne geny, o jeszcze bardziej wymyślnych nazwach BICF2G630798942 i BICF2S23712114. U ludzi obydwa geny są kojarzone z autyzmem. To złożone zaburzenie rozwoju charakteryzuje się między innymi ograniczoną – nie, jak w przypadku zespołu Williamsa, nadmierną – skłonnością do nawiązywania relacji społecznych, ale inne warianty tych genów mogą wywoływać odmienne, być może nawet przeciwne objawy u psów. Wartka woda na młyn uczonych, którzy szukają powiązań między genotypem psa a niezwykle wzorcami jego behawioru^[19].

Radość z udziału w tak ekscytującym przełomie naukowym zmąciła mi obawa, że rodzice dzieci z zespołem Williamsa poczują się dotknięci odkryciem podobieństw genetycznych między ich potomstwem a psami. Niepotrzebnie się martwiłem: zamiast się obrazić, intuicyjnie znaleźli sens w tej zbieżności. Pewien dziennikarz raportujący wyniki naszych badań

rozmawiał z członkinią zarządu Amerykańskiego Stowarzyszenia Pomocy Osobom z Zespołem Williamsa. Poproszona o komentarz, odparła: „Gdyby te dzieci miały ogony, na pewno by nimi merdały”^[20].

Typowy wzorzec zachowań osób z zespołem Williamsa określa się w literaturze przedmiotu jako „hipersocjalność” albo „nadmierną towarzyskość”. Pokrywa się to z pieczołowicie dobieranymi sformułowaniami, jakich sam używam w tekstach naukowych, pisząc często o „poczuciu przynależności”, „szukaniu kontaktu” i „towarzyskości” – w kontekście psych interakcji z ludźmi. Te słowa określają pewne zachowania i reakcje, które da się obiektywnie zmierzyć. Widzę, że pies płacze, kiedy opiekun zostawi go samego. Obserwuję, ile energii pies wkłada w powitanie znajomej osoby: jak przypada brzuchem do ziemi, jak próbuje doskoczyć człowiekowi do twarzy, żeby go polizać w okolicach kącików ust. Potrafię zmierzyć reakcję psa, który pociesza kogoś w nieszczęściu.

Doceniam precyzję specjalistycznej terminologii, sądząc jednak, że przyjdzie czas, kiedy liczenie i klasyfikowanie poszczególnych zachowań zacznie uchodzić za dowód głupoty – bo sprowadza się do tego, że przestajemy widzieć las zza drzew. Przywiązanie psa do człowieka, rodzaje behawioru, wspomniane przed chwilą neuronalne i hormonalne wzorce reakcji oraz mnóstwo innych czynników – wszystko to składa się na szerszy obraz, który zasługuje na celniejsze określenia niż „socjalność” albo „towarzyskość”.

Psy nie tylko są towarzyskie; okazują nam szczerą, najprawdziwszą uczucia – które w odniesieniu do przedstawicieli własnego gatunku nazywamy powszechnie miłością. Najistotniejszą cechą psów – podobnie jak osób z zespołem Williamsa – jest potrzeba tworzenia bliskich więzi, żarliwych relacji intymnych – kochania i bycia kochanym.

Odkąd poznałem niezwykle zachowania dzieci z zespołem Williamsa, odkąd miałem okazję uczestniczyć w przełomowych eksperymentach, dzięki którym skojarzyliśmy odpowiedzialne za tę chorobę mutacje genetyczne z typową dla psów czułością – nie trzeba mnie było więcej przekonywać. Przeanalizowałem

tyle dowodów naukowych, zaobserwowałem tyle podobieństw między psami a ludzkimi nosicielami tych samych zmutowanych genów, że nie bałem się już nazywać rzeczy po imieniu. Gdybym nie odbył tej wędrówki jako uczony, nie czułbym się na siłach głosić psiej miłości do ludzi – a tak czynię to z równym przekonaniem, z jakim niegdyś wyrażałem swój sceptycyzm. Bezlitośnie weryfikowałem argumenty obu stron: że psy są obdarzone wyjątkową inteligencją albo że wchodzą z ludźmi w bliskie relacje emocjonalne. Zapał, z jakim próbowałem obalić obydwie tezy, oburzył wielu miłośników psów, którzy w najlepszym razie uznali moje starania za zbyteczne, w najgorszym zaś – za nikczemne i małoduszne. Wiem o tym, bo wiele osób – od nieznanym towarzysz długi podróży samolotem aż po najbliższych przyjaciół – wygarnęło mi to prosto w twarz. Często słyszałem, żebym przestał sobie zawracać głowę i okazał miłość własnemu psu. Tak właśnie zrobiłem, przynajmniej w codziennym życiu z Xephos.

A jednak dociekliwość popłaca – warto odłożyć na bok z góry przyjęte założenia i zacząć gromadzić bezstronne dowody. Nagrodą jest nieopisana radość z konkluzji opartej na solidnych podstawach, które posłużą jako fundament całej struktury. Dzięki odkryciu powiązań z mutacjami warunkującymi zespół Williamsa i badaniom Mii Persson nad genami odpowiedzialnymi za autyzm dotarliśmy do podstawowej reguły organizacji świata zwierzęcego – analizujemy DNA, kod, w którym kryje się tajemnica życia. Potrafimy dostrzec w genomie psa nieomyślne oznaki gotowości do troski o dobro człowieka. Możemy teraz prześledzić ten sygnał, wznosząc się na coraz wyższe poziomy – poprzez hormony i struktury mózgowe, mijając po drodze serca bijące zgodnym rytmem, kiedy pies trafi na swojego człowieka, obserwując psią radość z przebywania w ludzkim towarzystwie i rozpacz pod wpływem rozstania, widząc, że bliskość ukochanego pana bywa dla psów równie cenną nagrodą jak życiodajny pokarm, doceniając psią chęć ulżenia ludziom w potrzebie – jeśli tylko będą w stanie zrozumieć, jak można im pomóc. Na każdym poziomie analizy, z rozpowszechnianych po świecie wyników niezależnych badań, zewsząd bije to samo przesłanie:

Istotą psa jest miłość.

To właśnie miłość stanowi sedno wyjątkowości psów – najprawdziwszych i najwierniejszych towarzyszy człowieka. Zdolność kochania odróżnia psy od wszystkich innych zwierząt na ziemi, nie wyłączając najbliższej z nimi spokrewnionych wilków. Psy robią wszystko, by pozostać w obecności bliskich ludzi i wejść z nimi w czułe relacje; ale tak samo ciągnie je do obcych. Pod tym względem różnią się zasadniczo od swoich dzikich pobratymców. Wilki odebrane matkom tuż po urodzeniu i odchowane przez ludzi nigdy nie zadzierzgną tak silnej więzi emocjonalnej ze swoimi zastępczymi rodzicami. Mogą się zaprzyjaźnić z człowiekiem, nie obdarzą go jednak miłością bezwarunkową, do której zdolne są tylko psy.

Teraz, kiedy wreszcie dostąpiłem łaski zrozumienia, że psy potrafią kochać, często miewam poczucie, jakbym dostał do ręki prawdziwy skarb. Wiem już, co wyróżnia psy spośród wszystkich innych zwierząt. Odnalazłem swojego Świętego Graala – zarówno w życiu osobistym, jak i zawodowym.

Tylko że ta wiedza rozbudziła we mnie apetyt na więcej. Ściślej, skłoniła mnie do postawienia kilku nowych istotnych pytań, którym poświęcę kolejne rozdziały tej książki.

Po pierwsze, jak psom udało się to osiągnąć? Teraz mamy już pewność, że ich szczerą zdolność kochania nie jest cechą odziedziczoną po przodkach, co stawia nas przed kolejną wielką tajemnicą. Kiedy i w jaki sposób psy nauczyły się kochać?

Po drugie, jak rozwija się miłość w życiu każdego psa? Wiem z obserwacji bezpańskich zwierząt na całym świecie, że psy nie kochają ludzi po równo, nawet jeśli są do tego zdolne. Jak taka miłość się rodzi – i jak możemy ją podtrzymać?

Po trzecie i najważniejsze, co ta miłość oznacza dla samych psów i jak wpływa na ich wspólne życie z człowiekiem? Czy świadomość, że istotą psa jest umiejętność kochania, może coś zmienić w naszych wzajemnych relacjach? Ze wszystkich pytań, jakie do tej pory sobie zadałem, to może okazać się najpilniejsze, najgłębsze i najbardziej brzemienne w skutki.

5 Początki

Miłość jest dziedzicznym przywilejem psów. W jaki jednak sposób go zyskały – i kiedy to się stało?

Historie miłości okazywanej przez psy sięgają początków języka pisanego. Jedna z nich, niezrównana, jeśli chodzi o poziom emocjonalnej intensywności, liczy niemal 2000 lat; jej autor był Grekiem, nazywał się Arrian i pochodził z Nikomedii.

Arrian był filozofem, historykiem i żołnierzem, a sławę zyskał dzięki dziełu *Wyprawa Aleksandra*, podsumowującemu życie i czyny Aleksandra Macedońskiego. W młodości cieszył się względami cesarza Hadriana, który za zasługi w armii rzymskiej podniósł go do godności senatora. Kiedy jednak Arrian na starość spisywał wspomnienia, poświęcił znacznie więcej uwagi swojemu psu niż któremukolwiek z ludzkich przyjaciół, nie wyłączając Hadriana.

Arrian, który lubił się nazywać „drugim Ksenofontem” – żeby podkreślić swą łączność z wcześniejszym autorem, piszącym także o psach – pracował nad traktatem o polowaniu z gończymi. Ni stąd, ni zowąd, w środku paragrafu poświęconego ideałowi psa myśliwskiego, zaczął wychwalać Horme, która właśnie leżała u jego stóp. Arrian wspomina, jak „wychował gończą sukę o oczach siwych jak mgła”, która była:

[...] łagodna i bez reszty oddana człowiekowi; żaden pies nie był ze mną tak długo jak ona. [...] Horme odprowadza mnie do gimnazjonu, czeka spokojnie, aż skończę ćwiczyć, w drodze powrotnej idzie przede mną i co raz zerka za siebie, żeby sprawdzić, czy się nie zgubiłem; upewniwszy się, że jestem, wybiega z uśmiechem naprzód. [...] Na powitanie, nawet po krótkim rozstaniu, skacze z wdziękiem do góry i poszczekuje w dowód swych uczuć. [...] Myślę więc, że powinienem utrwalić jej imię na piśmie, na wieczną pamiątkę, że nowy Ksenofont Ateńczyk miał sukę Horme – niezwykle rączą i niewiarygodnie bystrą.

[1]

Ten wzruszający hołd dla ukochanej suki Arriana jest nie tylko świadectwem głębokiej miłości człowieka do psa, pięknie też opisuje, w jaki sposób pies okazuje uczucia człowiekowi. I jasno dowodzi, że psia miłość do ludzi nie jest cikliwym wymysłem dzisiejszej epoki, tylko stałą współrzędną naszych

relacji z tym wspaniałym zwierzęciem, zapoczątkowanych wiele tysięcy lat temu.

Ten związek uczuciowy sięga korzeniami głębokiej starożytności. Najstarszym ze znanych mi źródeł, które go potwierdzają, jest staroegipska inskrypcja nagrobna sprzed ponad 4000 lat. Tekst jest wprawdzie krótki i nie zawiera żadnej wzmianki o zachowaniu psa wobec ludzi, ale sam fakt, że został wyryty w kamieniu, dowodzi istnienia czułych relacji między obydwoma gatunkami już w starożytnym Egipcie.

Pies, który był stróżem Jego Wysokości. Jego imię Abuwtiyuw. Jego Wysokość nakazał pochować go w trumnie z królewskiego skarbcza, zawinąć w najprzedniejsze bandażę, okadzić dymem z kadzideł. Jego Wysokość ofiarował psu wonny balsam i polecił budowniczym wzniesć dla niego grobowiec. Jego Wysokość uczynił to, by oddać mu cześć.^[2]

Bandaże, kadzidła, wonności, drogocenna trumna: jeśli czytasz to epitafium i zastanawiasz się, czy twój pogrzeb będzie choćby w połowie tak wystawny, głowa do góry – z pewnością nie ty jeden. Potęga miłości egipskiego władcy do psa musiała zrobić wrażenie na mnóstwie ludzi, którzy w ciągu tysiącleci zetknęli się z tą inskrypcją. I o to właśnie chodziło.

W literaturze starożytnej jest wiele luźnych spostrzeżeń na ten temat, niemniej zacytowana inskrypcja wciąż pozostaje najdawniejszym bezpośrednim świadectwem więzi łączącej człowieka z psem. Pisarstwo wystarczająco złożone, by oddać odczucia podobne do tych, jakie niezidentyfikowany władca Egiptu żywił do Abuwtiyuwa (konia z rzędem temu, kto zdoła wymówić to imię!), pojawiło się zapewne nie wcześniej niż kilkaset lat przed wykuciem tych hieroglifów w kamieniu.

Na szczęście dysponujemy sporą liczbą starszych dowodów archeologicznych. Datowanie ich jest jednak przedmiotem zajadłych sporów między uczonymi. Większość z nich bowiem to szczątki kostne, których tajemnice bardzo trudno czasem rozszyfrować. Do tego stopnia, że w kołach naukowych toczą się intensywne debaty, które z tych szczątków w ogóle pochodzą od psów.

Odróżnienie kości psa od kości wilka z pozoru wydaje się proste, ale w przypadku szczątków kopalnych sprawa jest

znacznie bardziej skomplikowana. Problem polega na tym, że prehistoryczne psy pod względem anatomicznym były łądzaco podobne do prehistorycznych wilków. Dzsiejsze wilki kojarzą się z dużymi, budzącymi postrach zwierzętami; w porównaniu z nimi psy wydają się znacznie mniejsze i łagodniejsze. W czasach, kiedy na ziemi pojawił się pierwszy pies, owe różnice były prawie niedostrzegalne.

Pierwotne psy przypominały wyglądem swoich wilczych przodków. Możemy to uznać za pewnik, jest bowiem wysoce nieprawdopodobne, by wszystkie zmiany genetyczne w przebiegu ewolucji psa zaszły równocześnie. Ostateczne zróżnicowanie obydwu populacji musiało zająć wiele pokoleń. Skąpa liczba danych ewolucyjnych niezmiernie utrudnia odróżnienie szczątków kopalnych psów od szczątków wilków z wystarczającą dokładnością, by zrekonstruować najwcześniejszy etap ewolucji psa domowego.

Najstarsze szczątki kopalne, co do których wszyscy paleontolodzy są zgodni, że pochodzą od psa, liczą około 14 223 lat (z dokładnością do 58 lat). Kości zostały odkryte przed ponad stuleciem w kamieniołomie pod Bonn i długi czas przeleżały zapomniane w szufladzie tamtejszego muzeum. Dopiero niedawno poddano je drobiazgowej analizie z użyciem najnowszych technik, dzięki czemu zyskaliśmy fascynującą odpowiedź dotyczącą tego, czy pierwotne psy mogły nawiązywać emocjonalne relacje z ludźmi – a jeśli tak, to w jaki sposób.

Jak wynika z najświeższych badań, kości szczeniaka z Bonn zdradzają oznaki ludzkiej troski o dobrostan zwierzęcia. Zespół naukowców pod wodzą Luca Janssensa z uniwersytetu w Lejdzie wysunął tezę, że szczenię cierpiało na nosówkę; skoro przeżyło tak długo, musiało wcześniej trafić pod opiekę człowieka. To dość kontrowersyjny wniosek, opiera się bowiem na analizie uszkodzeń szkliwa zębów, które spędziły w ziemi przeszło 14 tysięcy lat^[3]. Jeśli jednak jest słuszny, byłoby to potężne świadectwo więzi łączącej to prehistoryczne szczenię z jego ludzkimi opiekunami.

Niezależnie od szczątków z Bonn dysponujemy mnóstwem innych dowodów, że psy kochają ludzi od tysiącleci – bez

względu na to, czy ludzie odwzajemniali ich miłość. Osobiście podejrzewam – na podstawie dzieł starożytnych Greków, staroegipskich inskrypcji nagrobnych i wielu innych źródeł pisanych – że nawet ci, którzy woleli trzymać się z daleka od psów, w pełni zdawali sobie sprawę z ich skłonności do ludzkiego gatunku. A najwcześniejsze wzmianki dostarczają wystarczającej liczby świadectw, że wiele osób odwzajemniało psia miłość z nawiązką.

Historia tej długiej relacji jest naprawdę fascynująca; choć wiele szczegółów wciąż pozostaje tajemnicą, można się domyślać, że ta niewiarygodna opowieść o miłości między gatunkami sięga czasów sprzed wynalezienia pisma. Odkąd doszedłem do wniosku, że psy potrafią nas kochać, wciąż myślę o początku tej historii. Skąd właściwie się wzięła ta umiejętność kochania? Jak to się stało, że wilki – trzymające się z reguły na dystans i niezbyt skłonne do nawiązywania intensywnych stosunków – przeistoczyły się w psy, w pełni otwarte na międzygatunkową więź emocjonalną? Gdzie i w jaki sposób zrodziła się potęga psiej miłości?

Przejście od wilka do psa dokonywało się na oczach ludzi – którzy jednak musieli być zajęci czymś innym, skoro nie zostawili nam żadnych świadectw, jak przebiegał ten proces. Co gorsza, zachowane szczątki kopalne otwierają nam szerokie pole do spekulacji. Być może właśnie owa niejednoznaczność dowodów sprawiła, że paleontolodzy i genetycy, którzy próbują rozwikłać zagadkę pochodzenia psa, spierają się tak zajadle o tok jego ewolucji i rolę, jaką odegrał w niej człowiek.

Na szczęście, żeby zrozumieć, skąd wzięła się psia umiejętność kochania, nie trzeba kurczowo trzymać się dat pojawienia się psa. Istotny jest sam przebieg tego procesu i znaczenie w nim zdolności okazywania uczuć.

Według jednej z wersji historii o początkach psa – być może najczęściej dziś powtarzanej – o wszystkim zdecydowali nasi przodkowie łowcy-zbieracze, którzy przygarnęli najbardziej przyjaźnie nastawione wilcze szczenię, żeby pomagało im w polowaniu. Niewykluczone, że pierwszy wysunął tę tezę XVIII-wieczny francuski przyrodnik Georges Cuvier^[4]. Dzięki

przeprowadzanej w każdym kolejnym pokoleniu selekcji najłagodniejszych szczeniąt z miotu, żeby później uzyskać od nich potomstwo, mogło stopniowo dojść do ukształtowania zwierzęcia, które znamy dziś pod nazwą „pies”. Na korzyść tej hipotezy przemawia fakt, że wielu współczesnych myśliwych wciąż korzysta z pomocy psów; poza tym niektóre z najwcześniejszych przedstawień tych zwierząt ukazują je właśnie w tej roli.

Pomoc ludzkim myśliwym zapewne w dużej mierze przyczyniła się do ewolucji psa. Co więcej – o czym napiszę w dalszej części rozdziału – zdolność psów do kochania ludzi ma wiele wspólnego z naszą odwieczną współpracą przy polowaniach. Moje doświadczenia z podróży do Izraela kazały mi jednak zwątpić w pierwszorzędny wkład naszych polujących przodków w powstanie psa.

W tym samym 2012 roku, w którym adoptowaliśmy Xephos, odbyłem pielgrzymkę do Izraela. Wiele osób odwiedza Ziemię Świętą, żeby poznać kolebkę swojej religii. Ja szukałem czegoś innego, niemniej równie pierwotnego: początków psiego rodzaju.

Pojechałem do Izraela, żeby zobaczyć coś, co wówczas uchodziło za najstarsze kopalne szczątki psa. Mam na myśli kości szczeniaka pochowanego prawie 12 tysięcy lat temu razem z kobietą, której dłonie spoczywały na jego brzuchu. Znaleźisko zdawało się potwierdzać tezę, że psy pojawiły się najpierw na Bliskim Wschodzie. Nic dziwnego, że chciałem zobaczyć te kości na własne oczy.

Chciałem też zapoznać się z bliskowschodnim podgatunkiem wilka, tak zwanym wilkiem arabskim. Wiedziałem, że jest znacznie mniejszy od wilków północnoamerykańskich, z którymi miałem wcześniej do czynienia – rozmiarami przypomina raczej dużego labradora. Byłem zwłaszcza ciekaw, czy wilk arabski oswaja się łatwiej niż inne podgatunki wilka szarego. Gdyby tak było, zyskalibyśmy kolejny argument przemawiający za hipotezą, że psy wywodzą się z tej części świata.

Dopiero pod sam koniec tygodniowego pobytu w Izraelu miałem okazję zetknąć się z kilkoma wilkami arabskimi – dzięki pracownikowi muzeum, który podsunął mi pomysł wizyty

w kibucu Afkim, trzy kilometry na południe od Jeziora Tyberiadzkiego. To doświadczenie radykalnie zmieniło moje zapatrywania na początek historii psa.

W kibucu mieszkają dwaj twórcy filmów dokumentalnych, Yossi Weissler i Moshe Alpert. Pracownik muzeum zachęcił mnie, żeby złożyć im wizytę, bo wiedział już wcześniej, że Moshe odchowwał od małego kilka szczeniąt wilka arabskiego – z myślą o filmie, nad którym pracowali wspólnie z Yossim. Chodziło o dokument poświęcony myśliwym sprzed tysięcy lat, którzy korzystali z pomocy oswojonych wilków i tym samym przyczynili się do powstania psów^[5].

Niestety, w dniu, kiedy dotarłem do kibucu, Moshe był bardzo zajęty i nie miałem okazji z nim porozmawiać. Na szczęście Yossi znalazł dla mnie czas. Pokazał mi czterominutowy film, który miał pomóc w zdobyciu funduszy na realizację całego dokumentu. Film był prościutki, ale mnie zachwycił. Facet w przepasce biodrowej, wyposażony w łuk i strzały, wybiera się na polowanie w towarzystwie dwóch wilków. Dochodzimy do sceny, w której te pilnują ustrzelonej sarny; zjawia się myśliwy, przerzuca sobie zdobycz przez ramię i wraca do domu, odprowadzany przez grzecznie truchtające przy nodze wilki.

Opis brzmi dość prosto, materiał wprowadził mnie jednak w osłupienie. Z początku myślałem, że doszło do jakiegoś nieporozumienia. Może to wcale nie były wilki, tylko jakieś psy (z wyglądu przypominały trochę wilczaki czechosłowackie)? Nie, to były naprawdę wilki arabskie, odchowane od małego przez Moshe. No dobra, to jakim cudem aktor odgrywający rolę prehistorycznego łowcy podniósł z ziemi sarnę na oczach wilków? Zwierzęta, z którymi miałem do czynienia w Wolf Park, w żadnym razie nie pozwoliłyby, żeby ktoś sprzątnął im obiad sprzed nosa.

Przez chwilę myślałem, że wilki arabskie są bardziej uległe wobec człowieka niż inne znane mi podgatunki wilka szarego. Gdyby wilki arabskie były naprawdę tak łatwe w obejściu, można by wyciągnąć wniosek, że miłość do ludzi jest cechą charakterystyczną podgatunku, który być może dał początek dzisiejszym psom.

W głowie aż mi huczało od dalekosiężnych implikacji tego krótkiego filmiku – na szczęście krótko biłem się z myślami. Yossi wyznał, że kręcenie filmu przebiegało znacznie trudniej, niż można by sądzić po obejrzeniu wersji ostatecznej. Sam Yossi panicznie bał się wilków. Jako reżyser spędzał większość czasu w samochodzie, wykrzykując instrukcje przez ledwie otwarte okno.

Powinienem wspomnieć, że podczas wojny sześciodniowej w 1967 roku Yossi służył jako spadochroniarz. Zawsze byłem zdania, że ten rodzaj służby wojskowej wymaga niesłychanej odwagi. Truchleję na samą myśl o wyskakiwaniu z lecącego samolotu, nie wspominając o dodatkowych atrakcjach w postaci ostrzału z ziemi, kiedy człowiek bezradnie szybuje w powietrzu. Yossi był więc odważnym facetem, a jego strach przed wilkami nie wziął się znikąd – co zresztą mi wkrótce wyjaśnił.

Yossi przyznał, że za pierwszym razem wilki naprawdę rzuciły się na aktora, kiedy sięgnął po zabłądzone sarnę. Aktor wylądował w szpitalu i trzeba było przerwać zdjęcia. Podczas późniejszych dokrętek Moshe musiał przytrzymywać wilki w scenie podnoszenia martwej sarny.

Opowieść o wilkach, które nie zamierzały podzielić się zdobyczą po zainscenizowanym polowaniu, bardziej pokrywała się z moją dotychczasową wiedzą o behawiorze tych zwierząt. Przy okazji wyszło na jaw, że krótki film, który w założeniu miał pokazać, jak wilki mogły pomagać myśliwym, zamiast tego dowiódł, że polowanie z wilkami jest czczym wymysłem.

Chciałem jednak wyjaśnić coś jeszcze. Yossi powiedział, że większość mieszkańców kibucu boi się wilków, ale w towarzystwie Moshe i jego dzieci zwierzęta nie wykazują żadnych groźnych zachowań. Może tutejsze wilki potrafiły nawiązać przyjazne relacje z wybranymi osobami, choć rzucały się na innych ludzi?

Moshe kończył właśnie montować film i uwijał się jak w ukropie. Nie chciał wdawać się w dyskusje z jakimś dziwnym naukowcem, który zjawił się w kibucu, nie miał jednak nic przeciwko temu, żeby mnie poznać i wymienić ze mną uścisk dłoni. Sądząc po zaczerwienionych oczach, pracował całą noc. Pozwolił mi zadać tylko jedno pytanie: „Czy to prawda, że

odchowane przez pana wilki nie stanowią zagrożenia dla pańskiej rodziny?”.

Moshe bez słowa podwinął prawy rękaw koszuli. Potężne blizny były niemym świadectwem, że nie wszystkie interakcje z wykarmionymi butelką wilkami przebiegły bez kłopotu. Nie trzeba było nic mówić, i tak wszystko zrozumiałem. Polowanie z odchowanymi przez człowieka wilkami jest niebezpieczne i pozbawione sensu. Ewolucja psa musiała wziąć początek gdzie indziej.

Nie byłem szczególnie zaskoczony, że wilki nie nadają się na towarzyszy myśliwych. Na taką konkluzję przygotował mnie mentalnie nieżyjący już Ray Coppinger, jedna z najniezwyklejszych postaci w świecie nauk kynologicznych i człowiek, któremu zawdzięczam większość swojej wiedzy o początkach psa domowego.

Ray był pierwszym uczonym, który podważył tezę, że psy wywodzą się od pomocników łowców. Nazywał ją szyderczo „hipotezą Pinokia” – nie ze względu na nos, który wydłużał się, kiedy pajac kłamał (choć jestem pewien, że Ray nie miałby nic przeciwko takim skojarzeniom), tylko przez odwołanie do wcześniejszej części tej historii, w której ubogi lalkarz Dżepetto wystrugał pajacyka, żeby osłodzić sobie samotność.

Ray i jego żona Lorna Coppinger napisali wspaniałą książkę, *Dogs: A New Understanding of Canine Origin, Behavior, and Evolution* [Psy. Nowe poglądy na genezę, behavior i ewolucję psowatych]^[6], w której wyjaśnili, dlaczego pies nie mógł powstać w wyniku selekcji najłagodniejszych wilków do pomocy w polowaniach. Coppingerowie wyliczają kolejno przyczyny, dla których nie warto traktować tej tezy poważnie. Ich argumenty są wciąż na tyle przekonujące, że zasłużyły na krótkie podsumowanie.

Po pierwsze, wilki nie miały żadnego motywu, by pomagać myśliwym. Gdybyś wybrał się na polowanie z oswojonym wilkiem i spuścił go ze smyczy, twój towarzysz pobiegłby, gdzie oczy poniosą, i zaspokoił swój głód, zostawiwszy cię w lesie samego z pustym żołądkiem. Kilka godzin później wilk wróciłby syty i zadowolony, ty jednak nic byś na tym nie skorzystał.

Zwierzę nie przyniosłoby ci jedzenia ani nie zaprowadziło cię do swojej zdobyczy.

Po drugie, wilki są zbyt niebezpieczne, zwłaszcza dla dzieci, żeby nasi przodkowie tolerowali ich obecność przez dłuższy czas. Od razu zastrzegam, że doświadczyłem kilku wspaniałych, partnerskich interakcji z wilkami i nie wyniosłem z tego żadnych blizn. Niemniej zwierzęta, z którymi miałem do czynienia, zostały odchowane zgodnie z naukową metodą wpajania łagodnych i przyjacielskich zachowań (wróć do tego w kolejnym rozdziale). A mimo to nie wszystkie były gotowe do kontaktów z obcymi ludźmi i nie bez powodu trzymano je na wybiegach ogrodzonych czterometrową siatką.

Po trzecie, żeby wyselekcjonować łagodne osobniki do przyszłej hodowli, prehistoryczni ludzie musieliby się wykazać dużą zapobiegliwością i wiedzą z zakresu genetyki – o co raczej trudno ich podejrzewać. Czternaście tysięcy lat temu (albo i więcej) nie było jeszcze żadnych innych udomowionych zwierząt. Zwykła selekcja hodowlana, prowadzona choćby przez kilkaset lat, nie dałaby naszym przodkom żadnych podstaw do przypuszczeń, że te wielkie i groźne drapieżniki zmieniają się kiedyś w przyjaźnie nastawionych i użytecznych towarzyszy człowieka.

Zdaniem Raya i Lorny Coppingerów pierwotne psy nie pomagały ludziom w polowaniach. Bardziej prawdopodobne, że wyewoluowały do żałośnie prozaicznej roli padlinożernych czyścicieli pierwszych ludzkich siedzib. Coppingerowie zwrócili uwagę, że rozwój osadnictwa pociągnął za sobą wzrost ilości produkowanych odpadów. Śmieci przyciągały (i mimo naszych usilnych starań, wciąż przyciągają) wiele gatunków zwierząt. Wśród tych nurków śmietnikowych mogły też znaleźć się wilki.

Psy pochodzą zapewne z miejsca, gdzie nasi przodkowie odkryli bogate zasoby łowiecko-zbierackie, które pozwoliły im osiedlić się na wiele lat, a nawet pokoleń. Zasiedziali osadnicy zostawiali po sobie ślad typowy dla naszego gatunku: stosy śmieci. Stworzyli tym samym nowe możliwości. Odpadki, z punktu widzenia człowieka bezwartościowe, mogą okazać się cenne dla innych zwierząt. Jak stwierdził kiedyś Arystoteles, „natura nie znosi próżni”. Kości ogryzione z mięsa przez ludzi

wciąż zawierają substancje odżywcze, z których ktoś inny może skorzystać.

W wielu częściach świata zwierzęta do dziś gromadzą się na śmietnikach. W Kalkucie było brodzi w odpadkach walających się po ulicach; mieszkańcy Alaski muszą uważać na niedźwiedzie polarne, które buszują na wysypiskach. Przed tysiącami lat wilki mogły przyjąć podobną strategię zdobywania pokarmu, węsząc wokół ludzkich osad w poszukiwaniu jadalnych resztek.

Wilkom do dziś zdarza się grzebać w odpadkach, o czym miałem okazję przekonać się na własne oczy podczas tej samej podróży do Izraela. Przed wizytą w kibucu wybrałem się na pustynię Negew na południu kraju, żeby zobaczyć wilki arabskie na wolności. Strażnik jednego z tamtejszych parków narodowych, który zgodził się być moim przewodnikiem, bez namysłu urządził mi objazd po rozproszonych na pustyni wysypiskach śmieci. Jak wyjaśnił, tam najchętniej zbierają się wilki z Negewu – z braku innych, równie bogato zaopatrzonych składowisk pokarmu w surowych warunkach pustynnych.

Mnóstwo jest dowodów z całego globu na upodobanie wilków do ludzkich śmieci. To samo dotyczy psów – ich może nawet bardziej. Psy nurkujące w odpadkach byłyby częstszym widokiem, gdyby administracje państw rozwiniętych nie inwestowały w ogrodzenia i hycli, odstraszaających bezpańskie zwierzęta od miejskich śmietników. Wystarczy jednak wytknąć nos poza enklawy zamożności, żeby i dziś trafić na psy grzebiące w śmieciach – nawet w stosunkowo cywilizowanych krajach. Widywałem takie scenki w najróżniejszych miejscach: na Sycylii, Bahamach i w Moskwie. Choć żadne nie kwalifikuje się do miana Trzeciego Świata, aż się w nich roi od psów, które szukają okazji po wszystkich nieogrodzonych i niestrzeżonych składowiskach.

Żeby korzystać z dobrodziejstw buszowania w resztkach z ludzkiego stołu, zwierzęta muszą tolerować ludzi i zarazem być przez nich tolerowane. Wilki i psy, pod wieloma względami podobne, w tej akurat kwestii różnią się diametralnie. Niestety, nie prowadzono jeszcze żadnych badań na odwiedzonych przeze mnie wysypiskach, na przykład w Izraelu, gdzie psy grzebią

w śmieciach bok w bok z wilkami. Naukowcy obserwowali jednak oddzielnie wilki śmiecionurki w Szwecji i analogiczną populację psów w Etiopii. Szwedzkie wilki rzucały się do ucieczki, zwęszywszy człowieka z odległości 200 metrów. Psy w Etiopii pozwalały obcym podchodzić na odległość około 5 metrów.

Ta różnica w obrębie pojedynczej miary odległości – zwanej przez biologów „dystansem ucieczki” – przyczynia się do ogromnej różnicy w ilości jedzenia, które ci dwaj blisko spokrewnieni ze sobą kuzyni potrafią wywlec z ludzkiego śmietnika. Umiejętność znoszenia obecności ludzi daje więc dużą przewagę adaptacyjną psom – przynajmniej w sytuacji grzebania w odpadkach.

Zdaję sobie sprawę, że teza o śmietnikowym rodowodzie psa jest znacznie mniej atrakcyjna niż opowieść o myśliwych, którzy odchowywali wilcze szczenięta do pomocy w ściganiu zwierzyny. Dziennikarz Mark Derr, autor książki o początkach psów *How Dog Became the Dog* [Jak pies stał się psem], wzdrygał się z obrzydzenia na samą myśl, że nasz ukochany towarzysz zaczynał jako śmiecionurek^[7]. Z niesmakiem skwitował założenie, że „wilk mógłby z własnej woli przemienić się w żałosnego znawcę odpadków kuchennych, zrzedliwego i tchórzliwego zjadacza wiejskich nieczystości, specja od brudnej roboty”^[8]. Prawda jednak jest taka, że przy całym naszym upodobaniu do szukania przodków wśród arystokratycznych miłośników konnych polowań większość musi przyjąć z pokorą, że wywodzi się z długiej linii chłopów, którzy dojadali resztki z pańskiego stołu. To samo dotyczy zapewne najlepszych przyjaciół człowieka.

Nie można sobie wybrać przeszłości, choć czasem bardzo by się chciało. Zarówno człowiek, jak i pies mają w sobie coś ze śmiecionurka. Być może taki jest klucz do naszej wspólnej historii – podobny model działania. Czy to by tłumaczyło psią miłość do człowieka? Czy też jej początków trzeba szukać gdzie indziej?

Dostępne dowody naukowe nie pozwalają rozstrzygnąć, czy pierwotne wilkopsy kochały ludzi tak samo, jak psy kochają nas

dzisiaj. Moim zdaniem nie.

Podejrzewam, że na pierwszym etapie tej ewolucji, kiedy psy na dobrą sprawę wciąż były jeszcze wilkami (niemniej wilkami, które przestały polować na grubą zwierzynę i trochę bardziej oswoiły się z ludźmi, żeby ucztować w ich śmietnikach), ich usposobienie niewiele odbiegało od charakteru dzikich przodków. Zapewne zdarzało im się nawiązywać silne więzi emocjonalne, ale wyłącznie w obrębie własnego gatunku: innymi słowy, pierwotne psy, w przeciwieństwie do naszych dzisiejszych towarzyszy, nie przejawiały tendencji do społecznego promiskuityzmu.

Co nie oznacza, że odmienność tych zwierząt od wilków umknęła uwagi naszych przodków. Pierwotne psy mogły mniej wyraźnie okazywać strach przed ludzkimi sąsiadami niż „prawdziwe” wilki. Skoro zdążyły już stracić zainteresowanie łowami na dziką zwierzynę, wyglądały zapewne mniej groźnie i były mniej agresywne. Miały słabsze i gorzej rozwinięte szczęki oraz zęby, być może ich rozwój behawioralny przebiegał wolniej, przez co dorosłe osobniki wciąż zachowywały pewne szczenięce cechy, między innymi skłonność do zabaw i nawiązywania przyjaźni. Niewykluczone, że popiskiwały i powarkiwały – wydając nietypowe, zbliżone do szczekania odgłosy – na widok wałęsających się w pobliżu osad zwierząt, których się bały (na przykład niedźwiedzi i „prawdziwych” wilków). Ludzie mogli docenić użyteczność tych sygnałów ostrzegawczych.

Niezależnie od wymienionych różnic i tak nie doszukiwałbym się w pierwotnych psach podobieństwa do psich maszyn do kochania, które towarzyszą nam w dzisiejszym życiu. Wytrwam przy tej opinii do czasu, kiedy nauka dowiedzie, że nie mam racji – a może się to wydarzyć w całkiem niedalekiej przyszłości.

Żeby rozstrzygnąć, w którym momencie psy zmieniły się w hipersocjalne, tryskające miłością stworzenia, naukowcy muszą ustalić, na jakim etapie ewolucji doszło do zmian w ich genomie, a ściślej, kiedy pojawiły się w nim geny warunkujące zespół Williamsa (opisane w rozdziale czwartym).

Mój przyjaciel i współpracownik z Uniwersytetu Oksfordzkiego, paleozoolog i genetyk Greger Larson, prowadzi właśnie analizę wczesnych szczątków kopalnych psa pod kątem

obecności tych genów. Odpowiedź może nadejść w każdej chwili. Jeśli tak się stanie, badania Larsona rzucają nowe światło na historię naszych międzygatunkowych relacji i dokładnie określają moment narodzin miłości między psem a człowiekiem – a przynajmniej chwilę, w której psia miłość do ludzi doczekała się wzajemności. Tymczasem musimy się ograniczyć do uzasadnionych, lecz niemożliwych do zweryfikowania spekulacji.

Osobiście uważam, że psy zyskały umiejętność kochania w znacznie późniejszej fazie ewolucji niż ta, na której zajmowały się głównie czyszczeniem ludzkich śmietników. Sądzę, że doszło do tego w momencie, gdy psy i ludzie wyszli poza granice osad i ruszyli wspólnie na polowanie.

Jak już objaśniłem, wilki nie sprawdzają się jako towarzysze myśliwych. Trzeba jednak pamiętać, że te nowe, tolerujące obecność ludzi psowate nie były już wilkami. Przejawiały mniejszą skłonność do agresji niż ich dzicy przodkowie i zapewne straciły umiejętność samodzielnego polowania (która jest jedną z głównych przyczyn niemożności współpracy wilków z myśliwymi). Co ważniejsze, oswoiły się z ludźmi w kluczowym momencie historii naszego gatunku: kiedy człowiek zaczął naprawdę potrzebować psiej pomocy.

Skoro już wiadomo, że psy wyewoluowały co najmniej 14 tysięcy lat temu (a zdaniem niektórych paleontologów znacznie wcześniej), można też uznać za pewnik, że pojawiły się na ziemi podczas ostatniego zlodowacenia. Pokrywa lodowa, osłaniająca większość kontynentów przez dziesiątki tysięcy lat, zaczęła ustępować mniej więcej 12 tysięcy lat temu. Wynika stąd, że psy musiały powstać w epoce lodowcowej.

Nietrudno sobie wyobrazić, że ten wielotysięcletni atak zimy stawiał szczególne wyzwania przed ówczesnymi ludźmi. Zanim jednak klimat zaczął się ocieplać, nasi przodkowie nawykli do ciężkich warunków. Sam nie chciałbym żyć w epoce lodowcowej, ale prehistoryczni ludzie mieli mnóstwo czasu, żeby się do niej zaadaptować i nauczyć sztuki przetrwania. Człowiek jako gatunek liczył wówczas kilkaset tysięcy lat; klimat był dużo chłodniejszy niż dziś, ale występowały w nim ssaki znacznie większe od współczesnych. Przez tundrę wędrowały potężne

mamuty i olbrzymie leniwce naziemne, stwarzając naszym przodkom wspaniałą okazję do polowań.

Kiedy ludzie nawykli już do epoki lodowcowej, ocieplenie klimatu przysporzyło im kilku poważnych zmartwień. Wzrost temperatury z jednej strony ułatwił zdobywanie pokarmu, z drugiej zaś je utrudnił. Na szczęście dla obu gatunków psy miały idealne warunki, żeby pomóc ludziom rozwiązać ten problem.

Doskonały wzrok postawił naszych cherlawych przodków w szeregu najsukuteczniejszych myśliwych polujących na stepach i w otwartych lasach sosnowych epoki lodowcowej. Ludzie wynaleźli skuteczne narzędzia do prowadzenia łowów z odległości: włócznie, miotacze oszczepów oraz łuki i strzały zwiększały zasięg ataku, czyniąc z człowieka wyjątkowo groźnego drapieżcę. Pod koniec zlodowacenia rzadkie lasy (podobne do tundry w dzisiejszej Skandynawii i Ameryce Północnej) zaczęły stopniowo gęstnieć, utrudniając ludziom poruszanie się między drzewami. Czuły zmysł wzroku przestał być użyteczny w coraz bujniejszym podszycie i runie leśnym^[9].

Nasi przodkowie potrzebowali nowych, skuteczniejszych technik polowania w tych dziwnych, przejściowych warunkach. Musieli znaleźć pomocnika, który zdoła się poruszać w gęstym, złożonym z krzewów i niskich drzew podszycie oraz wytropić w nim zwierzynę. Pomocnika wystarczająco zmotywowanego i szybkiego, żeby dogonić i osaczyć zdobycz, a następnie powstrzymać się od zjedzenia jej żywcem. Po zlokalizowaniu łupu i zapędzeniu go w kozi róg, pomocnik powinien dać sygnał myśliwym i zaczekać, aż dopadną i dobiją zwierzę. I jeszcze jedno: nowa technika polowania powinna wiązać się z jak najmniejszym ryzykiem dla człowieka.

Wilki się do tego nie nadają – w przeciwieństwie do psów. Psy odziedziczyły po wilczych przodkach bardzo wrażliwy zmysł węchu, pozwalający im znaleźć zdobycz w warunkach, w których wzrok nie wystarcza. Zachowały też motywację do polowania, a dzięki niewielkim rozmiarom z reguły nie mają kłopotu z przedzieraniem się przez gęste chaszcze. Zatraciły jednak umiejętność dobicia zwierzyny, co skłania je do szukania pomocników w ostatniej fazie łowów. Wszystkie te cechy

idealnie pasowały do nowej strategii naszych wygłodniałych przodków. Ludziom, którzy musieli się przystosować do nagłego ocieplenia klimatu, pies po prostu spadł z nieba.

Myślę, że o współpracy myśliwego z psem zadecydował przypadek: kilka pierwotnych psów, dożywających się w wiejskim śmietniku, postanowiło wybrać się z ludźmi na polowanie. Nie mam jednak wątpliwości, że ich współpraca przekształciła się wkrótce w silną więź, naznaczoną wielkimi emocjami po obu stronach. Przypuszczam, że właśnie wtedy relacja między psem a człowiekiem weszła na poziom, który do dziś wyznacza normę naszych wzajemnych stosunków. Grzebanie w śmieciach stworzyło niszę ewolucyjną dla zwierząt, które nie bały się ludzi; polowanie dało pierwotnym psom szansę udowodnienia, że mogą się ludziom przydać. Za chwilę wyjaśnię, że łowy bok w bok z człowiekiem mogły przyczynić się bezpośrednio do mutacji genetycznej, która stanowi sedno psiej umiejętności kochania.

Żeby zrozumieć, jak psy pomagały naszym przodkom w polowaniu – i jaką rolę w tym wspólnym zajęciu odegrały emocje, z miłością na czele – musiałem wpierw wniknąć w samą istotę polowania z psami.

Zacząłem od przeczytania, co na ten temat mają do powiedzenia antropolodzy zajmujący się społecznościami, które do dziś polują z psami w taki sam sposób jak nasi przodkowie. Po drodze natknąłem się na wyniki badań Jeremy'ego Kostera z uniwersytetu w Cincinnati, który przeprowadził szczegółową analizę praktyk myśliwskich ludu Mayangna. Indianie Mayangna żyją na terenie Rezerwatu Biosfery Bosawás, w północnej części Hondurasu, przy granicy z Nikaraguą. Zajmują się rolnictwem, uprawiając fasolę, banany skrobiowe i ryż, ale czerpią też duże korzyści z polowań z psami, co podkreślił w swoim raporcie Koster. Dzikizna jest głównym źródłem pełnowartościowego białka w ich diecie.

Tak się szczęśliwie złożyło, że wkrótce po lekturze tego artykułu trafiłem do Cincinnati na konferencję i zaproponowałem Kosterowi, żebyśmy poszli na piwo. Pewnie za dużo było tych piw, bo nazajutrz zdałem sobie sprawę, że

zgodziłem się towarzyszyć mu w jego kolejnej wyprawie do ludu Mayangna w Nikaragui.

Koster zapewnił, że podróż do wioski Aran Dok, gdzie prowadził badania, jest całkiem prosta. Zajmuje tylko trzy dni, drogą lądową i statkiem z Managui, stolicy Nikaragui – do których należy doliczyć dwuipółgodzinny lot z Miami. Zapomniał dodać, że podróż lądem oznacza jazdę po wyboistych drogach w trzy osoby na przednim siedzeniu toyoty land cruiser, a dwa dni rejsu „statkiem” należy rozumieć jako dwa dni spływu dłubanką. Owszem, dłubanką wyposażoną w silnik motorowy, niemniej wciąż dłubanką. Nigdy w życiu się tak nie umordowałem.

Kiedy jednak przeprawiliśmy się przez górskie potoki i dotarliśmy na terytorium Mayangna, aż dech mi zaparło z wrażenia. Poczułem się jak w Parku Jurańskim. Brakowało tylko dinozaurów, ale napotkaliśmy coś równie niezwykłego: psy żyjące z ludźmi w podobnej relacji, jaka mogła być udziałem naszych przodków sprzed wielu tysięcy lat.

Indianie Mayangna mieszkają w solidnych chatkach z drewna, stawianych na palach nad rzeką. Gdy podpłynęliśmy bliżej, wylegli na brzeg i przypatrywali się obcym przybyszom z pewną dozą niepokoju. Skoro tylko się uśmiechnąłem i pomachałem im na przywitanie, odwzajemnili mój gest z radosnym entuzjazmem. Ci, którzy rozpoznali Kostera, przyjęli go wyjątkowo ciepło. W pewnej chwili o mało nie wywróciliśmy łodzi, zrównawszy się z dłubanką z czterema mężczyznami, którzy koniecznie chcieli Kostera uściskać.

Rozwiesiliśmy hamaki w chacie dla gości, zjedliśmy na kolację po misce ryżu z kawałkami mięsa, a nazajutrz sam ryż na śniadanie, po czym ruszyłem na łowy z kilkoma myśliwymi (wśród Indian Mayangna polują tylko mężczyźni). Chłopaki wciągnęli kalosze, chwycili w ręce maczety, zawołali psy i w drogę!

Z początku zdumiało mnie podobieństwo między wyprawą Mayangna na polowanie a moimi dziecięcymi spacerami po lesie w towarzystwie Benjiego. Zasada pierwsza: weź psa na uwiąz. Mayangna nie stosują obroży ani smyczy, używają za to linki, którą wiążą w luźną pętlę wokół szyi zwierzęcia. Prowadzą psa

na lince, dopóki idą przez wieś. W lesie zdejmują mu pętlę z szyi i puszczają go wolno.

Na tym etapie Benji i psy Indian Mayangna zachowywały się prawie tak samo – zaobserwowałem jednak różnice w reakcjach ludzi. Kiedy w dzieciństwie wychodziłem z Benjim na spacer, musiałem pilnować, żeby za bardzo się nie oddalił. Gdybym nie przyprowadził go z powrotem do domu, dostałbym niezłą burę. Ledwie docieraliśmy do lasu, Benji ekscytował się każdym dźwiękiem i zapachem, trzeba więc było mieć go na oku. Tymczasem myśliwym Mayangna chodziło właśnie o to, żeby pies ruszył w pogoń za tym, co wytropi w gęstym podszyciu lasu. Ilekroć pies próbował iść przy nodze, złościł się i kazali mu wracać do pracy. Od czasu do czasu wdrapywali się na wzgórze i nasłuchiwali, czy pies jest w pobliżu. Niekiedy wołali: „Sulu!” – słowo to oznacza w ich języku psa^[3*] – przeciągając obydwie samogłoski „u” („Suuu-luuu”). Mieli nadzieję usłyszeć podekscytowane ujadanie, które oznaczało, że pies coś znalazł. Wtedy ruszali w te pędy w jego stronę.

Biegając na spotkanie z psem, Indianie w takim tempie przedzierali się z maczetą przez las deszczowy, że nie mogłem za nimi nadążyć – więc po prostu brnąłem wyrąbaną przez nich ścieżką. Być może przez tę ślamazarność z obydwu wypraw z moim udziałem wróciliśmy z pustymi rękami, niemniej wczułem się w samą technikę polowania. Nie była to jakaś wielka filozofia – pies nie wymagał specjalnego szkolenia. Powodzenie przedsięwzięcia zależało od wrodzonych skłonności i możliwości psa: chęci wytropienia i dogonienia zwierzyny oraz nieumiejętności samodzielnego zabicia łupu. Kiedy pies dopadnie i unieruchomi zwierzę, wzywa na pomoc ludzi – choć nie jestem pewien, czy szczeka z frustracji czy po to, by człowiek dokończył za niego robotę. Tak czy inaczej, efekt jest ten sam: pojawiają się ludzie i dobijają zwierzynę.



Indianin Mayangna na polowaniu z psem

Polowanie z Indianami Mayangna uzmysłowiło mi, że psy myśliwskie nie mają zabijać, tylko szczekać, a tym samym ściągać do siebie ludzi^[4*]. Gdyby psy zachowywały się jak wilki, czyli dobijały i zjadały swoją zdobycz, nie przydałyby się człowiekowi na nic. Kolejny dowód przeciwko tezie, że nasi przodkowie polowali z wilkami. Wygląda na to, że wpierw musieli poczekać, aż na ziemi pojawi się pies, i dopiero wówczas skorzystać z jego usług łowieckich.

Fakt, że czworonożni przyjaciele wciąż skutecznie pomagają myśliwym, jest potężnym świadectwem mocy i trwałości tej międzygatunkowej więzi. Jak wynika z badań Kostera, psy Mayangna ważą przeciętnie dziesięć kilogramów, a mimo to każdy przynosi do domu ponad pięć kilogramów mięsa

miesięcznie. To ogromny wkład w zaspokojenie ludzkiego zapotrzebowania na pełnowartościowe białko. Dlatego sukces polowania wyzwalał gorące emocje, które psy przeżywają wraz z ludźmi. Tak pozytywne doświadczenie z pewnością umacnia więź między człowiekiem a jego psim towarzyszem.

W Aran Dok, największej wiosce Mayangna, dwaj mężczyźni mają broń palną. Koster odkrył, że ich wychudzone psiska są równie skutecznym narzędziem łowieckim jak strzelba.

Obserwując polujących z psami Indian, zwróciłem też uwagę na intensywność łączącej ich więzi. Uświadomiłem sobie, że pomoc ludziom przy łowach wymaga całkiem innych umiejętności niż grzebanie w śmieciach. Szukanie jadalnych odpadków jest zajęciem samotniczym; psy zajęte przetrząsaniem śmietników nie potrzebują kompanii – ani psiej, ani ludzkiej. Moim wyprawom do lasu deszczowego towarzyszyło z kolei silne poczucie, że polowanie z psami wymaga obopólnego zrozumienia i koordynacji działań. Sukces przedsięwzięcia zależał od precyzyjnej wymiany komunikatów. Mężczyźni dawali psom znak, że czas przystąpić do tropienia i ścigania zdobyczy. Psy, które dopadły zwierzyne, musiały z kolei poinformować o tym ludzi i wysłać sygnał, gdzie ich szukać w tym gęstym lesie. Myśliwi utrzymywali, że po odgłosie szczekania potrafią nawet rozpoznać zdobycz – ponieważ obydwa nasze polowania skończyły się fiaskiem, nie mogę potwierdzić tej informacji.

Po powrocie z Nikaragui wpadłem w lekką obsesję na punkcie ewentualnego wpływu polowań na psią umiejętność kochania ludzi. Jako zwolennik koncepcji Raya Coppingera nie zgadzałem się z opinią, że polowania znacząco przyczyniły się do psiej ewolucji oraz umiejętności nawiązywania relacji międzygatunkowych. Ray nie tylko podważył tezę, jakoby ludzie „stworzyli” psy do pomocy w swoich łowach; równie sceptycznie odniósł się do pomysłu, że nasi przodkowie czerpali wymierne korzyści z tej współpracy. Podejrzewał, że szkolenie psów mogło okazać się zbyt pracochłonne. Jego zdaniem cała ta heca z polowaniami była czymś w rodzaju „męskiego tańca godowego”, który miał przede wszystkim zrobić wrażenie na

partnerce; korzyści ekonomiczne dla wspólnoty schodziły w tym przypadku na dalszy plan.

Postanowiłem jednak zweryfikować swoje wcześniejsze poglądy. Jeśli nawet polowania nie przyczyniły się bezpośrednio do wyodrębnienia podgatunku psa domowego, niewykluczone, że pomogły psom na kolejnym etapie ich rozwoju.

Uznałem, że psy, które przeszły mutację genetyczną predysponującą je do tworzenia silnych więzi z człowiekiem, teoretycznie zdobywały przewagę nad zwierzętami, które wołały zachować dystans. Przyjaźnie nastawione psy pewnie chętniej wyruszały z ludźmi na polowania i prosiły ich o pomoc w dobieciu zwierzyny – w ten sposób zyskiwały szanse na udział w podziale łupu. To z kolei zwiększyło prawdopodobieństwo przetrwania i odchowania młodych, a w konsekwencji – rozprzestrzenienia zmutowanych, warunkujących przyjazne zachowania genów w obrębie całej populacji.

Byłem ciekaw, czy znajomi archeolodzy mogą dostarczyć mi dowodów, które rzuciłyby nowe światło na możliwość wykształcenia silnej więzi emocjonalnej między psem a człowiekiem u schyłku epoki lodowcowej, kiedy nasi przodkowie potrzebowali pomocy w polowaniu. Angela Perri, archeozoolog z uniwersytetu w Durham, żywo zainteresowana wpływem psa na ewolucję człowieka, natychmiast zareagowała na mój apel. Przedstawiła mi mocne dowody, że nasi przodkowie naprawdę troszczyli się o swoje psy – że głębokie relacje emocjonalne między obydwojma gatunkami rozwijały się w korelacji z ich świeżo zaistniałym partnerstwem łowieckim. Rzecz jasna, korelacja nie dowodzi przyczynowości, badania Angeli wskazują jednak na silne zależności między dwoma kamieniami milowymi ewolucji: początkiem polowań z psami i wykształceniem trwałej międzygatunkowej więzi emocjonalnej.

W swojej pracy doktorskiej Perri nie skupiła się na wspólnych pochówkach ludzi z psami, tylko na troskliwie przygotowanych pochówkach samych psów. Uznała, że zwierzęta chowano z ludźmi z najrozmaitszych przyczyn – które przeważnie nie miały nic wspólnego z łączącą ich relacją. W tej samej sali Muzeum Izraela w Jerozolimie, gdzie wystawiono odlew żywiczny szkieletu kobiety pochowanej dwanaście tysięcy lat

temu razem ze szczeniakiem^[5*], znajdują się też gabloty ze szczątkami ludzi złożonych do grobu z porożem jelenia, skorupą żółwia, zębami lisa i częściami innych zwierząt. Nie należy wyciągać stąd wniosków, że ówcześni ludzie nawiązywali relacje emocjonalne z jeleniami, żółwiami, lisami i tak dalej. Osoby urządzające pochówek tej kobiecie kierowały się jakimś dawno zapomnianym rytuałem, który wymagał grzebania bliskich ze szczątkami zwierzęcymi.

Gdyby zastanowić się głębiej nad wspólnym pochówkiem człowieka z psem, prędzej czy później pojawiłaby się kwestia, skąd właściwie wziął się tam pies. Czy zmarł mniej więcej w tym samym czasie, czy może został zabity specjalnie, żeby ozdobić grób albo towarzyszyć zmarłemu w jego podróży w zaświaty? Zakładając, że naturalna śmierć zwierzęcia tuż po zgonie właściciela nie jest zjawiskiem zbyt częstym (aczkolwiek Polly, suczka Darwina, rzeczywiście odeszła trzy dni po tym, jak jej pan wydał ostatnie tchnienie), większość takich wspólnych pochówków musiała się wiązać z koniecznością zabicia psa. Oczywiście, nigdy się nie dowiemy, co na ten temat myśleli ludzie przed tysiącami lat. Być może wchodzili w czułe relacje z psami, co jednak nie wyklucza, że mogli je też zabijać i wkładać do grobów ukochanych właścicieli.

Perri zwraca uwagę, że implikacje emocjonalne takich pochówków są co najmniej dwuznaczne. Znacznie jaśniejsze wnioski można wyciągnąć z sytuacji, gdy ludzie z troską i szacunkiem urządzali pogrzeby swoim psom.

Kiedy w grobie nie ma szczątków ludzkich, znaczenie psa dla osób, które go pochowały, nie podlega kwestii. Jeśli psu wyprawiono równie uroczysty i okazały pogrzeb, jakby chodziło o człowieka (a tak się zdarzało w historii ludzkości), należy to odczytać jako nieomylny znak ludzkiej miłości do zwierzęcia.

Perri przeanalizowała starożytne psie pochówki z trzech części świata: wschodniej Japonii, północnej Europy (ze Skandynawią włącznie) oraz wschodniego regionu Stanów Zjednoczonych, pokrywającego się z grubsza z terytoriami Kentucky, Tennessee i Alabamy. Przeczytała raporty z setek wykopalisk. Sprawdziła, kiedy dokonano pochówków i w jakich okolicznościach: czy psy pogrzebano razem z kosztownościami

oraz innymi przedmiotami potwierdzającymi miłość i szacunek do zmarłych, czy też z obiektami bez znaczenia, które znalazły się w grobie przez przypadek? Innymi słowy, czy pochówki świadczą o wzajemnej bliskości i przywiązaniu, czy ludzie po prostu chcieli się pozbyć cuchnących psich zwłok?

Uczona skupiła się na tych regionach z bardzo ciekawej przyczyny: otóż w tych miejscach, w całkiem innym czasie, doszło do trzech przełomowych wydarzeń w dziejach ludzkości. Nasi przodkowie wpierw musieli stawić czoło trudnościom z dopadnięciem zdobyczy w gęstniejących lasach schyłkowej epoki lodowcowej, potem zaczęli polować z psami, wreszcie zajęli się rolnictwem, które uniezależniło ich od polowań – wszystko to działo się niezależnie w trzech odległych punktach globu, w odstępach wielu tysięcy lat.

Perri dokonała niezwykłego odkrycia. Badaczka sporządziła wykresy dla każdej z trzech lokalizacji, porządkując wszystkie intencjonalne pochówki psów na osi czasu – od ery lodowcowej aż po stosunkowo niedawną epokę (co w kontekście archeozoologii i tak oznacza okres sprzed kilku tysięcy lat). We wszystkich przypadkach wykres przybrał taki sam kształt – odwróconej litery U. Im dalej w głąb czasu, bez względu na miejsce, tym mniej świadomych pochówków (początek krzywej). Im bliżej naszej epoki, tym wyraźniej widać, że krzywa znów się obniża – w miarę ponownego spadku zainteresowania grzebaniem psów. Każdy z trzech wykresów wybrzusza się jednak w środkowej części – odpowiadającej długiej epoce, kiedy ludzie w odległych punktach świata wkładali mnóstwo serca i wysiłku w urządzenie pochówków swoim podopiecznym.

Ramy czasowe tej epoki różnią się w zależności od miejsca, chodzi jednak o analogiczny moment dziejów ludzkości. Ludzie zdradzali rosnące zainteresowanie grzebaniem swoich psów w epoce ocieplenia klimatu po ostatnim zlodowaceniu, kiedy zaczęli mieć trudności z polowaniem. Na tym etapie, po setkach tysięcy lat sukcesów łowieckich, nasi przodkowie utknęli w gąszczu, w którym nie potrafili się ani poruszać, ani wypatrywać zdobyczy. Właśnie wtedy nastał czas uroczystych psich pochówków – w trzech bardzo odległych punktach globu. Działo się to od 3000 do 9000 lat temu, zależnie od lokalizacji

(później na północy Europy, wcześniej w Ameryce Północnej). Mieszkańcy tych regionów nie mieli ze sobą żadnego kontaktu; decyzję o roztoczeniu opieki nad psami musieli podjąć sami. Pochówki psów wszędzie pojawiły się wraz z nadejściem rolnictwa.

W niektórych przypadkach analizowanych przez Perri psy pogrzebano z tak bogatym wyposażeniem, że archeolodzy mieli wątpliwości, czy były to intencjonalne pochówki zwierzęce. Ktoś wysunął tezę, że groby psów pełniły funkcję symbolicznych cenotafów – zamiast zwłok zaginionego wojownika składano w nich zwierzę^[10]. Perri przedstawiła bardzo przekonujący kontrargument. Prehistoryczni ludzie traktowali psy jak psy – nie jak substytuty bliskich im osób. Składali je do grobu z drogocennymi przedmiotami, bo dowiodły swej wartości podczas polowań. Nie poradziłyby sobie bez ich pomocy. Niewykluczone, że nasi przodkowie chowali psy z honorami, bo okazywały im miłość za życia, czuli się więc w obowiązku odwzajemnić ich uczucia.

Podsumowując: dowody archeologiczne wskazują, że psy – choć polowanie z ludźmi raczej nie przyczyniło się do ich powstania – zadzierzgnęły z nami silną więź emocjonalną, kiedy doceniliśmy ich pomoc w pozyskiwaniu drogocennego białka. Dane z wykopalisk nie odpowiedzą nam jednak na pytanie (przynajmniej na razie), czy akurat w tym samym czasie doszło do mutacji genetycznych, dzięki którym psy mogły odpłacić za naszą miłość.

Znajomi paleogenetycy wciąż jeszcze badają kopalne szczątki psów, ale przy odrobinie szczęścia wkrótce się dowiemy, kiedy w genomie tych zwierząt pojawiły się geny hipertowarzyskości – podstawa genetyczna psich uczuć. Z braku możliwości rozmowy z naszymi przodkami sprzed siedmiu, ośmiu i dziewięciu tysięcy lat pozostaje nam zdać się na analizę genetyczną: najwiarygodniejsze źródło wiedzy o początkach interakcji psa z człowiekiem.

Czekam wyników tych analiz jak kania dżdżu, ale i tak żałuję, że nie dowiemy się w szczegółach, gdzie, kiedy i w jakich okolicznościach psy nauczyły się kochać. Od dawna nie ma już ludzi, których życie przypadło na ten krytyczny etap w ewolucji

psa, więc z nikim sobie nie pogadam. Muszę się zadowolić rezultatami badań, które na szczęście zapowiadają się jeszcze ciekawiej niż przytoczone dotąd przykłady.

Mamy już dane, z których można wywnioskować, jak ze skomplikowanej materii genetycznej psowatych w stosunkowo krótkim czasie wyłonił się pies. Nie zawdzięczamy ich wilkom, tylko innym psim kuzynom: lisom. Nie pochodzą ze skutej wiecznym lodem Europy, ale z Syberii czasów Związku Radzieckiego. W 1959 roku rozpoczął się tam jeden z największych w historii eksperymentów z dziedziny ewolucji – badanie doświadczalne, które miało sprawdzić, czy w toku tego procesu może powstać miłość.

Radziecka Syberia wydaje się dość dziwnym miejscem na badanie dziejów psiej miłości. O ile w początkach ZSRR wspierano rozwój genetyki, o tyle Stalin gardził tą burżuazyjną nauką i w latach 30. zsyłał genetyków do Gułagu albo od razu ich mordował.

Po śmierci Stalina w 1953 roku udało się jednak wznowić badania w radzieckich instytutach^[11]. Jednym z najwybitniejszych przedstawicieli nowego pokolenia genetyków był Dmitrij Bielajew. Jego brat Nikołaj, również genetyk, zmarł w 1937 roku w obozie pracy, dokąd zesłano go za prowadzenie nielegalnych badań nad dziedzicznością.

Dmitrij Bielajew chciał złożyć hołd nieżyjącemu bratu, prowadząc eksperyment, który miał wykazać, że ewolucja niekoniecznie prowadzi do „wzmocnienia” gatunków – czyli uczynienia z nich bezlitosnych maszyn do zabijania i pożerania ofiar^[12]. Bywa, że działa wręcz odwrotnie, torując drogę uczuciom – nawet miłości. Bielajew zamierzał udowodnić, że zwierzęta mogą dziedziczyć przyjazny stosunek do ludzi – co jak na owe czasy było koncepcją dość radykalną. Choć potwierdzono już dziedziczność cech fizycznych, uczeni wciąż nie mieli jasnych dowodów, że ewolucji podlegają też bardziej złożone wzorce zachowań.

Przedmiotem swojego eksperymentu Bielajew uczynił lisy. Hodowla tych zwierząt na futra była bardzo popularna w Związku Radzieckim, poza tym lisy świetnie się nadawały do

badania nad przyczyną wyjątkowo przyjaznej natury psów. Lisy należą do rodziny psowatych, podobnie jak wilki i psy, ale w przeciwieństwie do nich nie reprezentują rodzaju *Canis*. To istotna różnica. Oznacza, że lisy są wystarczająco blisko spokrewnione z psami i wilkami, by prowadzone na nich eksperymenty rzuciły światło na początki ewolucji psa. Na tyle jednak się od nich różnią, by mieć pewność, że nie skrzyżują się ani z wilkiem, ani z psem. Bielajew zyskał tym samym gwarancję, że krzyżowanie międzygatunkowe nie zaciemni wyników jego eksperymentu.

Każdej wiosny Bielajew wybierał najbardziej ufne i przyjazne wobec ludzi osobniki i przeznaczał je do dalszego rozrodu. Po trzech latach badań kilka lisów dawało się już prowadzić na smyczy i nie przejawiało agresywnych zachowań, typowych dla osobników trzymanyh w klatkach. Ember, przedstawiciel czwartego pokolenia badanych zwierząt, był pierwszym lisem w historii, który zaczął merdać ogonem na widok ludzi^[13]. Bielajew zmarł w 1985 roku – do tego czasu było już wiadomo, że jego eksperyment zakończył się całkowitym sukcesem.

Kiedy usłyszałem, że Sowietci już w latach 50. rozpoczęli badania nad ewolucją miłości, wydało mi się to tak absurdalne, że nie dałem temu wiary. Teraz, po wizycie w lisiej fermie na terenie Instytutu Cytologii i Genetyki Syberyjskiego Oddziału Rosyjskiej Akademii Nauk i szczegółowym zapoznaniu się z przebiegiem prowadzonych w nim badań, zrozumiałem, że Rosjanie osiągnęli swój cel w pełni. Być może historia nie nadaje się na scenariusz filmu z Jamesem Bondem, ale jest znacznie ciekawsza od dowolnej intrygi tych banalnych melodramatów epoki zimnej wojny – nawet zważywszy na moją młodzieńczą fascynację Honey Ryder i Pussy Galore.

Dorastałem w tym czasie w Wielkiej Brytanii i nauczyłem się, że Związek Radziecki to imperium zła, które chce zawładnąć całą planetą. Nie zdawałem sobie jednak sprawy, jak olbrzymią powierzchnię zajmuje Rosja, aż poleciałem do Moskwy, po czym spędziłem kolejne trzy godziny w samolocie do Nowosybirska, największego miasta na Syberii, olbrzymiego ośrodka przemysłowego, położonego w miejscu, gdzie Kolej Transsyberyjska przekracza rzekę Ob. Sądząc z mapy,

Nowosybirsk nie leży nawet w połowie drogi przez Syberię, a mimo to różni się diametralnie od Moskwy, nie wspominając już o Florydzie, skąd wyruszyłem w podróż dzień wcześniej.

Po drodze z lotniska w Nowosybirsku do Laboratorium Genetyki Ewolucyjnej Zwierząt (znanego po prostu jako Lisia Ferma) mijałem fabryki tak zrujnowane, że tylko kłęby dymu z kominów uzmysławiały, że są wciąż czynne; opatulone na wrześnie chłody babuleńki, które sprzedawały warzywa i kwiaty, siedząc na odwróconych dnem do góry wiadrach; pomnik kołchozu; tak wielkie dziury w jezdni, że wyglądały jak kratery po bombach. Wreszcie, po półgodzinie jazdy, dotarliśmy do stacji badawczej.

W środku było mnóstwo opuszczonych lisich klatek i zniszczonych albo popadających w ruinę zabudowań z betonu. Większość terenu porośła trawą i chwastami, część zajęli miejscowi. Wypatrzyłem gdzieś mężczyznę kopiącego kartofle, między rzędami klatek rosły kwiaty, dodając uroku tej niegościnnej przestrzeni.

Przespacerowaliśmy się wokół starych klatek ze zwierzętami. Oswojone lisy skamlały i trzęsły się z podniecenia na nasz widok, najwyraźniej stęsknione za kontaktem z ludźmi. Ich ekstrawertyczny entuzjazm przywiódł mi na myśl zachowanie psich szczeniąt. Kiedy przewodnik otworzył jedną z klatek, lis dosłownie skoczył mi na ręce – doprawdy zdumiewający widok. Zwierzę przywarło do mnie całym ciałem i wydawało się zachwycone, że je przytula.

Nie miałem wprawy w pieszczaniu lisów, ale zwierzę postanowił dać mi lekcję. Zaskomlał piskliwie, zamachał wielkim puszystym ogonem i wcisnął mi nos w szyję. Wokół nas zebrało się kilka innych lisów wypuszczonych z klatek: wszystkie zachowywały się podobnie. Wpierw zdradzały oznaki podekscytowania, po czym szybko się uspokajały i czerpały wyraźną radość z pieszczot. Mam parę zdjęć z oswojonymi lisami różnej maści. Wszystkie czule trącały mnie pyskiem. Wyglądały jak lisy, ale w głębszym sensie Bielajewowi udało się stworzyć całkiem nowe stworzenie, bardziej podobne do psa.

To, co zobaczyłem na Syberii, potwierdza, że dzikie, niezainteresowane międzygatunkową relacją zwierzęta można

przekształcić w ufną, pełną miłości istotę. Dowodzi prawdziwości tezy zmarłego w Gułagu Nikołaja, że dobór partnerów do rozrodu może przyczynić się do spektakularnych zmian w ciągu zaledwie kilku pokoleń. Długotrwały eksperyment Bielajewa pokazuje, że wyłącznie metodą selekcji można stworzyć zwierzę równie oswojone jak pies. Uchyła rąbka tajemnicy, w jaki sposób ewolucja obdarowała nas najlepszym przyjacielem w królestwie zwierząt. Trudno będzie o mocniejszą doświadczalną demonstrację, czemu psy zawdzięczają swoje przyjazne usposobienie i zdolność kochania.



Autor z jednym z potomków przyjaznych lisów Bielajewa

Równie istotne jest to, co Dmitrij Bielajew udowodnił swoim eksperymentem na lisach, jak i to, czego udowodnić nie zdołał.

Niestety, zespół Bielajewa właściwie nic nie robił ze swoimi lisami, poza tym, że je karmił i rozmnażał. Badacze nie chodzili z nimi na polowania i nie próbowali wciągać ich w jakąkolwiek współpracę. Eksperyment nie dostarczył więc bezpośrednich dowodów, że za przyjazną naturę psa odpowiada konkretny rodzaj aktywności, na przykład wspólne łowy z człowiekiem. Rozstrzygnięcie tej kwestii pozostanie na zawsze w sferze domysłów, popartych wynikami badań archeologicznych i antropologicznych.

Poza tym to, że Bielajew i jego współpracownicy na Syberii selekcjonowali zwierzęta, by uzyskać od nich kolejne pokolenie fermowych lisów, wcale nie oznacza, że prehistoryczni ludzie robili to samo, dobierając do rozrodu osobniki, które przyczyniły się ostatecznie do powstania psa. Dobór jest doborem, bez względu na to, czy stoi za nim przyroda czy człowiek. Jak podkreślał Darwin, „dobór sztuczny” (w którym człowiek decyduje o wyborze rodziców przyszłego pokolenia) jest tylko wątlm odbiciem „doboru naturalnego” – walki o odcisnięcie własnego piętna biologicznego, rozgrywającej się w przyrodzie bez interwencji człowieka. Obydwa rodzaje doboru mogą doprowadzić do takich samych rezultatów. Imponujący eksperyment Bielajewa dowodzi, że dzięki doborowi można wyhodować łagodniejsze zwierzęta. Nie daje nam odpowiedzi na pytanie, kto – lub co – kierowało tym doborem w przypadku psa.

Jak już wspomniałem, nie sędę, by człowiek przyczynił się do powstania psa. Wprawdzie dziś ludzie hodują psy na całym świecie, nie wyobrażam sobie jednak, by nasi przodkowie kontrolowali rozród zwierząt. Kiedy pojawiły się pierwsze psy, ludzie nie znali jeszcze obroży, smyczy, klatki ani nawet muru czy wysokiego płotu – wynalazków niezbędnych do regulowania życia seksualnego innych gatunków.

Owszem, można zakładać, że nasi przodkowie stosowali praktykę, którą biolodzy nazywają eufemistycznie „doborem postzygotycznym”: mam na myśli zabijanie szczeniąt wykazujących niepożądane cechy. Byłaby to jednak metoda tyleż ryzykowna, co nieskuteczna. Każdemu, kto spróbowałby w tym celu odebrać wilczycy młode, mogę tylko życzyć szczęścia.

Moim zdaniem łatwiej zgładzić cały miot wraz z matką niż wyselekcjonować kilka szczeniąt. A tylko wybiórcze odchowywanie osobników przeznaczonych do dalszego rozrodu mogłoby z czasem wpłynąć na złagodnienie wilczej natury – szczerze mówiąc, nie wydaje mi się to prawdopodobne.

Nie wolno też zapominać, że ludzie prehistoryczni raczej nie zdawali sobie sprawy z mechanizmu dziedziczenia, który odgrywa zasadniczą rolę w hodowli innych gatunków zwierząt. Poza tym jedynie chów wsobny, który doprowadził do wyodrębnienia poszczególnych ras psów, daje gwarancję, że potomstwo będzie podobne do rodziców. Ze skrzyżowania dwóch białych osobników tej samej rasy urodzą się najprawdopodobniej białe umaszczone szczeniątka. W potomstwie dwóch białych kundli mogą się znaleźć szczeniaki dowolnej maści. Genetyka jest bardzo złożoną dyscypliną, której sam wciąż nie ogarniam i nie sądzę, by moi przodkowie sprzed 14 tysięcy lat mieli choć blade pojęcie o dziedziczeniu cech organizmów.

Po namyśle stwierdzam, że pies powstał drogą doboru naturalnego. Korzyści z tolerowania ludzi były tak wielkie dla populacji wilkowatych stworzeń, które zadomowiły się na naszych śmietnikach, że natura zaczęła faworyzować osobniki zdolne wytrzymać obecność człowieka. U schyłku epoki lodowcowej, kiedy nasi przodkowie potrzebowali pomocy przy polowaniu, psia zdolność ich tolerowania ustąpiła miejsca szczerzej i otwartej miłości, w której ciepło grzejemy się po dziś dzień.

Jedno jest pewne: do powstania psa przyczyniły się zmiany genetyczne zachodzące przez wiele pokoleń. Zapewne nigdy się nie dowiemy, ilu pokoleń było potrzeba, by stworzyć zwierzę, z jakim obecnie mamy do czynienia. Możliwe, że za sprawą kilku przypadkowych mutacji psy dość raptownie przeistoczyły się z istot ledwie pozwalających na naszą obecność w uroczu, rozbijające stworzenia, kochane przez współczesnych ludzi: w zwierzęta, które nie tylko nas znoszą, ale wręcz nas szukają i potrafią przekonać, żebyśmy się nimi zaopiekowali. Kiedy odwiedzisz schronisko, żeby znaleźć sobie nowego towarzysza, pies da ci do zrozumienia, że to on cię wybrał, a nie odwrotnie.

Kwestia, jak doszło do zróżnicowania genomu psa względem genomu wilka, jest przedmiotem najciekawszych badań dzisiejszej kynologii.

Ale nie tylko geny mają wpływ na cechy psa. Każde psie dziwactwo – nie wyłączając zdolności kochania – jest uwarunkowane subtelną interakcją między genami a środowiskiem. Kolejnym fascynującym zagadnieniem jest wpływ warunków życia na uczucia psa. Dla osób, które są z psami na co dzień, kwestia pielęgnowania psiej miłości jest zapewne istotniejsza niż pytanie, skąd się ta miłość w ogóle wzięła.

6 Jak psy się zakochują

O wyjątkowości naszych psów decydują ich geny. Nie wpływają one jednak na ich ostateczny kształt, na takiej samej zasadzie, jak – dajmy na to – instrukcja do zestawu klocków lego, której trzymanie się determinuje złożenie konkretnej zabawki (pod warunkiem, że nie zgubimy żadnego z elementów). Kod genetyczny jest tylko punktem wyjścia do mnóstwa osobnych procesów rozwojowych, w których wyniku za każdym razem powstanie oddzielny organizm.

Mój ukochany, cudownie specyficzny pies przypomina mi o tym bezustannie, jakkolwiek nieumyślnie. Xephos leży teraz koło mnie, wciąż nasłuchując i patrząc spode łba, czy do drzwi nie zapuka jakiś dostawca, w pełni świadoma tego, co robię, i wciąż z nadzieją (niestety, raczej płonną), że za chwilę wstanę i wezmę ją na spacer albo przejażdżkę samochodem. Wszystko to oczywiście zawdzięcza genom kodującym białka, z których są zbudowane jej oczy, uszy oraz zdolny do przetworzenia niezbędnych informacji mózg – ale do wykonania tych czynności potrzebuje nie tylko genów. Tożsamość Xephos – jej rozkosznie ujmujący charakter, jej sympatie i antypatie – determinują również konkretne doświadczenia życiowe.

Nie ulega wątpliwości, że geny mają swój udział w psiej miłości, podobnie jak mają go w każdym aspekcie biologii. Odkrycie różnic między genotypami psów i ich dzikich przodków – co dotyczy zwłaszcza genów odpowiedzialnych za dobrodusze usposobienie naszych towarzyszy – jest jednym z najbardziej ekscytujących dokonań współczesnej kynologii. Na to, czym pies jest, wpływają jednak także okoliczności zewnętrzne.

Prawidłowo ukształtowane geny psiej miłości nie dają gwarancji, że pies rozkocha się w ludziach. Nawet o wrodzoną miłość trzeba jeszcze zadbać. Pozwolę sobie przypomnieć terminy, które posłużyły mi za gwiazdę przewodnią w mojej odkrywczej podróży: dzieje psiej miłości to nie tylko filogeneza (zachodzące z pokolenia na pokolenie zmiany ewolucyjne), lecz także ontogeneza (rozwój konkretnego osobnika). I tutaj pojawia

się pytanie za milion dolarów: skoro ewolucja wyposażała psy w umiejętność kochania ludzi, ale nie zobowiązała ich do tej miłości, jak doszło do tego, że jednak nas pokochały?

Rozmyślałem właśnie nad zawiłymi ścieżkami psiej miłości, kiedy trafiłem na kilka artykułów w prasie popularnej – o tym, jak piosenkarka Barbra Streisand kazała sklonować Sammie, swojego ukochanego psa rasy coton de Tuléar. Sklonowane zwierzęta mają te same geny co ich dawcy: przypominają identyczne pod względem genetycznym bliźnięta monozygotyczne. Wiedziałem, że takie bliźnięta stanowią idealny materiał do porównywania skutków filogenezy i ontogenezy. Uчени badają te przypadki od lat, żeby pogłębić naszą wiedzę o skomplikowanym współoddziaływaniu czynników genetycznych i środowiskowych na rozwój człowieka. Byłem ciekaw, czy sklonowane osobniki w podobny sposób pozwolą nam poznać uwarunkowania rozwoju psów.

Autorzy większości tekstów o pupilu Streisand skupili się na ogromnych kosztach klonowania i związanych z tym kwestiach etycznych. Psa sklonowano po raz pierwszy w 2005 roku w Korei, implantując embriony uzyskane z komórek pobranych od dawcy w macicach 123 surogatek, które miały dać identyczne potomstwo. Konsekwencje etyczne wykorzystania tak dużej liczby samic były mocno wątpliwe^[1]. W następnej dekadzie procedura uległa uproszczeniu: pewna firma z siedzibą w Teksasie sklonuje twego pupila z użyciem jednej surogatki. Wystarczy kilka komórek z wewnętrznej strony policzka psa oraz 50 tysięcy dolarów.

Wciąż zdumiewają mnie koszty klonowania zwierząt, rozważam też względy etyczne tego procesu – w tym jednak przypadku najbardziej zaciekała mnie wypowiedź pani Streisand. Piosenkarka stwierdziła na łamach „New York Timesa”, że cztery sklonowane szczeniaki wyglądają wprawdzie tak samo, ale „każdy jest wyjątkowy i ma inną osobowość. Można sklonować wygląd psa, ale nie da się sklonować jego duszy”^[2]. Zaintrygowała mnie ta opinia. Co Streisand miała na myśli, mówiąc o niemożności sklonowania duszy?

Niestety, pani Streisand nie zareagowała na moje próby kontaktu, odkryłem jednak, że dwadzieścia minut spacerkiem ode mnie mieszka mężczyzna, który sklonował swojego psa w 2017 roku. Rich Hazelwood przekazał 50 tysięcy dolarów oraz kilka komórek z policzka swojego ukochanego mieszkańca teriera – suczki imieniem Jackie-O – firmie w Teksasie. Pięć miesięcy później zyskał dwie nowe pupilki, które nazwał Jinnie i Jellie. Jak powiedział mi przez telefon, suczki wyglądają prawie tak samo, ale pod względem osobowościowym „różnią się diametralnie. Jinnie do złudzenia przypomina matkę. Jest prawdziwą sportsmenką – łowczynią i biegaczką. Potrafi przebiec bez odpoczynku pięć, a nawet siedem kilometrów”. Jellie, choć ma takie samo DNA jak Jennie, jest jej całkowitym przeciwieństwem. „Prawdziwy kanapowiec – stwierdził Hazelwood. – Jest bardzo inteligentna, ale niezbyt aktywna”.

Obydwa klony, jak dodał Hazelwood, różnią się także od swojej matki (siostry, dawczyni DNA, lub jak jeszcze ją nazwać). Jackie-O jest w trzech czwartych terierką Jack Russell, a w pozostałej jednej czwartej mieszańcem teriera szkockiego i buldoga angielskiego. Produktem tej krzyżówki jest śliczna, niewielka suczka o krótkiej, kędzierzawej sierści – biała z kilkoma brunatnymi łatami. Jinnie i Jellie mają podobne (ale nie takie same) plamy na pysku. Jackie-O ma jednak brunatną łatę na zadzie, tymczasem Jinnie i Jelly od szyi do dołu są umaszczone na biało: dowód, że nawet nieznaczne różnice na wczesnym etapie rozwoju zwierzęcia, również w życiu płodowym, mogą wpłynąć na jego wygląd zewnętrzny.

Dwie suczki Hazelwooda są wystarczająco podobne, żeby mogły uchodzić za bliźniaczki. Kiedy jednak odwiedziliśmy je wraz z Lisą Gunter, wówczas moją magistrantką, obecnie koleżanką po fachu i współpracownicą, zachowywały się całkiem odmiennie – zgodnie z telefoniczną relacją właściciela. Jinnie wybiegła nam na powitanie, zaczęła kręcić się w kółko i podskakiwać, a gdy tylko usiedliśmy, wpakowała nam się na kolana, zachowując czujność do końca naszej wizyty. Jellie też się z nami przywitała, ale wkrótce potem zasnęła na kanapie.

O dziwo, matka dwóch klonów (albo siostra...) wciąż jeszcze żyje. Jackie-O, obecnie osiemnastoletnia, podeszła do nas –

i zaczęła szczekać. Szczekała jak opętana. Biedna staruszka jest już ślepa, a podejrzewam, że także głucha. Okazała się przyjazna i wyjątkowo ruchliwa jak na psa w swoim wieku, ale nie nadążała za swoimi córkami. Ułożyła się na podłodze i dopiero po jakimś czasie przestała ujadać. Hazelwood powiedział, że za młodu Jackie-O dosłownie tryskała energią, zupełnie jak teraz Jinnie.



Jinnie i Jelly, psie klony Richa Hazelwooda – identyczne pod względem genetycznym, różniące się jednak temperamentem

Przed wizytą u Hazelwooda i jego trzech identycznych genetycznie suczek podrwiwałem sobie z klonowania psów i wciąż nie zachęcam do korzystania z tej praktyki. Trudno było jednak zachować sceptycyzm wobec radości właściciela z towarzystwa tych zwierzków. Hazelwood wyjaśnił, że kilka lat

temu miał trudny czas w życiu i nie mógł się pogodzić z perspektywą odejścia swojej ukochanej Jackie-O. Kiedy usłyszał, że można klonować psy, natychmiast zadzwonił do Teksasu.

Efekt podsumował tymi słowy: „Szczęście, jakiego doświadczam, jest warte każdych pieniędzy”^[3]. Widząc, ile uciechy przynosi mu obecność dwóch suczek – zwiniętej w kłębek na kolanach Jinnie i śpiącej u jego stóp Jellie – mogłem mu tylko pozazdrościć.

Okazja zobaczenia sklonowanych psów na własne oczy była dla mnie wielkim przeżyciem. Wiedziałem z naukowego doświadczenia, że nie tylko geny kształtują osobowość. Mimo to sądziłem, że dwa osobniki – mające ten sam materiał genetyczny, urodzone w tym samym czasie z jednej matki, wychowane w identycznych warunkach i mieszkające w tym samym domu – będą przejawiać podobne zachowania. Komentarz Streisand o niemożności sklonowania duszy skojarzył mi się z mnóstwem nieznaczących odchyłeń od stałego wzorca. Uderzające różnice między temperamentami Jinnie i Jellie wprowały mnie jednak w osłupienie. Nie przeprowadziliśmy żadnych formalnych testów osobowości na suczkach Hazelwooda, ale i tak zaliczyłbym Jinnie do 20 procent najbardziej ekstrawertycznych psów, z jakimi miałem kiedykolwiek do czynienia. Jellie uplasowałaby się za to w grupie największych psich introwertyków.

Wynika stąd jasno, że nawet niewielkie różnice w doświadczeniach życiowych psa mogą wyrzucić decydujący wpływ na ekspresję genów. Innymi słowy, DNA nie decyduje o psim losie. Dotyczy to zarówno sytuacji, kiedy w grę wchodzi cała pula genów (przypadek Jinnie i Jelly), jak i ekspresji genów pojedynczych, między innymi tych, które warunkują psią zdolność okazywania miłości. Wprawdzie szczenięta przychodzą z nimi na świat, ale od narodzin do wychowania kochającego psa droga jest daleka.

Jeśli przyjrzeć się psiej naturze z bliska, wyjdzie na jaw, że przyczyniły się do niej geny warunkujące umiejętność okazywania czułości przedstawicielom innych gatunków. Za ekspresję tego wzorca behawioru odpowiada jednak

wychowanie. Wszyscy wiedzą, że szczenięciu można wpoić dystans, a nawet agresję wobec ludzi – utrwalając ten model reakcji w procesie wychowawczym. Mało kto jednak zdaje sobie sprawę, że szczenięta mogą nauczyć się kochać kogoś innego niż człowiek. Szkoda, bo świadomość tego faktu ma ogromny wpływ na zrozumienie, w jaki sposób pies dorasta do okazywania miłości ludziom.

Zdradzę wam teraz sekret i mam nadzieję, że nikt się na mnie nie obrazi. Owszem, psy nas kochają, ale w tej miłości wcale nie chodzi o nas. Jej istota tkwi w psiej naturze. Twój pies cię kocha, ale na dobrą sprawę mógłby kochać kogokolwiek – i to niekoniecznie człowieka. Koniec kropka. Gdyby twój pies został wychowany przez zebry albo mrówniki, darzyłby je równie gorącym uczuciem jak ciebie.

Psia umiejętność kochania ludzi sprowadza się po prostu do umiejętności kochania – nie skupia się konkretnie na człowieku. Jeśli cię to zaskakuje, to wyłącznie dlatego, że sam jesteś człowiekiem i przeważnie widzisz psy wchodzące w interakcje z innymi ludźmi. Popełniasz wybaczalny błąd. Może przesadą byłoby twierdzić, że pies wychowany przez mrówniki nauczyłby się je kochać – nie sądzę, żeby kiedykolwiek doszło do takiej sytuacji – niemniej gdybyś wychował się w stadzie kóz pilnowanych przez psy pasterskie w rodzaju akbaszy lub owczarków anatolijskich, twoje przekonanie, że psy kochają wyłącznie kozy, byłoby całkiem usprawiedliwione.

Beneficjentami psiej miłości bywają nawet pingwiny – na wysepce wchodzącej w skład miasta Warrnambool, około trzech godzin jazdy samochodem na zachód od Melbourne przez Princes Highway. Położona tuż przy brzegu, nosząca niezbyt poetycką nazwę Middle Island, mieści kolonię pingwinów małych. Nie chodzi po prostu o małe pingwiny, tylko o odrębny gatunek *Eudyptula minor*, występujący wyłącznie u wybrzeży Australii i Nowej Zelandii^[6*]. Odwiedziłem inną ich kolonię, na równie banalnie nazwanej Penguin Island w Australii Zachodniej. To absolutnie najśłodsze spośród tych ptaków, które i tak biją wszelkie rekordy słodkości. Pingwiny małe dorastają do 40 centymetrów i mają czarnogranatowe upierzenie

wierzchu ciała. O ile ich więksi kuzyni, na przykład pingwiny cesarskie i królewskie, mogą sprawiać poważne, a nawet groźne wrażenie, o tyle drepczące śmiesznym kaczym chodem pingwiny małe wyglądają naprawdę uroczo, by nie rzec filuternie.

Żeby zobaczyć kolonię pingwinów małych, przeszedłem na Penguin Island groblą podczas odpływu. Udało mi się dotrzeć na wyspę bez szwanku, ale miejscowe władze odradzają piesze wycieczki ze względu na ryzyko nagłej zmiany pogody. Grobla – licząca prawie kilometr długości i zalana wodą na wysokość przynajmniej trzech czwartych metra – zapewnia pingwinom skuteczną ochronę przed lądowymi drapieżnikami.

Niestety, pingwiny z Middle Island nie mają tyle szczęścia. Ich wysepka leży niespełna dwadzieścia metrów od brzegu, a przemieszczające się piaski z plaży stwarzają czasem warunki do przejścia całkiem suchą nogą. Tragedia wydarzyła się w 2004 roku, kiedy na wyspę wtargnęły lisy i zagryzły prawie wszystkie ptaki. Tutejsza populacja pingwinów liczyła niegdyś ponad osiemset sztuk; w 2005 roku z kolonii zostało tylko sześć ptaków. Zrozpaczeni mieszkańcy nie mieli pojęcia, co robić. Nie mogli przecież odsunąć wyspy od wybrzeża.

Pewien hodowca drobiu, znany w okolicy jako Swampy Marsh, wpadł na genialny pomysł, żeby do ochrony pingwinów użyć psów pilnujących na co dzień inwentarza. Marsh zdążył już zwątpić w możliwość ocalenia swoich kur z wolnego chowu przed zakusami lisów, kiedy został właścicielem owczarka maremma. Był pełen podziwu dla skuteczności, z jaką pies wypłaszał lisy z gospodarstwa. Ben, jego pierwszy maremma, przegonił kiedyś lisa wprost na szosę. Marsh opowiadał w wywiadzie dla „New York Timesa”: „Samochód rozjechał go na miazgę. Zrobił z niego lisią pizzę”^[4].

Owczarek maremma to stara rasa z południowego regionu Toskanii, określonego w jednej z brytyjskich gazet jako miejsce „dyskretne i szykowne”^[5]. Podobne rasy występują na całym północnym wybrzeżu Morza Śródziemnego, od Portugalii aż po Turcję i Bliski Wschód. Używanie psów do pilnowania inwentarza praktykowano na południu Europy tysiące lat przed ekspansją turystów, którzy teraz są głównym źródłem dochodów dla okolicznych mieszkańców. W *Odysei*, spisanej prawie 3000

lat temu, Homer przywołuje epizod, w którym Odyseusz po powrocie do Itaki o mały włos zostałby zagryziony przez psy strzegące świń^[6].

Psy do pilnowania inwentarza nie mają nic wspólnego z dawnymi angielskimi rasami psów pasterskich, które służą do zaganiania. Angielskie owczarki stosują się ściśle do poleceń człowieka, by przegonić trzodę – zwykle owce – z jednego miejsca na drugie. Jestem pewny, że narażę się miłośnikom staroangielskiego bobtaila, ale moim zdaniem psy pilnujące dobytku powstały znacznie wcześniej niż psy zaganiające. Po pierwsze, strzeżenie inwentarza jest dużo prostsze niż jego zaganianie – nie wiąże się z koniecznością przestrzegania złożonych poleceń, wydawanych przez opiekuna głosem lub gwizdkiem. Po drugie, świadectwa użycia psów do pilnowania inwentarza sięgają początków historii pisanej – wzmianki o zaganianiu trzód pojawiły się znacznie później. Pierwsze zawody psów pasterskich zorganizowano dopiero pod koniec XIX wieku^[7].

Niestety, pomysł wykorzystania psów jako strażników zwierząt domowych nie zaświtał Europejczykom podczas zasiedlania Ameryki Północnej^[8]. Podchwyceno go dopiero w latach 70., głównie dzięki wysiłkom Raya Coppingera z Hampshire College. Ray odbył wiele podróży na południe, zwiedzając odcięte od świata górzyste regiony Portugalii, Hiszpanii, Włoch, Grecji i Turcji. Obserwował tam pasterzy i dowiadywał się, jak używają swoich psów do strzeżenia stad. Sprowadził do Stanów Zjednoczonych pierwsze owczarki maremma w dziejach kontynentu.

Pewnego dnia hodowca drobiu Swampy Marsh wdał się w pogawędkę z Dave'em Williamsem, studentem biologii zatrudnionym u niego w gospodarstwie. Rozmawiali o tragicznej sytuacji kolonii z Middle Island. Marsh uznał, że powinni wprowadzić na wyspę psa, który będzie strzegł pingwinów. Williams postanowił omówić ten pomysł w jednym z rozdziałów swojej pracy zaliczeniowej. Podsumował swój raport ofertą skierowaną do rady miejskiej Warrnambool, która – z braku innych rozwiązań – pozwoliła Williamsowi rozbić na wyspie namiot i zabrać ze sobą sukę Marsha imieniem Oddball.

Choć Oddball została gwiazdą filmu pod tym samym tytułem, jej pobyt na Middle Island nie zakończył się pełnym sukcesem^[9]. Po tygodniu obozowania na wyspie Williams zostawił sukę samą na sam z pingwinami. Biedna psica czuła się samotnie i trzy tygodnie później uciekła z powrotem do Marsha i jego kur. Problem tkwił w tym, że za bardzo kochała ludzi i nie wystarczało jej towarzystwo pingwinów.

Drugi z psów wprowadzonych na wyspę przez Williamsa i Marsha – suka Missy – został tam odrobinę dłużej (wybór padł na nią między innymi dlatego, że kuląła na tylną łapę, co utrudniało jej zejście po stromym zboczu urwiska). Ale i ona po kilku tygodniach wróciła do cywilizacji.

Mimo że psy nie zdołały zadzierzgnąć więzi z pingwinami, i tak zrobiły swoje. W pierwszym sezonie lęgowym pod strażą owczarków maremma żadne piskłę pingwina małego nie padło ofiarą lisów.

Teraz Williams już wiedział, gdzie popełnił błąd. Żeby wykształcić w psach pilnujących prawdziwą motywację do ochrony swoich podopiecznych, trzeba je z nimi zetknąć na wczesnym etapie życia. Dziś na straży pingwinów małych z Middle Island stoją dwa psy, Eudy i Tula (ich imiona pochodzą od nazwy rodzajowej tych ptaków, czyli *Eudyptula*), które przebywały wśród nich już w okresie szczenięcym^[10].

Żeby psy pokochały pingwiny, muszą je znać od małego. Podobnie jest w psich relacjach z ludźmi. Szczeniakom chowanym w gospodarstwie zdarza się wykształcić silną więź z dowolnymi zwierzętami, z jakimi miały wówczas styczność: ze świnią, kozami, krowami, kaczkami, kurami i tak dalej. Gdyby w folwarku nie było żadnych ludzi (chyba George Orwell kiedyś o tym pisał), nie nauczyłyby się nas kochać.

Rolnicy i hodowcy zgłębili tę dziwną cechę psiej natury na długo przed naukowcami. W latach 30. XIX wieku Karol Darwin natknął się w Urugwaju na psy pilnujące owiec bez nadzoru pasterza. Spytał w pobliskim gospodarstwie, jak doszło do „przyjaźni wiążącej te zwierzęta”. Miejscowi objaśnili, że ta metoda wychowu „polega na tym, że oddziela się szczenięta od suki, kiedy są całkiem młode, i przyzwyczajają się je do ich przyszłych towarzyszy. [...] Sporządza się małe gniazdko

z wełny w owczarni; nigdy nie pozwala mu się bawić z innymi psami lub dziećmi. [...] Dzięki takiemu wychowaniu nie zdradza żadnej chęci porzucenia swego stada i tak jak inny pies broni swego pana – człowieka, tak te psy bronią baranów”^[11].

Odkrycia Darwina nie od razu dotarły do świadomości publicznej – i nie w takim zakresie, w jakim dotrzeć powinny. Pod koniec życia Ray Coppinger szczerze ubolewał, że nie domyśliliśmy się wcześniej, na jakiej zasadzie działają psy pilnujące inwentarza. Dzięki temu, że pojechał do Europy i sprowadził między innymi owczarki maremma z Włoch oraz akbasze i owczarki anatolijskie z Turcji, ludzie wreszcie pojęli, że psy tych ras strzegą zwierząt gospodarskich instynktownie – w przeciwieństwie do wszystkich innych psów. Ray przyznał, że skuteczne psy pilnujące muszą mieć do tego jakieś predyspozycje genetyczne – na przykład słabo wykształcony instynkt łowiecki – obstawał jednak przy twierdzeniu, że wczesne doświadczenia życiowe mają decydujący wpływ na rozwój psa, który pokocha swoją trzodę i będzie się nią opiekował.

Ray zdawał sobie sprawę, podobnie jak Darwin, że skłonność do pilnowania inwentarza można wpoić psu, wychowując go wśród zwierząt, których będzie strzegł w przyszłości. Nie wszyscy są zgodni, czy należy w tym celu zupełnie odizolować szczenię od ludzi i przedstawicieli swego gatunku – być może rozsądniej zezwolić psu na ograniczony kontakt z ludźmi, żeby mogli się nim zająć, kiedy się zestarzeje. Niemożność nawiązywania relacji w obrębie własnego gatunku może z kolei przysporzyć zwierzęciu problemów po osiągnięciu przez nie dojrzałości płciowej – nie ulega jednak kwestii, że szczenię musi dorastać wśród trzody, której ma pilnować. Nawet najlepsze predyspozycje genetyczne nie powetują nieodpowiednich doświadczeń na wczesnym etapie życia.

Opisany wyżej proces określa się jako imprinting albo wdrukowanie. Za odkrywcę imprintingu uchodzi Konrad Lorenz, austriacki etolog i miłośnik psów, który zaczął badać ten mechanizm w latach 30. To najważniejsze ogniwo między genami z miłością – które umożliwia psom kształtowanie silnych

więzi z ludźmi, nie gwarantuje jednak, że każdy pies będzie wobec nich przyjaźnie usposobiony i naprawdę ich pokocha.

Lorenz zawdzięcza swą sławę udowodnieniu zjawiska wdrukowania u gęsi. Aranżował w tym celu sytuacje, w których był pierwszą istotą, z jaką miały do czynienia świeżo wyklute gąsiątka: to wystarczyło, żeby utrwalić w nich wzorzec rodzica. Po świecie krąży mnóstwo uroczych zdjęć Lorenza wodzącego gromadkę gęsich piskląt.

W procesie wdrukowania młody organizm zyskuje tożsamość. Żadna istota nie przychodzi na świat ze świadomością, do jakiego należy gatunku i z kim powinna wykształcić więź. Każde zwierzę musi znaleźć odpowiedź na jedną z najistotniejszych kwestii życiowych: kim jestem? – analizując płynące z otoczenia bodźce za pomocą zmysłów wzroku, węchu i słuchu. Młode osobniki utożsamiają się z konkretnym wzorcem na wczesnym etapie życia: ktokolwiek lub cokolwiek im się wówczas nawinie, zostanie uznane za istotę, z którą od tej pory należy szukać bliskości.

U większości organizmów okres, w którym są otwarte na naukę, z kim powinny się zaprzyjaźnić (biolodzy nazywają go okresem krytycznym imprintingu), jest stosunkowo krótki. Dzikie zwierzęta, w tym wilki, od których pochodzą nasze psy, muszą się z tym szybko uwinąć. Nie przeprowadzono jak dotąd formalnego eksperymentu na wilkach, wiele jednak wskazuje, że okres krytyczny, w którym dałoby się przekonać wilcze szczenię do przyjaźni z człowiekiem, kończy się w trzecim tygodniu życia.

Jest to w pełni uzasadnione, bez względu na to, co wynieśliśmy z lektury *Księgi dżungli* i tysiąca innych książek dla dzieci. Nie byłoby dobrze, gdyby zwierzęta pól i lasów zaprzyjaźniały się z przedstawicielami innych gatunków. Potencjalna zdobycz kolegująca się z drapieżnikiem wkrótce zamieni się w obiad; drapieżca rozkochany w swojej zdobyczy prędzej czy później umrze z głodu. Krótkotrwałość okresu, w którym dzikie zwierzę może i chce się dowiedzieć, z kim powinno się zaprzyjaźnić, daje całkiem niezłą gwarancję, że w normalnych okolicznościach zadzierzgnie więź tylko z pobratymcami.

Właśnie za sprawą krótkiego „okresu krytycznego” tak trudno wychować wilka na towarzysza człowieka. Dlatego naprawdę nam się poszczęściło z Monique Udell, że skontaktował się z nami personel Wolf Park – jednego z nielicznych miejsc na świecie, gdzie odchowuje się wilczęta od małego – z propozycją przeprowadzenia testów na swoich łagodnych podopiecznych. Wolf Park rozpoczął działalność w 1974 roku. Założyciel ośrodka Erich Klinghammer studiował na uniwersytecie w Chicago pod kierunkiem Eckharda Hessa, autora przełomowej książki o imprintingu^[12]. Naukowe podejście do zjawiska wdrukowania leży u podstaw sukcesu Wolf Park – a mimo to pierwsze próby wychowania szczeniąt, podjęte przez Klinghammera, jego studentów i wolontariuszy, szły jak po grudzie. Starsi członkowie personelu do dziś mają blizny po tych wczesnych, niezdarnych jeszcze przymiarkach do przyjaźni z wilkami. Stopniowo, krwawą metodą prób i błędów, doszli do konkluzji, że mają zaledwie kilka tygodni, by przekonać do siebie wilczęta. I że muszą przebywać z nimi na okrągło, żeby ta krucha więź przetrwała. Z czasem ich wysiłki przyniosły piękne owoce – zwłaszcza w postaci stworzenia platformy do wciąż kontynuowanych badań.

W 2010 roku jeden z moich studentów, Nathan Hall (obecnie profesor Texas Tech University), i ostatnia studentka Raya Coppingera, Kathryn Lord (obecnie pracownica Broad Institute), odchowali w Wolf Park miot wilczych szczeniąt, żeby przeanalizować w szczegółach ich rozwój behawioralny. Koniecznie chciałem zobaczyć to z bliska. Szczeniaki zostały odebrane matce w dziesiątym dniu życia i przeniesione do specjalnego pomieszczenia na terenie ośrodka. Połowę niewielkiej powierzchni zajmował materac z gąbki. Kathryn i Nathan nie wiedzieli jeszcze, co ich czeka, kiedy zaczęli pełnić na zmianę dwunastogodzinne dyżury przy maluchach: karmiąc je z butelki, sprząając siuski i kupy, próbując złapać choć chwilę snu, zanim obudziły się szczeniaki, gromkim głosem wołając „jeść” – i tak w kółko. Mieli mnóstwo roboty przy sześciu wilczętach. Ilekroć wpadałem do nich z wizytą, oboje ledwo widzieli na oczy. Ich trud się jednak opłacił, a okazana maluchom czułość doczekała się pełnej wzajemności. Młode

wilczki zostały odłączone od matki w krytycznym okresie imprintingu, więc z miejsca pokochały Kathryn i Nathana, uznawszy ludzi za swoich naturalnych towarzyszy^[7*].

Podczas tej siedmioletniej mordęgi badacze nauczyli się czegoś, o czym treserzy lwów wiedzieli od wieków: można owoić dzikie zwierzę, ale wymaga to ciężkiej pracy. Zarówno wilki, jak i lwy poddają się wdrukowaniu ludzkiego wzorca, niemniej okres krytyczny w obydwu przypadkach trwa bardzo krótko, a podtrzymanie więzi wymaga nieustannej obecności człowieka.

Tymczasem osvajanie psów przebiega tak łatwo, że wielu ludzi nawet nie zdaje sobie sprawy z tego procesu. Podobnie jak młode lwy i wilki, szczeniak musi wdrukować sobie wzorec ludzkiego opiekuna na wczesnym etapie życia – inaczej nie uzna nas za swoich towarzyszy. Ale w przeciwieństwie do innych przedstawicieli rządu drapieżnych, psy można obłaskawić bez trudu. Jeśli szczeniak urodzi się i wychowa w obecności ludzi, zwiąże się z nimi dostatecznie silną więzią, by już zawsze odnosić się do nich przyjaźnie. Nawet bezdomne i bezpańskie psy będą traktować ludzi jak kompanów, jeśli przyszyły na świat na tyle blisko, by w pierwszych miesiącach życia widzieć ich, słyszeć i czuć ich zapach. Psy mają niezwykle predyspozycje do budowania mocnych relacji emocjonalnych – do kochania i szukania miłości.

Dowodów na to, że psia miłość do człowieka trzeba pielęgnować od małego, dostarczył jeden z niewielu prowadzonych na szeroką skalę eksperymentów, które dotyczyły wyłącznie zachowań psów. Instytucje finansujące Naukę przez duże N nieszczególnie interesują się psami, więc takie badania organizuje się bardzo rzadko. Ale już w latach 50. rozpoczęto intensywne testy w Jackson Laboratory w Bar Harbor w stanie Maine, które kontynuowane były przez trzynaście lat z udziałem setek zwierząt. Uzyskane wyniki postawiły ten eksperyment w rzędzie najważniejszych inicjatyw badawczych w dziedzinie biologii i psychologii psa domowego.

Jak wykazało jedno z badań prowadzonych przez naukowców z Bar Harbor, wczesne doświadczenia odgrywają kluczową rolę

w kształtowaniu późniejszych relacji, nawet takich zwierząt jak pies, czyli predysponowanych genetycznie do okazywania miłości człowiekowi. Uczni podzielili szczenięta na kilka grup, ściśle dawkując im dostęp do ludzi. Wychowali osiem miotów szczeniąt na dużych wybiegach zewnętrznych, ogrodzonych dwuipółmetrową siatką. Psy dostawały karmę i wodę przez otwory w siatce, co ograniczało do minimum ich kontakt z człowiekiem. Co tydzień jednak zabierano po kilka szczeniaków z miotu do domu, żeby przez półtorej godziny dziennie socjalizować je z ludźmi. Następnie maluchy wracały do matki i rodzeństwa. Kiedy szczenięta miały czternaście miesięcy, przeprowadzano pod dach wszystkie, żeby przetestować ich reakcje na człowieka.

Badanie przyniosło dwa zaskakujące rezultaty. Po pierwsze, większość szczeniąt, mimo że miała kontakt z ludźmi w sumie przez tydzień, i to zaledwie półtorej godziny dziennie, w wieku dorosłym dobrze się czuła w ich towarzystwie. Dotyczyło to zwłaszcza grupy maluchów, które miały okazję zetknąć się z człowiekiem w siódmym tygodniu życia. Odkrycie potwierdza, jak łatwo oswoić to zwierzę; nawet tak ograniczony dostęp do przedstawicieli naszego gatunku – znacznie mniejszy niż w przypadku większości psów dorastających w pobliżu ludzkich siedzib – w zupełności wystarcza do zbudowania emocjonalnej więzi między szczeniakiem a człowiekiem.

Mimo doniosłości pierwszego odkrycia drugie okazało się jeszcze ważniejsze: otóż można wychować psa, który będzie czuł się źle między ludźmi. Jak donieśli uczeni, grupa szczeniąt, która zetknęła się z człowiekiem dopiero w czternastym tygodniu życia, zachowywała się „jak dzikie zwierzęta”^[13]. Późniejszy intensywny kontakt i trwające ponad miesiąc szkolenie nie przyniosły znaczącej poprawy. Psy nie dawały się obłaskawić.

Zastanówmy się chwilę nad tym wynikiem. Potulność – nie wspominając już o miłości do ludzi – nie jest cechą wrodzoną psa, bez względu na jego predyspozycje genetyczne. Pies nabywa ją w okresie szczenięcym przez kontakt z człowiekiem. Wystarczy, że będzie go widział, słyszał i czuł na wczesnym etapie życia, żeby na dobre zaakceptował jego towarzystwo. Jeśli kontakt nastąpi w krytycznym okresie imprintingu, może

ograniczyć się do półtoragodzinnych spotkań przez tydzień. Jeśli do niego nie dojdzie, odziedziczona po przodkach zdolność do kochania ludzi przepadnie na zawsze. Choć nie przeprowadzono żadnych formalnych badań pod tym kątem, mamy wszelkie podstawy przypuszczać, że to samo dotyczy psiej miłości do kóz, owiec, a nawet pingwinów. Szczenięta muszą odpowiednio wcześniej zetknąć się z innym gatunkiem, żeby zbudować z nim trwałą więź.

Bardzo chciałbym sam się przekonać, jak wczesne doświadczenia życiowe kształtują psią miłość, nie byłbym jednak w stanie przeprowadzić takiego eksperymentu. Uczni nie przyznają tego wprost, wiele jednak wskazuje, że psy wychowane bez kontaktu z człowiekiem – a tym samym niezdolne do zbudowania z nim więzi – po zakończeniu badań były poddawane eutanazji. Nie mieści mi się to w głowie.

„Eksperyment” na Middle Island zakończył się szczęśliwie i choć do tej pory nie miałem okazji się tam wybrać, wciąż żyję nadzieją ujrzenia na własne oczy, jak owczarki maremma pilnują pingwinów. Na szczęście nie trzeba odbywać aż tak dalekich podróży, żeby zobaczyć psy, które zbudowały silną więź z przedstawicielami innego gatunku niż człowiek.

David i Kathryn Heininger hodują kozy mleczne w północno-wschodniej Arizonie, tuż przy granicy z Meksykiem. Natknąłem się na nich pewnego popołudnia, próbując namierzyć w Google psy strzegące inwentarza w odległości dnia jazdy samochodem od mojego domu na pustyni. Skontaktowałem się z nimi pocztą elektroniczną; odpowiedzieli natychmiast, zapraszając do siebie, żebym mógł poznać ich wspaniałe psy. Wybraliśmy się do nich we troje, z moją współpracownicą Lisą Gunter i moją żoną Ros. Po drodze do gospodarstwa Heiningerów minęliśmy największe w Arizonie uprawy marihuany i podejrzane skupiska przyczep kempingowych, rozsiane wśród buroczerwonych wzgórz. David i Kathryn uważają się za pustelników – skoro tak, w życiu nie miałem do czynienia z bardziej towarzyskimi i przyjaźniej nastawionymi do ludzi eremitami. I wkrótce się przekonałem, że ich życzliwe usposobienie rozciąga się także na psy.

Stado czterdziestu kóz Heiningerów jest pod stałym nadzorem trzech owczarków anatolijskich – przedstawicieli

jednej z ras sprowadzonych z Europy przez Raya Coppingera – oraz owczarka staroangielskiego. Anatoliany – Ranger, Mattie i Kailin – bronią dostępu do fermy kojotom, podczas gdy bobtail imieniem Kingman ma za zadanie odstraszać nieświszczuki, które próbują wślizgnąć się do środka pod nieobecność kojotów. (Nieświszczuki, zwane potocznie pieskami preriowymi, nie mają nic wspólnego z psami i nie występują na preriach; są blisko spokrewnione ze świstakami i nie stanowią zagrożenia dla kóz. W większej liczbie uchodzą jednak za szkodniki, wyjadają bowiem i tak skąpą w tym regionie roślinność. Kingman uwielbiał je przeganiać ze swojego rewiru).

Wbrew powszechnej opinii psy stróżujące rzadko wdają się w walki z drapieżnikami. Przeważnie żaden kojot, wilk, zdziczały pies ani inny intruz nie odważą się zbliżyć do trzody pod opieką wyszkolonego stróża inwentarza. Wynika stąd, że psy pełnią funkcję nieszkodliwego odstraszacza – to bardzo istotne w świecie, gdzie tyle dużych drapieżników jest zagrożonych wyginięciem.

Ku mojemu zdziwieniu psy Heiningerów nie przejawiały rezerwy wobec ludzi. Cała czwórka powitała nas przyjaźnie i zażądała pieszczot. David i Kathryn wyjaśnili, że miejscowi ranczerzy różnią się w opiniach na temat roli przywiązania psów do właścicieli. Heiningerowie mieszkają w niewielkim gospodarstwie, gdzie psy przebywają wciąż z ludźmi, a ich państwo nie mają nic przeciwko przyjaznym kontaktom ze zwierzakami. Po przywitaniu z gośćmi owczarki wróciły jednak do swoich kóz. Wychowały się wśród nich i wdrukowały sobie wzorzec koziego towarzysza.



Tarragon, koza Davida i Kathryn Heiningerów, odpoczywa wraz z kozłkiem na zadzie Pierre'a, owczarka anatolijskiego do pilnowania trzody

Psy nie obnosiły się szczególnie ze swoją troską o kozy. Przebywały w ich pobliżu – zwykle nie dalej niż trzy metry od stada – nie próbowały się jednak o nie ocierać ani wchodzić z nimi w inny rodzaj kontaktu fizycznego. Kathryn opisała relację między kozami i anatolianami jako „stare dobre małżeństwo”, co wydało mi się bardzo trafnym określeniem. Widać w tym było oznaki wzajemnego zainteresowania, ale niewiele czułości. Kathryn wyjaśniła, że specjalnie do tego dążyli. Kiedy kozy się kocą, psy muszą ich pilnować – gdyby się za bardzo przejęły i próbowały bawić z podopiecznymi, mogłyby niechcący wyrządzić im krzywdę. Młode psy są więc zniechęcane do nawiązywania kontaktów fizycznych z kozami.

Choć owczarki anatolijskie nie okazywały specjalnej czułości swoim towarzyszkom, widać było jednak, że się o nie troszczą. Przez większość czasu przysypiały w rdzawym kurzu, ale na widok intruza natychmiast dawały o sobie znać, głośno dysząc i sapiąc. Przegoniły nawet wrony z pobliskiego drzewa. Kiedy na chwilę od nich odszedłem, żeby wrócić do ludzi przy kozach, Ranger – który sprawiał wrażenie, jakby spał snem sprawiedliwego – zerwał się na równe nogi i pokazał mi, kto tu rządzi. Dave musiał interweniować i wytłumaczyć psu, żeby wpuścił mnie do zagrody.

Kathryn wspomniała przy okazji, że oboje z Dave'em umieją rozpoznać po brzmieniu szczekania, jaki natręt pojawił się w obejściu – wąż, kojot, obcy człowiek czy jeszcze coś innego. Wnioskuje na tej podstawie, czy psy potrzebują pomocy, a jeśli tak, co trzeba ze sobą wziąć, żeby poradzić sobie z intruzem. Słowa Kathryn przypominały do złudzenia uwagi myśliwych Mayangna z Nikaragui, którzy twierdzili, że po dźwięku szczekania potrafią się domyślić, jaką zwierzynę zwietrzyły ich psy. Byłem pod wrażeniem potęgi i użyteczności tej więzi między psem a człowiekiem – choć znów nie miałem okazji jej zweryfikować.

Przykład psów pilnujących inwentarza dowodzi, że wczesne doświadczenia życiowe przygotowują zwierzę do okazywania miłości człowiekowi – albo kozie, owcy czy innej istocie, z którą się wychowało. Internet pęka w szwach od rozkosznych historyjek o psach, które przyjaźnią się z kaczkami, świnkami morskimi, królikami, prosiętami, żółwiami, krowami i mnóstwem innych stworzeń. Wychowane z kotami, rozkochują się w swoich przysłówiowych wrogach.

Zaprogramowana w psich genach zdolność kochania wydaje się wręcz wszechogarniająca. O ile wilki i inne dzikie zwierzęta są nieufne wobec obcych – co dotyczy także gatunku, którego wzorzec wdrukowano im na wczesnym etapie rozwoju, a nawet prawdziwych pobratymców – o tyle psy są gotowe zawierać nowe przyjaźnie przez całe życie. Można to sprawdzić za pomocą testów szacujących siłę więzi emocjonalnej między dwoma osobnikami.

Jak wspomniałem w rozdziale drugim, psycholodzy zajmujący się rozwojem człowieka znaleźli kilka metod oceny więzi łączącej dziecko z opiekunem; najpopularniejszą z nich, opracowaną przez Mary Ainsworth procedurę obcej sytuacji, wykorzystuje się w badaniach nad więzią emocjonalną między psem a człowiekiem. Test Ainsworth rzuca przede wszystkim światło na sposób kształtowania tej więzi przez psa.

Przypomnę: eksperyment polega na umieszczeniu matki (albo innego opiekuna) wraz z dzieckiem w nieznanym pomieszczeniu. W kolejnych fazach testu, trwającego ponad dwadzieścia minut, dziecko zostaje na pewien czas samo z obcą osobą, po czym znów łączy się z matką. Procedura odzwierciedla naturalną styczność ze znajomymi i nieznanymi w życiu dziecka, wystawiając je przy okazji na niewielki stres. Maluchy połączone z opiekunem bezpieczną więzią odważnie poznają świat w jego obecności, co dotyczy również kontaktów z osobą obcą. Takie dzieci reagują płaczem i wycofaniem na odejście matki, jej powrót witają jednak z wyraźną radością i z zapałem podejmują przerwana eksplorację otoczenia. Dzieci, których relację z opiekunem określa się mianem więzi lękowej, mogą reagować obojętnie na jego powrót, nie przejawiać zainteresowania otoczeniem bez względu na okoliczności, okazywać negatywne emocje jeszcze przed wyjściem matki z pokoju albo – po prostu – zdradzać symptomy stresu przez całe badanie.

Testowane w ten sposób psy przejawiają niezwykle silną więź z ludźmi, zwłaszcza swoimi opiekunami. W obecności właścicieli są ufne i pewne siebie, zostawione w pomieszczeniu same zdradzają wyraźny niepokój – zgodnie z wzorcem, który w odniesieniu do naszego gatunku określa się mianem więzi bezpiecznej. Wynika stąd, że psy przywiązują się bardzo mocno do ludzi, którzy są dla nich ważni. To bardzo istotne odkrycie – ale jeszcze ciekawsze są rezultaty testów przeprowadzonych na psach bezpańskich.

Podczas jednego z badań w ramach słynnego Family Dog Project w Budapeszcie Márta Gácsi i jej koledzy wypróbowali procedurę obcej sytuacji w anonimowym schronisku dla psów. Żaden z podopiecznych nie miał „opiekuna adopcyjnego”, „psiej

mamy”, „pana”, „pańci” czy jak tam jeszcze można nazwać właściciela psa. W schronisku nie było nikogo, z kim zwierzęta mogłyby wykształcić znaczącą więź; prawdę mówiąc, nie miały się nawet z kim socjalizować. Psy żyły w ogromnych grupach – nawet po sto osobników – w zagrodach o powierzchni ponad jednej czwartej hektara. Były karmione, pracownik azylu raz dziennie sprzątał im wybiegi, ale poza tym zwierzęta nie miały żadnego kontaktu z ludźmi.

Trzydziestu psom schroniskowym zapewniono po dziesięć minut indywidualnej zabawy i opieki dziennie. Jedna z dwóch uczestniczących w eksperymencie kobiet „rozmawiała” z każdym zwierzęciem z osobna, głaskała go, dawała mu łatwe ćwiczenia i trochę się z nim bawiła. Zaledwie dziesięć minut, przez trzy kolejne dni. Następnie badaczki wypróbowały uproszczoną wersję procedury obcej sytuacji na „swojej” grupie i na trzydziestu psach, które nie miały kontaktu z ludźmi. Kobieta, która przez w sumie pół godziny zaznajamiała się z psami, wzięła na siebie rolę matki, druga badaczka odgrywała osobę obcą. W teście z psami, które nie znały żadnej z nich, zamieniały się rolami w sposób przypadkowy^[14].

Ku mojemu zaskoczeniu odpowiednio wyszkoleni obserwatorzy – nie wiedząc, które psy miały ograniczony kontakt z badaczkami, a które ani razu się z nimi nie zetknęły – po obejrzeniu wideo z eksperymentu i przeanalizowaniu go pod takim samym kątem, jakby uczestniczyły w nim dzieci, natychmiast zwrócili uwagę, że zwierzęta wystawione na krótki kontakt z człowiekiem zdradzały wyraźne oznaki przywiązania. Spędzały mniej czasu na próbach wydostania się z pomieszczenia, a po powrocie znajomej osoby wchodziły z nią w interakcję. Podsumowując: zwierzęta, które przez pół godziny doświadczyły ludzkiej obecności, widziały w znajomej kobiecie „bezpieczną przystań”, co uchodzi za jedną z oznak bezpiecznej więzi.

Byłem szczerze zdumiony, że bezpańskie psy potrafią tak szybko przywierać się do człowieka. Małe dziecko z pewnością nie zdołałoby wykształcić więzi emocjonalnej w tak krótkim czasie. (Na szczęście nie da się prowadzić eksperymentów na dzieciach chowanych w podobnych warunkach jak psy

schroniskowe. Zdarzają się jednak sytuacje tragiczne – choćby zaniedbania, jakich dopuszczano się w rumuńskich sierocińcach pod koniec ery Ceaușescu – z których uczeni mogą wyciągać wnioski na temat żałosnych konsekwencji pozostawienia dziecka bez wsparcia opiekuna. U młodych ludzi skutki takich zaniechań są znacznie trudniejsze do zniwelowania niż u psów).

Wraz z moją byłą studentką Ericą Feuerbacher (która prowadziła badania nad psim wyborem między pieszczotą a smakołykiem) zyskaliśmy przypadkiem kolejne dowody na potwierdzenie tezy, że psy błyskawicznie wchodzą w relacje z ludźmi. Sprawdzaliśmy, czy zachowanie psów względem właścicieli różni się od ich zachowania wobec osób obcych. W ramach badania obserwowaliśmy reakcje trzynastu bezdomnych psów, którym dano wybór między dwiema osobami. Psy schroniskowe uczestniczyły w naszym teście tylko jako grupa kontrolna – wyniki były jednak zaskakujące.

Nasze bezdomniaki mieszkaly w osobnych kojcach albo w parze z innym psem i miały codziennie do czynienia z wolontariuszami i personelem azylu; od czasu do czasu wchodziły też w kontakt z ludźmi z zewnątrz. Poza tym nie były przywiązane do żadnej konkretnej osoby.

Erica wprowadzała je pojedynczo do nieznanego pomieszczenia w schronisku i dawała im wybór między dwiema młodymi kobietami, siedzącymi na krzesłach w odległości niespełna metra od siebie. Jeśli pies podszedł dostatecznie blisko, mógł liczyć na pieszczotę od każdej z nich. Żadnej nie znał.

Mimo to w trakcie dziesięciominutowej sesji większość psów okazywała znacznie większą sympatię jednej z kobiet. Intensywność tych preferencji była podobna jak w przypadku zróżnicowanych reakcji domowego psa na właściciela i osobę obcą. Psy związane z człowiekiem spędzały prawie osiem minut w towarzystwie swojego pana. Bezdomniaki przebywały z wybraną nieznaną przez ponad siedem i pół minuty.

Zdumiewające, że psy potrafią w tak krótkim czasie dokonać wyboru między dwiema osobami – choć nie należy wyciągać stąd wniosku, że psy schroniskowe zdołały w dziesięć minut nawiązać z nieznaną równie silną relację jak ta budowana

latami z prawdziwym właścicielem. Kiedy zaczęliśmy porównywać zachowania psów domowych z zachowaniami bezdomniaków, wyszły na jaw istotne różnice. Mniej więcej połowa psów związanych ze swoim panem nie odstępowała go na krok przez całą sesję. Żaden z psów schroniskowych nie spędził tyle czasu z wybraną przez siebie kobietą. Poza tym część domowych psów przez dłuższą chwilę towarzyszyła osobie nieznamym. Chęć poznawania otoczenia w asyście opiekuna jest jedną z oznak bezpiecznej więzi. Żaden z pensjonariuszy azylu nie zdradzał zainteresowania osobą, która wzbudziła w nim mniejszą sympatię^[15].

Nie można więc porównywać reakcji psa na właściciela z zachowaniem bezdomnego kundla wobec kobiety, którą wybrał spośród dwóch przypadkowych nieznamych. Ale samo to, że psy potrafią tak szybko przekonać się do niektórych ludzi, jest naprawdę intrygujące i potwierdza tezę, że nasi pupile kształtują więzi zupełnie inaczej niż człowiek. Przypuszczam, że ma to związek z odkrytymi u psów genami, które odpowiadają także za nadmierną towarzyskość osób z zespołem Williamsa. Badania dowiodły, że psy są mobilne społecznie, ekstrawertyczne, hipertowarzyskie – a tym samym wyjątkowo skłonne do budowania czułych więzi. Pod względem emocjonalnym są znacznie bardziej otwarte niż ludzie i dzikie zwierzęta. W dużej mierze na tym polega ich urok.

Skoro jednak psy zadzierzgują więzi szybciej niż człowiek, niewykluczone, że i łatwiej się z nich wywikłują.

Nie zamierzam tu kwestionować słynnej psiej wierności; psy narażają się na szwank, a czasem nawet tracą życie, stając w obronie ukochanych właścicieli. Znamy tysiące takich historii – niektóre są przesadzone albo wręcz zmyślane, inne z pewnością prawdziwe. Nawet sceptyk się ugnie pod taką ilością materiału dowodowego. Taki na przykład Pete, adoptowany na starość pies myśliwski, zginął, broniąc swojej rodziny przed niedźwiedziem czarnym, który pewnego zimowego poranka 2018 roku zaatakował ich na leśnym szlaku pod Greenwood Lake w stanie Nowy Jork^[16]. W 2016 roku pitbulterierka imieniem Precious, opiekunka cierpiącego na padaczkę Roberta Lineburgera, uratowała życie swojemu panu,

osłaniając go własnym ciałem przed rozjuszonym aligatorem^[17]. Tank, mieszaniec pitbulla, zginął w tym samym roku w Edmonton w stanie Alberta, broniąc Jace'a Docosse'a przed bandą włamywaczy, którzy rzucili się na śpiącego gospodarza z łomem^[18]. Wciąż dochodzi do podobnych incydentów i nie będę podawał ich w wątpliwość tylko dlatego, że nie mam eksperymentalnych dowodów na ofiarność psów w obronie człowieka.

Jestem jednak sceptyczny wobec opowieści w rodzaju *Lassie, wróć!* Bohaterka wydanej w 1940 roku książki Erica Knighta przewędrowała setki kilometrów, żeby wrócić do swojej rodziny^[19]. Gdyby psy naprawdę wołały umrzeć niż trafić gdzie indziej, historie milionów zwierząt adoptowanych przez nowych właścicieli musiałyby kończyć się tragicznie.

Mój własny kundel – słodka, głupiutka Xephos – spędziła pierwszy rok życia u innych ludzi. W pierwszych tygodniach pobytu u nas była wyraźnie przygnębiona i zdezorientowana. Po miesiącu czuła się już tak dobrze w naszym towarzystwie, jakbyśmy wychowali ją od szczeniaka. Mieszka z nami sześć lat. Całkiem niedawno, z czystej ciekawości, nazwałem ją po imieniu, które nadali jej poprzedni właściciele. Nie wiedząc, czego się spodziewać, zawołałem: „Thyra!”. W ogóle nie zareagowała. Nie wiem, czy to oznacza, że zapomniała o swojej pierwszej rodzinie. Zastanawiam się, jak by się zachowała na ich widok. To, że nie rozpoznaje dawnego imienia, wcale nie wyklucza, że rozpoznałaby dawnych właścicieli. Karol Darwin rozważał tę kwestię podczas pięcioletniej podróży morskiej dookoła świata. Przeżył wstrząs po powrocie do domu, kiedy pies Pincher rozpoznał go po tak długiej nieobecności. Zdaniem Emmy Townshend, autorki wspaniałej książeczki *Darwin's Dogs*, to siostra, Caroline, zapytała Karola w liście: „Ciekawa jestem, czy Pincher ucieszy się na Twój widok?”. Reakcja psa wywarła tak wielkie wrażenie na Darwinie, że opisał ją w swoim dziele *O pochodzeniu człowieka*: „Miałem psa, który nie znosił obcych i zachowywał się wobec nich jak dzikus. Rozmyślnie wystawiłem jego pamięć na próbę po pięciu latach i dwóch dniach nieobecności. Poszedłem do stajni, gdzie mieszkał, i zawołałem go po staremu; nie okazał radości, ale natychmiast dostawił mi

się do nogi, zupełnie jakbym się z nim rozstał pół godziny wcześniej. Ciąg dawnych skojarzeń, uśpiony na całe pięć lat, natychmiast obudził się w jego umyśle”^[20].

Nurtuje mnie, co Darwin miał na myśli, pisząc, że Pincher „nie okazał radości” – bo to sugerowałoby, że pies o nim zapomniał; po chwili jednak przyrodnik dodał, że Pincher „dostawił mi się do nogi, zupełnie jakbym się z nim rozstał pół godziny wcześniej” – co dowodzi, że jednak go rozpoznał. Myślę, że psy pamiętają o ludziach przez wiele lat, ale łącząca je z nimi więź emocjonalna z czasem się rozluźnia. Moim zdaniem świadczy o tym łatwość, z jaką wchodzą w nowe relacje – ale to wciąż jedynie spekulacje, niepoparte żadnymi badaniami.

Tak czy inaczej, wolę się skupić na radosnych początkach czułych więzi z człowiekiem niż na ich ewentualnym rozpadzie.

Wciąż mam w pamięci, jak poszliśmy z matką do ośrodka Królewskiego Towarzystwa Przeciwdziałania Okrucieństwu wobec Zwierząt na wyspie Wight, żeby poszukać dla nas jakiegoś psa. Obiecaliśmy mojemu młodszemu bratu, że zanim sprowadzimy zwierzaka do domu, najpierw go zobaczy i zaakceptuje. Kiedy jednak dotarliśmy do kojca, gdzie mieszkał Benji, psiak tak dobitnie dał nam do zrozumienia, że jest nasz, że nie mogliśmy po prostu odjechać i go zostawić. Matka zapłaciła pięć funtów i było po wszystkim. Jeremy najpierw się na nas złościł, ale Benji miał i na niego sposób – brat wkrótce się dał przekonać, że trafiliśmy na właściwe zwierzę.

Nasze rodzinne doświadczenie sprzed czterdziestu lat wcale nie było wyjątkowe. Wielu ludzi uważa, że nie musiało wybierać psa, bo zrobił to za nich. Trudno ująć to w słowa, ale coś w psim wyglądzie – wyraz oczu, postawa ciała – było w stanie ich przekonać, że zwierzak jest im przeznaczony, że zabierając go do domu, spełniają po prostu swój obowiązek. Kluczowym elementem sukcesu psa w ludzkiej wspólnocie jest umiejętność namówienia człowieka, żeby się nim zajął.

Tempo, w jakim pies nawiązuje uczuciowe relacje z ludźmi, jest naprawdę zdumiewające, wynika jednak z jego otwartości na budowanie więzi z przedstawicielami innych gatunków. Samo

to, że ta cudowna otwartość jest uwarunkowana genetycznie, nie oznacza jeszcze, że musi się ujawnić.

Choć za czułe usposobienie psa odpowiadają konkretne geny, o jego osobowości decyduje wiele innych czynników. Poszczególne psy mogą wyrosnąć na kochających współmieszkańców naszych domów, na agresywne i niebezpieczne bestie, z którymi wolelibyśmy nie mieć do czynienia, albo na dzikie zwierzęta odczuwające strach przed ludźmi i unikające ich towarzystwa. Czynnikiem rozstrzygającym są doświadczenia życiowe. Nawet psie klony, wyposażone w ten sam materiał genetyczny co ich dawcy, zrodzone z tej samej matki, wychowane w identycznych warunkach, różnią się czasem skrajnie pod względem osobowościowym. (Marzę o przeprowadzeniu testów osobowości na setkach sklonowanych psów!)

Psy do pilnowania inwentarza stanowią powszechny przykład zwierząt okazujących uczucia przedstawicielom innych gatunków. Świadczenia takiej miłości pochodzą z różnych stron świata i liczą wiele tysięcy lat. Eksperyment przeprowadzony siedemdziesiąt lat temu w Bar Harbor dowodzi, że odpowiednie doświadczenia na wczesnym etapie życia odgrywają kluczową rolę w wychowaniu psa, który będzie kochał ludzi. Na czele przedsięwzięcia stanęli wówczas dwaj genetycy, John Paul Scott i John L. Fuller, ale z upływem lat, kiedy poproszono Scotta o podsumowanie wiedzy wyniesionej z ówczesnych badań, uczony stwierdził zwięźle, że „genetyka nie wtłacza behawioru w kaftan bezpieczeństwa”^[21].

Od czasów Scotta i Fullera genetyka poczyniła niezwykle postępy – w przeciwieństwie do technik badań behawioralnych, które w gruncie rzeczy sprowadzają się do systematycznej obserwacji. Być może dlatego – kiedy przemawiam do miłośników psów – słuchacze chętnie przyjmują argument, że psia miłość jest uwarunkowana genetycznie, nie kryją jednak zaskoczenia w zetknięciu z popartymi wieloletnią praktyką dowodami, że charakter psa determinują także czynniki zewnętrzne. Odpowiadam wówczas, że dawna mądrość często bywa prawdziwa. Co więcej, mądrość naszych przodków jest

wykorzystywana w badaniach nad kształtowaniem psiego charakteru przez otoczenie.

Owszem, czynniki genetyczne i środowiskowe mają taki sam udział we wszystkich mechanizmach biologicznych, włącznie z kształtowaniem psiej osobowości. Nie możemy ich jednak w równym stopniu kontrolować. Geny trzeba przyjąć z dobrodziejstwem inwentarza. Współczesna technologia umożliwia manipulację DNA – w niewielkim zakresie i przy ogromnym nakładzie środków. Mimo to inżynieria genetyczna jest wciąż narzędziem przyszłości. Mamy natomiast wpływ na otoczenie, w którym żyją nasze psy.

To my tworzymy świat, w którym rodzą się nasi podopieczni; możemy też go dowolnie formować. Dzięki temu jesteśmy w stanie zapewnić psom lepsze warunki współżycia z ludźmi. Z tą wielką mocą wiąże się równie wielka odpowiedzialność.

7 Psy zasługują na więcej

Cudowną więź, która łączy nas z psami, zawdzięczamy wyłącznie temu, że w ciągu ostatnich 14 tysięcy lat zaszła maleńka zmiana w ich genotypie. Nieznaczna mutacja przeobraziła czujne bestie, zdolne zbudować kilka pojedynczych relacji tylko w obrębie własnego gatunku, w rozkoszne stworzenia, które błyskawicznie i z zapalem wchodzą w kontakt z prawie każdą żywą istotą.

Ale psie geny warunkują jedynie możliwość kochania. Reszta zależy od warunków, w jakich zwierzę dorasta. W pewnym sensie my sami odpowiadamy za przeobrażenie konkretnego psa w „najlepszego przyjaciela człowieka”.

Przeszło pół wieku temu uczeni zdali sobie sprawę, że ów proces dokonuje się na wczesnym etapie życia, z chwilą wdrukowania wzorca gatunku, w którym zwierzę będzie odtąd szukało emocjonalnej bliskości. Psy nas kochają, bo im towarzyszymy w tym szczególnym momencie.

I dlatego powinniśmy z nimi zostać do końca ich życia.

Psy złożyły nam swoistą przysięgę. Wyzbyły się odziedziczonych po przodkach potężnych szczęk i wspaniałe skoordynowanych umiejętności łowieckich. Zrezygnowały z dobrodziejstwa zżytej wilczej rodziny, żeby związać się z przedstawicielami innego gatunku. Porzuciły tryb życia wędrownych myśliwych. Zamieniły to wszystko na okazję do partnerstwa z człowiekiem. Zawarliśmy umowę – wprawdzie nieformalną, niemniej uczciwą i wiążącą dla obu stron.

W zamian za głęboką i lojalną miłość psy spodziewają się od nas opieki. Ufają, że te cherlawe, bezwłose, ale bardzo sprytnie małpy zatroszczą się o ich dobro.

Nigdy nie słyszałem, żeby pies nie wywiązał się ze swojej części umowy. Psia wierność przeszła już do legendy. Przykro mi to stwierdzić, ale człowiek potrafi zawieść psa.

Oczywiście, wiele psów ma świetną opiekę. Ale zbyt wiele innych – w samych Stanach Zjednoczonych ich liczba sięga milionów – nie ma takiego szczęścia. Nie zapewniamy im życia,

na jakie zasługują, jakiego od nas oczekują i o jakie błagają, często w milczeniu. Nasze podejście do tych zwierząt jest pod wieloma względami przestarzałe i nie uwzględnia najnowszych odkryć naukowych; niektóre z powszechnie stosowanych metod wychowawczych są po prostu barbarzyńskie.

Na szczęście nauka daje nam jasne wskazówki, jak kształtować to partnerstwo w zgodzie z jego naturą. Począwszy od uświadomienia sobie, że ludzka obecność odgrywa kluczową rolę w psim życiu, przez stosowanie konkretnych metod treningowych, aż po docenienie korzyści wynikających z pewnych form kontaktu fizycznego – z wyników najnowszych badań można wynieść świetną lekcję modyfikowania naszych zachowań pod kątem wymogów psiej miłości. Uczeń nie tylko doszli do sedna związku między psem a człowiekiem; pokazali nam również, że przy odrobinie uwagi jesteśmy w stanie zapewnić psom całkowity komfort psychiczny.

I musimy to zrobić. Jeśli podróż w głąb duszy i serca tego niezwykłego zwierzęcia nauczyła mnie czegokolwiek, to tego, że jesteśmy zobowiązani nie tylko zrozumieć potrzeby emocjonalne psa, lecz także wyciągnąć wnioski z tej wiedzy. Mówiąc wprost: powinniśmy lepiej zadbać o nasze psy. Mnogość historycznych i naukowych świadectw ich czułej natury dowodzi, że na to zasługują.

Nasze błędy w opiece nad psami biorą się zwykle z niezrozumienia ich potrzeb.

Jeśli podzielasz pokutującą niestety opinię, że psy wciąż są wilkami, będziesz traktował swojego pupila z ostrożną rezerwą. Nie zdołasz się wyzbyć obawy, że twój potulny ogar przemieni się kiedyś w potwora, i bez trudu dasz się przekonać rzekomym ekspertom, którzy każą ci utwierdzić swój autorytet i za wszelką cenę zmusić tę nieprzewidywalną bestię, by uznała twoje przywództwo.

Jeśli jednak przyjmiesz rozwinięty przeze mnie argument, że psy różnią się od swoich dzikich kuzynów umiejętnością kształtowania silnych więzi emocjonalnych z przedstawicielami innych gatunków – nas nie wyłączając – wtedy poszukasz

sposobu na czułą i zgodną koegzystencję ze swoim psim towarzyszem.

Rzecz jasna, sama zdolność do nawiązania miłosnej relacji nie gwarantuje, że wszystko pójdzie jak po maśle. Jeśli partnerzy życiowi nie należą do tego samego gatunku, nawet najlepsze intencje nie uchronią ich przed nieporozumieniami i – nazwijmy to – twórczymi różnicami.

Nie da się uniknąć kłopotów w kontaktach międzygatunkowych. Niemniej sposób, w jaki się do nich odniesiesz, zależy wyłącznie od ciebie.

Opinia, że psy są w gruncie rzeczy niepoprawnymi wilkami, zachęca ludzi do praktykowania okrutnych metod wychowawczych. Taki pogląd usprawiedliwia stosowanie siły fizycznej, żeby zniwelować przewagę psa w stosunkach z człowiekiem, jednocześnie lekceważy motywującą rolę miłości. Trudno o tragiczniejsze przekłamanie psiej natury, tym bardziej że wiąże się z poważnymi konsekwencjami. Idąc tym tokiem rozumowania, wyrządzasz psu krzywdę – zarówno psychiczną, jak i fizyczną.

Niestety, wspomniane podejście obowiązuje od lat, choć niesie z sobą nieprzewidywalne i wyjątkowo uciążliwe skutki. Pierwsze wydanie jednej z najpopularniejszych książek na ten temat, *Jak być najlepszym przyjacielem psa*, autorstwa mnichów z New Skete, ukazało się w 1978 roku. Można w niej przeczytać, że psy, bezpośredni potomkowie wilków, potrafią żyć wyłącznie w stadzie – rozumianym jako hierarchiczna wspólnota, w której wciąż toczy się podskórna walka o pozycję lidera, od czasu do czasu przeradzając się w otwarty konflikt. Zdaniem mnichów większość problemów z psami wynika z nieznaności reguł ich życia społecznego. Można temu zaradzić, narzucając psim domownikom swoją „dominację”.

Chyba najwięcej szkody wyrządziła ich sugestia, żeby stosować w tym celu środek dyscyplinujący zwany *alpha roll*. Właściciel wymusza posłuszeństwo na podobnej zasadzie jak wilczy samiec alfa podporządkowanie członka stada. Mnisi każą raptownie przewrócić psa na grzbiet i przytrzymać go mocno za gardło, jednocześnie głośno go strofując.

Zanim poddamy mnichów równie surowej dyscyplinie, muszę przyznać, że w gruncie rzeczy podziwiam ich podejście do relacji między psem a człowiekiem. Mnisi z New Skete wychodzą poza rutynowe metody szkolenia, kładąc nacisk na komfort i poczucie bezpieczeństwa zwierzęcia. Zwracają uwagę na społeczną naturę psa i zachęcają właścicieli, żeby w miarę możliwości wprowadzali go w swoje życie – do czego sam gorąco wszystkich namawiam (bliski sprawienia swojej pupilce fałszywej uprzęży z napisem „pies pomocnik”). Ich dążenie, żeby ludzie okazywali psom więcej empatii, jest ze wszech miar chwalebne i życzyłbym sobie, by właściciele zastosowali się do ich rad w tej kwestii.

Trzeba też podkreślić, że w momencie ukazania się książki poglądy mnichów były całkiem zgodne ze stanem ówczesnej wiedzy. Badania nad życiem społecznym wilków dopiero raczkowały, o studiach nad różnicami w psychice psów i ich dzikich pobratymców nikt jeszcze nie myślał. Pierwsze wnioski na temat wzajemnych relacji wilków w stadzie opierały się prawie wyłącznie na obserwacjach grup niespokrewnionych zwierząt trzymanyh razem w niewoli. Naukowcy zwracali wtedy uwagę na bardzo wysoki poziom agresji w walce o pozycję w stadzie.

Wyniki ich badań odzwierciedlały jednak behavior wilków w niewoli; dane na temat ogólnych relacji w wilczym stadzie wciąż były żałośnie niekompletne. Dzisiaj już wiemy – między innymi dzięki odkryciom Davida Mecha z Amerykańskiego Instytutu Geologicznego i Uniwersytetu Minnesoty – że wataha dzikich wilków jest w zasadzie rodziną nuklearną. Tak zwana para alfa to zwykle rodzice wszystkich pozostałych członków stada. Wewnątrz watahy istotnie panują relacje hierarchiczne, przypominające jednak pod wieloma względami stosunki w ludzkiej rodzinie. Para alfa okazuje pobratymcom więcej troski niż przemocy; poziom agresji w stadach dzikich wilków jest bardzo niski. Osobniki nagminnie dręczone przez innych członków watahy przeważnie pakuja manatki i uciekają z domu. Ponieważ wilkizymane w niewoli nie mają takiej możliwości, przejawiają więcej agresji we wzajemnych relacjach. Człowiek zamknięty w jednej celi ze znienawidzonym członkiem rodziny

(a tym bardziej osobą obcą, z którą nie chce mieć do czynienia) zapewne reagowałby podobnie.

Co więcej, wiemy już, że wilki i psy – mimo niewątpliwego pokrewieństwa – funkcjonują w całkiem innych strukturach społecznych. Jak wyjaśnię za chwilę, uznają odmienną hierarchię dominacyjną, a co za tym idzie, odnoszą się inaczej do poszczególnych członków swojej grupy. Różnice w stosunkach wewnątrz własnego stada (a w przypadku psów także w relacjach z innymi gatunkami) uniemożliwiają ekstrapolację zachowań społecznych wilków na ludzkie zasady postępowania z psami.

W latach 70., kiedy mnisi pisali swoją książkę, nie dysponowali jeszcze tą wiedzą.

Dlatego chwała im za to, że w poprawionym wydaniu *Jak być najlepszym przyjacielem psa* z 2002 roku wycofali się z koncepcji *alpha roll*. „Nie zalecamy już stosowania tej techniki – podkreślili z całą mocą – i kategorycznie odradzamy ją naszym klientom”^[1]. Nieczęsto się zdarza, by autor zdobył się na odwagę zdyskredytowania promowanej niegdyś metody, dlatego szczerze gratuluję mnichom, że zamieścili takie sprostowanie. Biorąc jednak pod uwagę, że twórcy tej książki są anonimowi, nie można wykluczyć, że zakonnik, który w 2002 roku odżegnał się od *alpha roll*, nie jest tą samą osobą, która rekomendowała ją trzydzieści trzy lata wcześniej.

Szkoda, że nie wszyscy wzięli przykład z mnichów. Inni popularni trenerzy wciąż bezwstydnie promują „supernowoczesne” techniki z lat 70., które już dawno uznano za okrutne i nieskuteczne. Najlepsi specjaliści polecają dziś metody oparte nie na stosowaniu przemocy, tylko na pozytywnych konsekwencjach łagodnego przywództwa. Wielu instruktorów i trenerów, między innymi Victoria Stillwell, Karen Pryor, Marty Becker, Ken McCort, Jean Donaldson, Chirag Patel i Ken Ramirez, śledzi postępy nauk kynologicznych i zdaje sobie sprawę, że ból, przymus i kara nie są fundamentem do budowania właściwej relacji z psem.

Niestety, w świecie telewizji – medium, które wciąż dominuje w naszej kulturze – wiedza nie zawsze jest w cenie. Znacznie istotniejsze są charyzma i osobowość ekranowa; resztę można

dodać na etapie montażu. W konsekwencji właściciele psów korzystają z porad nieetycznych i opartych na wielu przekłamaniach.

Niektóre wskazówki telewizyjnych ekspertów są po prostu głupie – na przykład żeby najpierw zjeść samemu, zanim nakarmisz psa, albo żeby nie przepuszczać pupila w drzwiach. Inne mogą jednak wyrządzić więcej szkody. Na ekranie można zobaczyć zwierzęta prowadzone na smyczy zaciskowej (która działa podobnie jak stryczek)^[8*], kopane, traktowane metodą „floodingu” (dosłownie „zalewania”, czyli wystawiania na stresujące bodźce, przed którymi pies nie może uciec) i poddawane wielu innym niehumanitarnym technikom treningu.

Oczywiście, brutalnymi metodami można szybko sobie podporządkować niesubordynowane zwierzę – tylko jakim kosztem? W telewizji nie pokazują dalekosiężnych skutków represyjnego podejścia do psa. Dowody lądują na podłodze montażowni albo wychodzą na jaw dopiero wówczas, kiedy ekipa telewizyjna oddali się z miejsca zdarzenia. U psów narażonych na chroniczny stres i odczuwających strach przed człowiekiem problemy behawioralne mogą się tylko nasilić.

Trenerzy stający w obronie tych nieludzkich środków tłumaczą, że człowiek musi być traktowany przez psa jak „przywódca watahy”. Wmawiają właścicielowi, że jego podopieczny jest bestią zaprogramowaną do walki o pozycję „superpsa” i trzeba dołożyć wszelkich starań, by wybić mu z głowy próby uplasowania się w hierarchii wyżej niż człowiek. Takie podejście prowadzi do olbrzymich nieporozumień w kwestii samego pojęcia przywództwa, nie wspominając o innych skutkach ubocznych – warto więc się zatrzymać i rozważyć, czym w ogóle jest przywództwo w odniesieniu do psa.

Dominacja w znaczeniu behawioralnym oznacza po prostu sytuację społeczną, w której konkretne osobniki zyskują łatwiejszy dostęp do ograniczonych zasobów. Na przykład w warunkach niedoboru żywności niektóre zwierzęta mają wyższą pozycję w kolejce do pokarmu. Kiedy samica wchodzi w ruję, dopuszcza do kopulacji wybrane samce (dając im pierwszeństwo albo wyłączność w akcie seksualnym). Przy

niesprzyjającej pogodzie osobniki dominujące mają prawo wyboru lepszego schronienia.

Zanim rozbudziło się we mnie naukowe zainteresowanie psami, przez lata wpajałem studentom podstawy behawioryzmu. Wiedziałem więc to i owo o dominacji wśród zwierząt. Kiedy jednak zacząłem prowadzić zajęcia z ludźmi zainteresowanymi psychologią i szkoleniem psów, ich poglądy na tę kwestię wprowadziły mnie w niezłe zakłopotanie. Większość czerpała swoją wiedzę z programów telewizyjnych i mówiła o dominacji w taki sposób, jakby chodziło o panowanie nad światem albo o dyscyplinę w relacjach BDSM. Nie miało to nic wspólnego z naukowym rozumieniem tego pojęcia.

Bo prawda jest taka, że nie wszystkie zwierzęta kształtują relacje oparte na dominacji. Dla większej jasności ograniczę swój wywód do rzędu drapieżnych (*Carnivora*), obejmującego setki jednostek systematycznych, w tym wilki i psy. Niektórzy jego przedstawiciele uznają hierarchię dominacyjną, inni nie. Lamparty i tygrysy nie wykazują silnych zachowań społecznych i dominacja nie odgrywa w ich przypadku większej roli. Bywa, że nie okazują jej nawet gatunki społeczne, na przykład lwy – skądinąd groźne i skłonne do agresji^[2]. Wynika stąd, że dominacja nie ma nic wspólnego z zjadłością.

Tak czy inaczej, większość drapieżnych to zwierzęta społeczne, które uwzględniają dominację w strukturze swojego stada. Niemniej styl i stopień zaawansowania porządku dziobania zależy od gatunku. Na przykład wśród hien obowiązuje model, który biolodzy określają mianem hierarchii liniowej. Osobnik stojący na szczycie ma pierwszeństwo przed drugim w hierarchii; drugi ma pierwszeństwo przed trzecim i tak dalej, aż do najniższego szczebla – zajmowanego przez żalosne stworzenie, które nie ma praktycznie żadnego dostępu do dóbr, z których stado korzysta w ograniczonym zakresie.

Inne gatunki drapieżnych – w tym wilki – kierują się zasadą hierarchii nazywanej przez behawiorystów despotyczną. W tym modelu organizacji społecznej pojedynczy osobnik lub para zwierząt podejmuje wszelkie decyzje, za którymi posłusznie idzie reszta stada. U wilków o wszystkim postanawiają samiec i samica alfa, które, pamiętajmy, są tylko rodzicami.

Podporządkowują im się pozostali członkowie watahy, czyli ich dzieci.

Zapewne nie trzeba tłumaczyć, na czym polega różnica między wymienionymi rodzajami hierarchii. Obydwie występują także w ludzkich społecznościach, zarówno hierarchia despotyczna (kiedy szef wydaje polecenia wszystkim pracownikom biura), jak i liniowa (szef przekazuje dyspozycje swojemu zastępcy i tak dalej, w dół drabiny zależności). W niektórych wspólnotach trudno dopatrzeć się określonego wzorca dominacji, co dotyczy między innymi grup przyjaciół oraz klubów hobbystów. Ludzie mają dość elastyczne podejście do struktur społecznych.

Wynika stąd, że wataha wilków nie różni się zasadniczo od ludzkiej rodziny. W przeważającej części znanych mi społeczeństw rodzice dominują nad swoimi dziećmi, bo to dorośli podejmują większość istotnych decyzji: co i kiedy jeść, gdzie mieszkać i tak dalej. Co nie oznacza, że rodzice podporządkowują sobie dzieci na zawsze. W każdym razie nie powinni tego robić.

Przed wszystkim trzeba sobie uświadomić, że dominacja nie jest równoznaczna z przymusem – na co zwrócił uwagę David Mech, badacz, który odkrył tajemnicę życia społecznego wilków^[3].

Psie struktury społeczne nie są tak elastyczne jak ludzkie. Wręcz przeciwnie, są zaskakująco sztywne. Byłem naprawdę zszokowany, kiedy zapoznałem się z wynikami badań nad zjawiskiem dominacji u psów. Jeśli chodzi o podatność na zhierarchizowaną organizację społeczną, przewyższają nie tylko ludzi, lecz także swoich przodków, rzekomo obsesyjnie skupionych na zachowaniach dominacyjnych.

Pracownicy Wolf Science Center w Austrii prowadzą badania nad stopniem dominacji w relacjach między psami. Personel ośrodka, jak pamiętamy, odchowuje psy i wilki w oddzielnych grupach pod gołym niebem, w warunkach zbliżonych do naturalnych. Jak wynika ze standardowych testów, w których obserwowano reakcje stada i poszczególnych osobników na niemożność podziału dóbr – na przykład oferując zwierzętom

pojedynczy smakołyk – psie społeczności są znacznie bardziej hierarchiczne niż wspólnoty wilków.

Friederike Range i jej koledzy z Wolf Science Center wymyślili cudownie prosty eksperyment – podawali dwóm psom albo dwóm wilkom porcję karmy. Porcja musiała być odpowiedniej wielkości – wystarczająco duża, by można się było nią podzielić, ale na tyle skromna, że dominant mógł ulec pokusie zagarnięcia jej w całości. Badacze powtórzyli eksperyment z użyciem kości – i tym razem na tyle dużej, żeby można ją było wspólnie ogryzać, ale nie aż tak, by pojedynczy osobnik nie zdołał odpędzić konkurenta i porwać zdobycz. Range i jej zespół postanowili porównać reakcje psów i wilków.

Poddane eksperymentowi wilki na ogół dzieliły się jedzeniem. Zaledwie w jednej na dziesięć testowanych par dochodziło do sytuacji, w której dominujący osobnik zagarniał zdobycz i nie dopuszczał do niej konkurenta.

Psy reagowały całkiem inaczej. W trzech czwartych przypadków dominant odpędzał drugie zwierzę od jedzenia. Problem nie polegał na tym, że psy zachowywały się agresywniej niż wilki: i jedno, i drugie tak samo warczały i szczyrzyły na siebie zęby. Kiedy jednak dominujący pies warknął na podporządkowanego mu osobnika, ten natychmiast się wycofywał i rezygnował z dalszej walki o smakołyk^[4]. Tymczasem wilki nieustannie wymieniały między sobą groźby, ale nie przestawały jeść. Wygląda na to, że psy są znacznie wrażliwsze na demonstrację postawy dominującej niż wilki.

Z wielu badań wynika, że psy uznają pionową hierarchię społeczną i są bardziej podatne na dominację i monopolizację dostępu do ograniczonych zasobów niż ich dzicy kuzyni. Jeśli dostrzegamy w tym paradoks, to tylko dlatego, że często mylimy dominację z zaciekłością. Wilki są dużymi, silnymi i groźnymi drapieżnikami. Padnięcie ofiarą wilczego ataku musi być strasznym doświadczeniem – i zapewne ostatnim w życiu. Psy są oczywiście mniejsze, lżej zbudowane i nie aż tak groźne. Co nie znaczy, że miałbym ochotę wejść psu prosto w paszczę; nie ulega jednak wątpliwości, że stopień dzikości danego gatunku nie przekłada się na jego skłonność do dominacji.

Wilki i psy różnią się pod tym względem, gdyż prowadzą całkiem inny tryb życia. Wystarczy wziąć to pod uwagę, żeby zrozumieć, skąd bierze się psia uległość wobec dominantów. Podstawą przetrwania wilków są łowy na dziką zwierzynę – często większą niż one i zdecydowanie niechętną, by skończyć jako obiad wilczej watahy. Samotny wilk nie byłby w stanie upolować żubra, jelenia ani innego dużego zwierzęcia. Powodzenie wilczych łowów zależy od współpracy całego stada. Kiedy drapieżcy dopadną zdobycz i powalą ją na ziemię, zyskają do podziału znacznie więcej mięsa, niż mogłby zjeść pojedynczy osobnik. Pozostali członkowie watahy są blisko spokrewnieni z dominantem, który musi polegać na swojej rodzinie, żeby odnieść sukces myśliwski. Wilk nie ma nic do stracenia, za to wiele może zyskać, dzieląc się łupem z pobratymcami.

Reasumując: wilki żyją w zorganizowanych stadach, których przetrwanie opiera się na współpracy między osobnikami. Jak wynika z licznych badań, mimo zhierarchizowanej struktury społecznej są w dużym stopniu zdolne do współdziałania.

Bezpańskie psy funkcjonują inaczej. Kilka lat temu widziałem to na własne oczy podczas pobytu w Nassau na Bahamach. To istny raj dla wolno żyjących psów i jedno z najlepszych miejsc na świecie do ich spokojnej obserwacji. Pogoda wręcz zachęca do przebywania na dworze. Wkrótce się przekonałem, że i miejscowa kultura sprzyja tym bezdomniakom.

Pewnego popołudnia wybrałem się na przechadzkę po zaułkach Nassau – w towarzystwie kuratora miejscowego towarzystwa opieki nad zwierzętami – i byłem świadkiem kilku cudownych scen pokojowej koegzystencji między bezpańskimi psami a ich ludzkimi sąsiadami. Zajęte swoimi sprawami zwierzęta beztrudno łączyły po jezdni, ostrożnie wymijane przez kierowców, którzy co chwila wciskali hamulce, żeby ich nie potrącić.

Mieszkańcy Nassau pomagają też psom na inne sposoby. Standardy wywozu śmieci w Over-the-Hill – najbardziej turystycznej dzielnicy miasta – pozostawiają wiele do życzenia. Sterty odpadków piętrzą się niemal na każdym rogu. Obserwowałem sparszywiałego rudobrazowego psiaka, który przedzierał się przez górę śmieci na zakręcie ulicy. Wepchnął

łeb aż po uszy w pudełko z resztkami z KFC. Najwyraźniej nie potrzebował pomocy, nie był więc skłonny z nikim się dzielić i zgarnął cały łup dla siebie. Nawet na mnie zawarczał, żeby dać mi do zrozumienia, czyje to pudełko.

Ze względu na wyjątkowe warunki psy na Bahamach prowadzą zupełnie inny tryb życia niż ich kuzyni w Stanach Zjednoczonych. Jedno je wszakże łączy: bezpańskie psy, jako zwierzęta żerujące na odpadkach, nie muszą ze sobą współpracować, żeby zdobyć pożywienie – za to mają wszelkie powody, by pozbyć się konkurencji w dostępie do łupu. Rudobrzysty bahamski przybłęda wyszczerzył na mnie zęby za sprawą tej samej presji ewolucyjnej, dzięki której psy stały się znacznie wrażliwsze na hierarchię dominacyjną niż wilki.



Bezpański pies w Nassau

Wysoki stopień dominacji w kontaktach z innymi psami i niezwykle poszanowanie hierarchii w sytuacjach społecznych odgrywają ogromną rolę w psich relacjach z człowiekiem. Pies wie, że jesteś szefem – bez względu na to, czy dręczysz go stosowaniem smyczy zaciskowej i techniki *alpha roll*, czy też obchodzisz się z nim równie łagodnie jak z własnym dzieckiem. To dzięki tobie jedzenie pojawia się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki – karma zamknięta w puszkach, uwięziona w szafce, zapakowana do lodówki w próżniowych torebkach i mnóstwie innych pojemników, które człowiek – wyposażony w kciuk przeciwstawny – otwiera bez trudu, tymczasem większość psów nie ma pojęcia, jak się do nich dostać. To ty decydujesz, kiedy i dokąd wyjdiesz z psem na spacer. Dyktujesz mu nawet, kiedy i gdzie ma się załatwić oraz z kim może uprawiać seks – o ile w ogóle mu na to pozwolisz.

Z tych i wielu innych powodów pies nie ma wątpliwości, kto rządzi w waszym związku.

Być może nie zdajesz sobie sprawy, że ustalając jadłospis i pory posiłków swojego pupila, przejawiasz wobec niego dominację – mimo to wszelkie badania wskazują, że pies jest tego w pełni świadom. Psy wiedzą, że ten, kto ma dostęp do niezbędnych zasobów, musi być szefem. Gorąco namawiam do stosowania smakołyków, klikerów i łagodnej zachęty, żeby nauczyć psa chodzenia przy nodze. Niech cię ręka boska broni przed używaniem w tym celu kolczatki i innych narzędzi psich tortur. Ale bez względu na to, czy zdecydujesz się karać zwierza czy szkolić go metodą wzmocnień pozytywnych, osiągniesz ten sam cel – pies nauczy się posłuszeństwa na spacerach. Tym samym utrwalisz swoją pozycję dominanta. Szczerze mówiąc, jeśli twój podopieczny ma żyć pośród ludzi, musisz nad nim dominować. Psy nie są psychicznie zdolne do podejmowania decyzji w twojej rodzinie.

Model tej dominacji zależy wyłącznie od ciebie. Żeby być górą w tym związku, nie musisz straszyć swojego psa, wlec go na smyczy zaciskowej ani kopać go w brzuch. Twoja wyższość sprowadza się do zarządzania zasobami; lepiej odgrywać rolę wyrozumiałego przywódcy niż okrutnego barbarzyńcy. Każdy rodzic wie, że miłość nie wyklucza dominacji. Psy rozumieją

jedno i drugie. Zasługują na przywództwo oparte na współodczuwaniu, nie na agresji.

Oprócz tego, że psy spodziewają się, a nawet oczekują od nas dominacji, pragną też towarzyskich kontaktów z ludźmi. Potrzebę więzi z innymi stworzeniami mają dosłownie w genach. Muszą się z nami bawić, muszą być blisko swoich ukochanych właścicieli.

Pragnienie bliskości z człowiekiem jest w dużej mierze kwestią indywidualną. Na przykład moja Xephos uwielbia dotyk, ale tylko dotyk: układa mi się na stopach, kiedy jestem w łóżku albo pracuję przy biurku, lubi też wylegiwać się koło mnie na kanapie. Nienawidzi, kiedy ktoś ją bierze na ręce i przytula, rozmaicie reaguje na obściskiwanie z ziemi – zależy, w jakim jest akurat nastroju. Niektóre psy uwielbiają być podnoszone i kołysane w ramionach; inne nie szukają kontaktu fizycznego i są najszcześliwsze, gdy człowiek jest po prostu w pobliżu.

Od pewnego czasu toczy się dyskusja, jak należy dotykać psa. Kanadyjczyk Stanley Coren wysunął tezę, że psy nie lubią przytulania. W jednym z wpisów na swoim blogu przedstawił analizę znalezionych w sieci zdjęć ludzi z psami w objęciach. Zdaniem Corena na 204 z 250 fotografii zwierzaki sprawiały wrażenie zestresowanych. Psycholog radzi czytelnikom, żeby „zachowali swoje uściski dla dwunożnych partnerów i członków rodziny”^[5].

Uważam, że Coren przesadza, choć w jednym z pewnością ma rację – ludzie powinni zwracać uwagę, jak pies reaguje na kontakt fizyczny, zamiast wychodzić z prostego założenia, że to, co nam sprawia przyjemność, będzie miłe także dla naszych podopiecznych. Żeby uzyskać odpowiedź na pytanie, jak długo głaskać psa, wystarczy na niego spojrzeć. Stara maksyma „każdemu według potrzeb” odnosi się w równej mierze do ludzi, jak i do zwierząt.

Choć każdy pies jest odrębną jednostką, obdarzoną niepowtarzalną osobowością, musimy zrozumieć i przyjąć do wiadomości, że wszystkie psy pragną czułej więzi emocjonalnej. To niewielkie wymagania i mamy obowiązek je spełnić.

Niestety, często nie wywiązujemy się z tych zobowiązań. Najgorsza krzywda, jaką można wyrządzić tak bardzo towarzyskiemu zwierzęciu, to zostawić je w domu na cały dzień bez możliwości kontaktu z kimkolwiek. W krajach rozwiniętych stało się to już normą. Kochamy nasze psy za ich czuły charakter, a mimo to żegnamy się z nimi o wpół do ósmej rano i w najlepszym razie wracamy do nich dziesięć godzin później. Niektórzy ludzie wpadają do domu na chwilę, żeby wyprowadzić psa na spacer i pozwolić mu załatwić potrzeby fizjologiczne, po czym znów zamykają go na klucz, by spędzić resztę wieczoru w towarzystwie swoich przyjaciół. Co pies ma z takiego życia? Dziesięć godzin samotności, dziesięć minut na kontakty towarzyskie i znów cztery albo pięć godzin samotnego oczekiwania na powrót człowieka, który zaraz i tak padnie na łóżko i zaśnie.

W Szwecji właściciel jest prawnie zobowiązany zapewnić psu co najmniej cztery godziny kontaktu z człowiekiem^[6]. Moim zdaniem to doskonale rozwiązanie. Skoro nie możesz wpaść do domu w ciągu dnia, żeby spotkać się ze swoim psem, znajdź inny sposób na spędzanie z nim czasu albo zrezygnuj z posiadania pupila.

Oczywiście, psy mogą też czerpać korzyści społeczne z przebywania z innymi domownikami. Dobrze wychowany szczeniak doceni obecność psiego kompana, w ostateczności zadowoli się też towarzystwem kotów i innych zwierząt domowych – zwłaszcza jeśli zetknął się z nimi w krytycznym okresie życia, kiedy młode ssaki wdrukowują sobie wzorzec przyszłego partnera do zabaw. Wiele stworzeń sprawdza się w roli towarzyszy osładzających psom czas oczekiwania na powrót pana.

Rzecz jasna, jest mnóstwo innych sposobów na psią samotność niż sprowadzanie do domu innego zwierzęcia. Jednym z rozwiązań jest zostawianie z psem w domu, przynajmniej na parę godzin. Tak właśnie robię, choć zdaję sobie sprawę, że nie każdy cieszy się przywilejem elastycznego czasu pracy. Ale coraz więcej ludzi zabiera psy ze sobą do biura; w Stanach Zjednoczonych zapanowała nawet moda na przychodzenie do pracy z pupilem. Większość psów łatwo

zawiera przyjaźnie, można więc wynająć opiekuna – albo poprosić o pomoc mniej zajętego przyjaciela – który wpadnie codziennie i trochę pogada z twoim podopiecznym. Może też wyjść z nim na kawę albo do restauracji. Niezłym pomysłem jest zapewnienie psu dobrze zorganizowanej opieki dziennej – wielu odpowiedzialnych właścicieli korzysta z tej usługi.

Tak czy inaczej, człowiek musi nie tylko zaspokoić potrzeby fizyczne psa, ale też mieć na uwadze jego szczerą i kochającą naturę. Mało komu przyjdzie do głowy, żeby pozbawić swojego pupila jedzenia albo możliwości wysikania się na dworze. A przecież trzymanie psa przez dłuższy czas w zamknięciu jest jednym z najgorszych, a zarazem powszechnie tolerowanych okrucieństw, jakie można mu wyrządzić. I wiąże się z poważnymi konsekwencjami – zarówno dla nas, jak i dla naszych podopiecznych.

Mnóstwo psów nie umie sobie poradzić z udręką samotności i próbuje ją zagłuszyć na różne sposoby, począwszy od ujadania, przez obgryzanie mebli, kończąc na zanieczyszczaniu domu odchodami. Wszystkie te objawy podciąga się pod tak zwany lęk separacyjny, leczony farmakologicznie lub behawioralnie. Zdaniem weterynarzy i psychologów zwierzęcych problem przybrał rozmiary plagi – co piąty pies cierpi na tę przypadłość^[7].

Podczas pobytu w Nassau odwiedziłem Williama Fieldinga, socjologa z Uniwersytetu Bahamów. Fielding poprosił o wypełnienie takiej samej ankiety w sprawie niebezpiecznych psów rodowitych mieszkańców Bahamów oraz turystów, którzy przybywają na ten piękny archipelag na statkach wycieczkowych. Większość z nich to obywatele Stanów Zjednoczonych. Kwestionariusz zawierał pytanie o najlepszą i najgorszą rzecz, jaką można zrobić swojemu psu, wychodząc na cały dzień do pracy. Amerykanie odpowiadali, że na czas nieobecności właściciela trzeba zwierzę bezpiecznie zamknąć w domu. Mieszkańcy Bahamów radzili wypuścić psa na dwór, żeby znalazł sobie towarzystwo.

Moim zdaniem nie ma jednej dobrej odpowiedzi na to pytanie. Ankietowani Amerykanie poniekąd mieli rację – puszczenie psa samopas na ulicę może się skończyć tragedią.

Zwierzę może wpaść pod samochód, zostać zaatakowane (spotkałem kiedyś trójkę dzieciaków, które dopiero po mojej interwencji przestały kopać psa), czymś się zarazić albo wpakować się w inną kabałę.

Trudno jednak odmówić słuszności rdzennym mieszkańcom Bahamów. Psy są bowiem zwierzętami społecznymi i zamykanie ich na cały dzień w domu jest z pewnością okrutne. Nasi pupile powinni mieć inną możliwość zaspokojenia swoich instynktów, którą można im zapewnić bez większych trudności.

Współczuję psom, które mają domy, ale brak im czułych kontaktów z człowiekiem, niedola psów schroniskowych przygnębia mnie jednak tak bardzo, że aż trudno mi o niej pisać.

Istnienie schronisk jest mroczną kartą naszej międzygatunkowej relacji. Podobno kochamy psy, a mimo to około pięciu milionów tych zwierząt śpi w betonowych, zakratowanych boksach – w samych Stanach Zjednoczonych. Choć w ostatnich dziesięcioleciach sytuacja nieco się poprawiła, azyle wciąż przyjmują mniej więcej cztery miliony psów rocznie. Prawie trzy czwarte z nich trafia do adopcji albo wraca do właścicieli. Wciąż jednak pozostaje milion zwierząt, które zostaną uspięne albo skazane na długoletni pobyt w schronisku^[8]. Ani jedno, ani drugie nie rozwiąże problemu bezdomnych psów.

Większość amerykańskich azylów zbudowano przed laty, z myślą o tymczasowym przechowaniu zbłąkanych zwierzątek. Burek spędzał w schronisku kilka dni, najwyżej tygodni, po czym wracał do domu albo zyskiwał nową rodzinę. Po upływie tego czasu psa poddawano eutanazji. Tak czy inaczej, schroniskowy epizod trwał krótko.

System udoskonalono pod wieloma względami. Coraz więcej placówek rezygnuje z usypiania psów. Zmniejszenie liczby eutanazji pociąga jednak za sobą wydłużenie pobytu w schronisku.

Obecna tendencja jest wynikiem trwającej od około dwudziestu lat kampanii przeciwko usypianiu zdrowych zwierząt. Intencje aktywistów są z pewnością szlachetne, mogą jednak przynosić niepożądane skutki. Cenię i szanuję zwalczanie

plagi zbędnych eutanazji, warto jednak pomyśleć nad konsekwencjami przetrzymywania psów przez czas dłuższy – bywa, że do końca życia – w miejscach pobytu tymczasowego.

Też nie chcę, żeby zabijano zdrowe psy, ale mam pewność, że zamykanie milionów zwierząt w klatkach nie jest tego żadną rozsądną przeciwwagą. Kiedy schronisko podejmuje decyzję o usypianiu wyłącznie psów śmiertelnie chorych, boksy stopniowo wypełniają się nieszczęśnikami, którzy wciąż nie znaleźli domów. Ludzie nie chcą ich przygarniać z najrozmaitszych powodów. Czasem kierują się uprzedzeniami bądź modą na konkretne rasy lub wzory umaszczenia – co nie zmienia faktu, że do adopcji nie wolno nikogo zmuszać. Pies uwięziony w boksie będzie z każdym dniem zachowywał się coraz gorzej i tracił na atrakcyjności w oczach potencjalnych właścicieli. Schroniska zmieniają się powoli w magazyny psów.

W niektórych krajach obowiązuje prawo zakazujące usypiania zdrowych psów w schroniskach, nie wystarczą jednak same rozwiązania legislacyjne. Próbowiałem odwiedzić jeden z państwowych azylów we Włoszech, kraju prowadzącym taką politykę, ale nie dostałem pozwolenia na wstęp. Fakt, że schronisko nie wpuszcza nawet specjalistów, którzy chcą się zapoznać z warunkami utrzymania zwierząt, świadczy dobitnie, że ich sytuacja jest rozpaczliwa.

Udało mi się złożyć wizytę w pobliskim ośrodku prywatnym i zapamiętałem ją jako jedno z najsmutniejszych doświadczeń w moim życiu. Nie podam jego nazwy, bo zdaję sobie sprawę, że personel schroniska dokłada wszelkich starań, by mimo przeciwności zapewnić psom jak najczulszą opiekę. Wystarczyło jednak spojrzeć tym stworzeniom w oczy, by zrozumieć, że ich długotrwałe przetrzymywanie w żałości niedofinansowanym azylu nie jest w niczym lepsze od bezbolesnej eutanazji.



Psy trzymane w boksach na stałe – w schronisku, w którym zwierzęta nie są poddawane eutanazji

Na szczęście mój pobyt we Włoszech miał też jaśniejsze strony. Najnowsze włoskie badania wskazują, jak można ulżyć niedoli zwierząt w schroniskach. Nic dziwnego – zważywszy na obecny stan wiedzy o psich emocjach – że polecane rozwiązanie sprowadza się do zwykłej ludzkiej obecności.

Liczna grupa uczonych z kilku włoskich uniwersytetów, na której czele stała Simona Cafazza, badała warunki utrzymania prawie stu psów w schroniskach na terenie Lacjum. Zdaniem naukowców jedynym sposobem na poprawę dobrostanu bezdomnych zwierząt są codzienne spacery z ludźmi. Z badań nie wynika, w jakim stopniu na zmianę wpływa aktywność fizyczna, w jakim zaś samo towarzystwo człowieka – Cafazza

i jej koledzy ograniczyli się do porównania psów, które dzień w dzień chodziły z ludźmi na spacer, ze zwierzętami puszczanymi na wybieg samotnie. Poprawę zaobserwowano wyłącznie u psów wyprowadzanych na spacer.

Zespół Cafazzy odnosi się sceptycznie do zakazu eutanazji. Prawodawstwo nie powoduje zmniejszenia populacji bezdomnych psów, zwiększa za to liczbę zwierząt skazanych na długotrwały pobyt w schroniskach, które nie są w stanie zaspokoić elementarnych potrzeb zwierząt. Uczni zwrócili uwagę, że w miejscowych azylach przebywa 11 tysięcy psów; większość zostaje w nich do końca życia. Cafazza i jej koledzy podsumowali badanie stwierdzeniem: „W sytuacji, kiedy prawo uznaje wyższość dożywotniego pobytu w azylu nad bezbolesną eutanazją, etyka zobowiązuje nas do zapewnienia bezdomnym zwierzętom godziwych warunków życia. Dowody naukowe wskazują jednak, że problem leży gdzie indziej”^[9].

Każdy kraj, a nawet region, boryka się z innymi trudnościami w tym względzie. W Stanach Zjednoczonych trafiają się zarówno psie więzienia, jak i wzorcowe ośrodki opieki nad bezdomnymi zwierzętami. Odwiedzałem schroniska wyposażone w piękne, czystość pomieszczenia z wesołymi obrazkami na ścianach, dobrze nasłonecznione, z relaksującą muzyką w tle i przemiłym personelem; gdyby nie wyżywienie, sam bym chciał w nich zamieszkać. Ale bywałem też w miejscach koszmarnych, gdzie smutne i chore psy żyły w nieustannym hałasie i smrodzie własnych odchodów^[10].

Los bezdomnych zwierząt w Stanach Zjednoczonych zależy od wielu czynników. W schroniskach na północnym wschodzie eutanazję przeprowadza się rzadziej – ze względu na mniejszą liczbę pensjonariuszy. Rozpowszechniona w tym regionie praktyka sterylizacji wyraźnie złagodziła problem psiej bezdomności. Azyle na południowym wschodzie wciąż mają kłopoty z przepełnieniem, podobnie jak wiele ośrodków na zachodzie kraju.

Najlepsze schroniska zapewniają psom spokojny okres oczekiwania na nowe domy. Dysponują świetnie wyszkolonym personelem, który wpaja podopiecznym zachowania zwiększające ich szanse na adopcję i przydatne w przyszłym

życiu z człowiekiem. Są to z reguły niewielkie, świetnie zorganizowane ośrodki, często wspierane przez zamożnych prywatnych sponsorów. Na drugim końcu skali plasują się azyle, gdzie usypia się większość zwierząt, które przed upływem dwóch tygodni nie trafiły do nowych domów. Tego rodzaju ośrodki są zwykle prowadzone przez miejscowe władze. W niektórych miastach schroniska federalne działają tuż obok azylów prywatnych.

Nie zamierzam nikogo obwiniać. W pełni zdaję sobie sprawę, że władze lokalne dysponują ograniczonymi środkami, które muszą przeznaczyć także na inne cele. Rozumiem, że opieka nad zwierzętami ustępuje pierwszeństwa finansowaniu szkół, domów spokojnej starości i innych zobowiązań publicznych.

Wciąż jednak uważam, że psy zasługują na coś lepszego niż los, jakiego doświadczają w większości schronisk. Pracownicy nawet najgorzej dofinansowanych ośrodków powinni odwzajemniać miłość swoich podopiecznych i uczyć ich prawidłowego okazywania uczuć ludziom. W ten sposób ułatwiliby psom znalezienie nowych domów, ograniczając do minimum czas spędzony przez nie w azylu. Wiązałoby się to z korzyścią zarówno dla zwierząt, jak i samych schronisk. Od dawna realizuję tę misję wraz z moimi studentami.

Moja doktorantka Sasha Protopopova^[9*] – obecnie profesor Texas Tech University – rozpoczęła cykl badań trwających do dziś. Postawiła sobie za cel odkrycie sposobu na poprawę behawioru psów schroniskowych: z myślą o ich przyszłej adopcji. Zależało jej na tym, żeby nie obciążać pracowników azylu dodatkowymi obowiązkami i uniknąć konieczności zatrudniania specjalistów od szkolenia psów.

Sasha poświęciła całe lato, żeby wdroić studentów w swój projekt badawczy w prowadzonym przez miejscowe władze schronisku na północnej Florydzie. Jej pomocnicy stali minutę przed każdą klatką i rejestrowali zachowanie psa kamerą wideo. Limit czasowy miał swoje uzasadnienie: większość ludzi poświęca niecałą minutę na obserwację zwierzęcia, zanim skupi na nim uwagę albo podejdzie do następnego kojca. Pod koniec tego etapu Sasha dysponowała tysiącami krótkich filmów z udziałem setek psów czekających na adopcję.

Druga faza eksperymentu polegała na dokładnym prześledzeniu behawioru każdego zwierzęcia. Czy pies macha ogonem? Szczeka? Oddaje kał? Na liście prawdopodobnych zachowań znalazło się przeszło sto pozycji.

Pod koniec Sasha zyskała pełną bazę danych o reakcjach psów na krótki kontakt z obcym człowiekiem i potencjalnym „rodzicem” adopcyjnym. Całość przeobraziła się w cykl swoistych autoprezentacji skierowanych pod adresem przyszłych właścicieli: coś w rodzaju katalogu psów gotowych do przygarnięcia.

Sasha porównała uzyskany materiał z wcześniejszymi profilami psów schroniskowych. Część zwierząt szybko znajdowała dom, inne bezskutecznie czekały na swoją szansę. Dzięki tej analizie zdołała określić, jakie czynniki leżą u podstaw bezproblemowej adopcji, jakie zaś wiążą się z rozpaczliwie długim wypatrywaniem nowej rodziny.

Pierwsze wnioski były łatwe do przewidzenia i zgodne z oczekiwaniami badaczki, która już wcześniej doszła do podobnych konkluzji: nieważne, co robisz, ważne, że ślicznie wyglądasz. Psy atrakcyjne fizycznie – szczenięta i przedstawiciele ras miniaturowych – znajdowały nowych właścicieli bez względu na zachowanie.

W pozostałych przypadkach behawior odgrywał kluczową rolę. Wyszło na jaw, że ludzie instynktownie unikają zbyt nachalnych psów. Ocieranie się o ściany boksu i przywieranie do człowieka całym ciałem zdecydowanie obniża szanse na adopcję, podobnie jak nadmierna ruchliwość. Potencjalni właściciele nie chcą przygarniać psów, które bez przerwy się wiercą, skaczą albo biegają w kółko po boksie. Najchętniej wybierają zwierzęta, które wychodzą im naprzeciw i uważnie ich obserwują, zachowując się czujnie, ale niezbyt impulsywnie^[11].

W idealnym świecie schroniska powinny zatrudniać profesjonalnych trenerów, którzy potrafiliby skorygować niepożądane zachowania. Psy nauczone dobrych manier szybciej znalazłyby nowy dom. Sasha zorientowała się jednak, że większość schronisk, przynajmniej w Stanach Zjednoczonych, po prostu nie ma pieniędzy na szkolenia dla personelu ani tym bardziej na współpracę z doświadczonymi behawiorystami.

Żeby obejść ten problem, postanowiliśmy z Sashą opracować techniki, które umożliwiłyby pracę z trudnymi psami osobom bez specjalistycznego przygotowania behawioralnego. Poszliśmy drogą przetartą wcześniej przez Iwana Pawłowicza Pawłowa, wielkiego rosyjskiego fizjologa i pioniera zoopsychologii. Sasha urodziła się w Rosji, czemu przypisuję przynajmniej część tej inspiracji. Mogę jednak się mylić, bo wyjechała z ojczyzny w wieku ośmiu lat, chyba że rosyjscy nauczyciele wpajają dzieciom wiedzę z zakresu psychologii zwierząt już w pierwszych klasach szkoły podstawowej.

Tak czy inaczej, czerpaliśmy natchnienie z Pawłowa, który odkrył, że zwierzęta potrafią przewidzieć istotne dla nich wydarzenia. Dźwięk dzwonka (a ściślej brzęczyk) w jego legendarnym eksperymencie zapowiadał nadejście posiłku, na co psy reagowały wydzielaniem śliny. Ten model warunkowania ma jedną istotną przewagę nad nowocześniejszymi metodami szkolenia zwierząt – nie wymaga zwracania uwagi na psa. Pawłow i jego studenci z pewnością byli zainteresowani reakcją swoich podopiecznych, nie musieli ich jednak pilnować w trakcie eksperymentu.

Psa można z łatwością uwarunkować na dźwięk dzwonka zapowiadającego jedzenie, nawet na niego nie patrząc. Wystarczy zadzwonić i podać psu karmę, a zwierzę i tak zareaguje. Oczywiście, jeśli chcesz się przekonać, jak zmieniło się zachowanie psa, musisz na niego spojrzeć, ale procedura opracowana przez Pawłowa jest znacznie prostsza od standardowej metody wzmocnienia pozytywnego, w której trener uważnie obserwuje zwierzę i nagradza je smakołykiem za odpowiednie zachowanie. Uruchom dzwonek i daj psu jeść. Wystarczy powtarzać te czynności w regularnych odstępach czasu, a zaczną się dziać cuda.

Ujemną stroną tego warunkowania jest niemożność sprawowania jakiegokolwiek kontroli nad zachowaniem zwierzęcia. W naszym przypadku był to problem, bo zależało nam na konkretnych zmianach behawioralnych. Chcieliśmy, żeby psy przestały podpierać ściany, skakać i biegać w kółko, a zwróciły uprzejmą uwagę na swoich gości.

Gdyby zajął się tą sprawą wykwalifikowany behawiorysta, opracowałby program szkolenia oparty na uważnej obserwacji psa i natychmiastowym nagradzaniu pożądanых zachowań. Ponieważ wiedzieliśmy, że większości schronisk nie stać na zatrudnienie odpowiedniego fachowca, postanowiliśmy sprawdzić, czy wzmocnienie pozytywne da się zastąpić tańszą metodą Pawłowa. Obmyśliśmy w tym celu test porównawczy.

Poddaliśmy badaniu grupę psów szkolonych profesjonalną metodą wzmocnienia pozytywnego oraz grupę zwierząt trenowanych techniką Pawłowa. Warunkowanie pawłowowskie polegało na tym, że Sasha i jej pomocnicy chodzili po schronisku z dzwonkiem i podrzucali psom smakołyki. Następnie porównaliśmy wyniki obydwu grup (oraz psów z grupy kontrolnej, którym dźwięk dzwonka nie kojarzył się z jedzeniem) w sytuacji zetknięcia z obcą osobą. Odkryliśmy, że zarówno psy szkolone metodą pozytywną, jak i psy warunkowane sposobem Pawłowa zachowywały się znacznie lepiej wobec gościa. Wprawdzie zwierzęta z pierwszej grupy wypadły odrobinę korzystniej, różnica była jednak nieznaczna. Psy szkolone pozytywnie spisały się na medal, bo tak naprawdę „zapłaciliśmy” im za grzeczne zachowanie. Trudno natomiast wyjaśnić postępy zwierząt z grupy warunkowanej metodą Pawłowa. Być może spodziewana nagroda w postaci jedzenia skłoniła je do pożądanых zachowań: okazywania uwagi i przyjaznego nastawienia wobec potencjalnych właścicieli. W gruncie rzeczy mało nas obchodzi, dlaczego psy z grupy warunkowanej pawłowowsko zaczęły się lepiej zachowywać – ważne, że zaczęły. Odnieśliśmy sukces, gdyż psy z obydwu grup zrobiły duże postępy w stosunku do grupy kontrolnej, która słyszała tylko dźwięk dzwonka.

Osiągnęliśmy nasz cel: zweryfikowaliśmy procedurę, którą przy odrobinie dobrych chęci może wdrożyć każdy – bez żadnych kwalifikacji szkoleniowych, na dowolnej liczbie psów. Metoda Pawłowa sprowadza się do wydania sygnału dzwonkiem i wrzucenia karmy do boks, choćby po omacku (trzeba tylko uważać, żeby się o coś nie potknąć). Jedyna jej uciążliwość polega na użyciu dzwonka. Od razu przyznaję, że uparłem się na ten dzwonek jak dziecko. Rozbawiła mnie myśl, że moja

studentka, urodzona w Rosji, przeprowadzi eksperyment na psach metodą warunkowania pawłowowskiego i w charakterze bodźca użyje dzwonka. Nic nie zdołało ostudzić mojego entuzjazmu, nawet to, że słynny dzwonek wziął się z mylnego tłumaczenia słowa oznaczającego po rosyjsku brzęczyk^[12].

Nasze późniejsze badania dowiodły, że dzwonek jest w gruncie rzeczy zbędny: za bodziec warunkowy wystarczy sama obecność człowieka. Wynika stąd, że zarząd schroniska może się ograniczyć do wyznaczenia osób, które od czasu do czasu przejdą się po terenie i wrzucą do boksów parę smakołyków. Nie muszą to nawet być pracownicy azylu: równie dobrze mogą się tym zająć goście szukający psa dla siebie. Zabieg wpłynie pozytywnie na zachowanie zwierząt i ułatwi ich adopcję. Wystarczy kilka smacznych kąsków, żeby wychować psa i pomóc mu znaleźć dom. Metoda nie wiąże się z dodatkowym obciążeniem dla przepracowanego personelu i pozwala zdusić w zarodku problemy behawioralne, które grożą psom przebywającym prawie całą dobę w zamknięciu. Pomaga też ujawnić zwierzętom ich pozytywne nastawienie do ludzi. Zaspokaja ich naturalną potrzebę okazywania miłości i tym samym daje im szansę odnalezienia się w ludzkiej rodzinie.

Jestem bardzo dumny z Sashy i naszych wspólnie przeprowadzonych badań, które dowiodły, że w schroniskach można wprowadzić rozwiązania niewymagające żadnych fachowych doświadczeń, za to w dużym stopniu zwiększające szanse psów na adopcję. Lisa Gunter, moja była doktorantka, a obecnie współpracownica na Uniwersytecie Stanu Arizona, znalazła nawet sposób, jak doprowadzić do wzrostu liczby adopcji, a zarazem odciążyć personel azylów. Dzięki niewielkiej zmianie w schroniskowym systemie identyfikacji psy mogłyby skuteczniej wykorzystać swą czułą naturę w staraniach o nowy dom – zupełnie jak ich prehistoryczni przodkowie.

Zanim zaczęliśmy ze sobą współpracować, Lisa przez wiele lat gromadziła doświadczenia w rozmaitych schroniskach na terenie Stanów Zjednoczonych. Nie mogła wyjść z podziwu, ilu ludzi starających się o adopcję nie zwracało uwagi na samo zwierzę. Przychodzili do azylu z zamiarem przygarnięcia psa

konkretnej rasy i w konsekwencji ignorowali podopiecznych, których boksy nie były oznakowane zgodnie z ich oczekiwaniami.

Zdumiało ją to z kilku powodów. Przecież większość psów schroniskowych to kundle. Umieszczane na boksach tabliczki z nazwami ras tylko w przybliżeniu określają ich pochodzenie. Jak wynikało z badań, które przeprowadziliśmy razem z Lisą, w 90 procentach przypadków spekulacje na temat rasy nie miały nic wspólnego z rzeczywistością^[13]. Zgodnie z powszechną opinią psy rasowe stanowią mniej więcej jedną czwartą pensjonariuszy azylów; reszta to mieszańce dwóch ras. Tymczasem odkryliśmy, że zaledwie co dwudziesty pies jest zwierzęciem czystej rasy; u pozostałych oznaczyliśmy sygnatury genowe przeciętnie trzech różnych ras – czasem nawet pięciu. Pobierając próbki materiału bezbolesną metodą wymazu z pyska i prowadząc na nich testy genetyczne, stopniowo doszliśmy do wniosku, że określanie rasy psa po wyglądzie jest, oględnie mówiąc, niemiarodajne.

Żeby oddać sprawiedliwość pracownikom schronisk: w American Kennel Club zarejestrowano prawie dwieście ras psów, co tym bardziej utrudnia próby ustalenia przynależności rasowej bezdomnych zwierząt. Geny mieszają się inaczej niż farby. W wyniku połączenia materiału genetycznego dwóch ras nie powstaje coś pośredniego między jedną a drugą – jak w przypadku zmieszania czerwieni i żółci, kiedy uzyskujemy kolor pomarańczowy. Efekt krzyżówki międzyrasowej jest wypadkową mnóstwa różnych czynników. Bywa, że potomstwo bardziej przypomina jednego z rodziców albo w ogóle nie jest do nich podobne.

Sprawa jest skomplikowana, więc trudno się dziwić, że personel azylów często błędnie przypisuje psy do poszczególnych kategorii rasowych. Martwi mnie jednak, że ludzie przywiązują większą wagę do etykietek niż do samych psów – zwierząt, które stają z nimi oko w oko, przekonując ich każdym machnięciem ogona o swojej czulej i towarzyskiej naturze.

Lisa postanowiła sprawdzić, w jakim stopniu te bałamutne oznaczenia ras wpływają na decyzję osób starających się

o adopcję psa. Skupiła się w tym celu na określeniu wzbudzającym szczególnie silne emocje: chodzi o tak zwane pitbulle.

Wbrew powszechnej opinii pitbull nie jest rasą. To szersze pojęcie, obejmujące zwierzęta mocnej budowy, przede wszystkim psy w typie pośrednim między terierem a buldogiem, na przykład amerykańskie teriery staffordshire i buldogi amerykańskie. Jak wyjaśnia Bronwen Dickey w swojej fascynującej i doskonale udokumentowanej książce *Pit Bull: The Battle over an American Icon* [Pitbull: spór o amerykańska ikonę], pod koniec XX wieku psy tego typu zepchnięto do rangi pariasów – na skutek skomplikowanego zbiegu okoliczności kulturowych, które nie mają nic wspólnego z ich prawdziwą osobowością^[14]. Moim zdaniem „pitbull” stał się niezwykle pojemnym określeniem psów o pewnych cechach fizycznych – ukutym po to, żeby zszargać ich reputację. Badania prowadzone przez Lisę dowodzą takiej niekonsekwencji w stosowaniu tego terminu, że trudno nawet opisać wygląd tych psów, nie wspominając już o ich zachowaniu.

Zdając sobie sprawę, że zakwalifikowanie psa do kategorii pitbulli może wywołać silne reakcje emocjonalne u niektórych osób starających się o adopcję, Lisa obmyśliła sprytny eksperyment, polegający na wzmocnieniu negatywnych konotacji tego terminu. Przygotowała zestaw zdjęć i filmów z udziałem psów przebywających w jednym ze schronisk w Arizonie i określonych jako pitbulle. W drugim zestawie znalazły się zdjęcia psów, które z wyglądu do złudzenia przypominały jednego z pitbulli, ale z jakiegoś powodu zostały zakwalifikowane do innej rasy.

Swoją drogą, ciekawe, jakim cudem im się to udało. Jeśli nie byłeś dotąd w żadnym z amerykańskich schronisk, zapewne nie wiesz, ile psów da się podciągnąć pod tę kategorię. Tak zwane pitbulle występują w umaszczeniu od czarnego po płowe; bywają małe lub średniej wielkości; miewają kojarzony z tym typem łeb kwadratowy albo smuklejszy, jak u retrievera.

Nieostrość tego pojęcia działała na korzyść Lisy. Udało jej się sporządzić fascynujący katalog najrozmaitszych psów, które zestawiała w pary osobników o podobnym wyglądzie. W każdej

z par znalazły się pies zakwalifikowany przez personel schroniska jako pitbull oraz jego sobowtór, któremu z jakichś powodów nie przyczepiono tej etykiety.

Kiedy Lisa pokazywała potencjalnym właścicielom zdjęcia i filmy z psami – bez żadnych oznaczeń rasowych ani jakichkolwiek innych informacji poza obrazem na ekranie komputera – odkryła coś zdumiewającego. Uczestnicy badania uznali zwierzęta zaliczone do kategorii pitbuli za odrobinę atrakcyjniejsze i nadające się bardziej do adopcji niż psy, które zakwalifikowano do innych ras. Kiedy powtórzyła test, tym razem dołączając do materiałów etykiety przypisane psom przez personel schroniska, atrakcyjność pitbuli spadła praktycznie do zera.

Nie miałem tylu doświadczeń w schroniskach i byłem bardziej zaskoczony odkryciem Lisy niż ona sama. Nie mieściło mi się w głowie, że puste określenie „pitbull” może dobitniej wpłynąć na ludzkie decyzje niż wygląd i zachowanie żywego zwierzęcia. Oboje poczuliśmy zawód. Schroniskowe tabliczki z nazwami ras nie są miarodajne i rzadko mają cokolwiek wspólnego z prawdziwym pochodzeniem psa, a czasem bezwzględnie determinują jego przyszłość. Czują psia natura najwyraźniej przegrywa z nic nieznaczącą, arbitralnie przyznaną etykietą.

Ale dzięki temu smutnemu odkryciu Lisa wpadła na ciekawy pomysł. Pomyślała sobie, co by było, gdyby personel schronisk przestał się bawić w rasowe zgadywanki? Doszliśmy do wniosku, że rezygnując z prób identyfikacji, pracownicy zadziałaliby na korzyść psów zaliczonych do kategorii pitbuli; badanie Lisy dowiodło przecież, że potencjalni właściciele nie mieli żadnych zastrzeżeń do tych zwierząt – aż do momentu opatrzenia ich kontrowersyjną nazwą. Czy taka decyzja nie zaszkodziłaby jednak psom przypisanym do ras lubianych, na przykład spanieli i golden retrieverów? Czy nie okazałaby się po prostu nieuczciwa, prowadząc do odwrócenia ról między psimi szczęściarzami i pechowcami? A może wyszłaby wszystkim na dobre?

Rozważaliśmy za i przeciw, zastanawiając się, gdzie znaleźć schronisko, w którym moglibyśmy przeprowadzić odpowiedni

test, kiedy doszły nas słuchy, że pięknym zrządzeniem losu zrobił to już za nas pewien azyl na Florydzie. Orange County Animal Services – duży ośrodek prowadzony przez miejscowe władze w Orlando – przestał uwzględniać w swoich kartotekach informacje, a raczej domysły na temat ras psów, dokładnie 6 lutego 2014 roku. Pracownicy azylu byli bardzo życzliwi: udostępnili nam dane wejściowe i wyjściowe z dwunastu miesięcy poprzedzających reformę i z całego roku po dokonaniu zmian w procedurze. Lisa i jej współpracownica Rebecca Barber przeanalizowały informacje o ponad siedemdziesięciu tysiącach psów.

Wyniki były bardzo optymistyczne. Zgodnie z naszymi przypuszczeniami psy, którym groziło zakwalifikowanie do kategorii pitbulli, radziły sobie znacznie lepiej bez tej stygmatyzującej etykiety; liczba ich adopcji wzrosła o trzydzieści procent. Najlepsze jednak, że odsetek adopcji wzrósł we wszystkich grupach ras.

W tej grze nie było już przegranych^[15]. Nawet psy zaliczane wcześniej do ras miniaturowych – zwykle i tak najłatwiej znajdujące nowe domy – zyskały odrobinę więcej chętnych do adopcji. Liczba wyadoptowanych zwierząt nie spadła w żadnej z dotychczasowych grup.

Personel Orange County Animal Services przekazał nam później dane z drugiego roku działalności po konsekwentnie realizowanej reformie. Odsetek adopcji wciąż był wyższy niż przed usunięciem danych rasowych z kartotek. Byliśmy zachwyceni, że początkowy sukces przedsięwzięcia nie spalił na panewce. Wszystkie psy osiągnęły znacznie lepsze wyniki. W ramach dodatkowych korzyści reforma wyraźnie zmniejszyła obciążenie pracowników schroniska, którzy nie musieli już marnować czasu na rasowe zgadywanki.

Zastanawialiśmy się z Lisą, dlaczego usunięcie danych o rasach zwiększyło szanse na adopcję wszystkich podopiecznych. Przewidywaliśmy, że będzie tak w przypadku zwierząt zaliczonych do kategorii pitbulli. Ku naszemu zdumieniu zmiana generalnie ułatwiła znalezienie psom domów – nawet tym, które czekały na adopcję w boksach oznaczonych

tabliczkami z kuszącą modną nazwą. Rozmawialiśmy o tym długo i doszliśmy do takiej oto konkluzji.

Ludzie odwiedzający schronisko w poszukiwaniu nowego psa instynktownie kojarzą swoje wyobrażenia z konkretną rasą. Niewykluczone, że w dzieciństwie spędzili wiele szczęśliwych chwil w towarzystwie wspaniałego niemieckiego wyżła krótkowłosego. Teraz sami mają już dzieci i chcą im zapewnić równie cudowne wspomnienia – przychodzą więc do azylu i proszą o niemieckiego wyżła.

Żeby rozegrać dalej ten hipotetyczny scenariusz, trzeba wziąć pod uwagę trzy rzeczy. Po pierwsze, niemieckie wyżły krótkowłose nie są szczególnie popularne w Stanach Zjednoczonych. Po drugie, większość psów schroniskowych to mieszańce. Po trzecie, żaden z nich nie ma rodowodu. Zdarza się, że w azylu przebywa kilkaset zwierzaków do adopcji. Wiele z nich dysponuje cechami, których szukają nasi potencjalni właściciele – są duże albo średniej wielkości, energiczne, chętne do zabawy, łagodne i przyjaźnie nastawione wobec dzieci. Mało jednak prawdopodobne, by pracownik odpowiedzialny za wymyślanie nazw ras oznaczył którykolwiek z boksów tabliczką z napisem „niemiecki wyżeł krótkowłosy”.

Tym sposobem rodzice wracają do domu z pustymi rękami. Być może nie zajrzeli nawet do psów, dowiedziawszy się w biurze, że nie ma żadnych wyżłów do adopcji. Niedoszli właściciele zrezygnowali z poszukiwań, zanim w ogóle je rozpoczęli.

A teraz pomyślmy, co się wydarzy, jeśli personel uprzedzi gościa, że schronisko nie dysponuje żadnymi informacjami o pochodzeniu swoich podopiecznych. Zawsze jest nadzieja, że człowiek przynajmniej wejdzie do środka i sam sobie poszuka psa. Niewykluczone, że trafi na kundla, który choćby z charakteru będzie mu przypominał pupila z dzieciństwa. Jeśli przyjechał do azylu z rodziną, być może dzieci same sobie wybiorą towarzysza zabaw.

Zdjęcie tabliczek z drzwi boksów w gruncie rzeczy zachęca ludzi, żeby przyjrzel się samym psom. W tej różnorodnej zbieraniu można znaleźć idealnego kompana, z którym

będziesz chodził na piwo, oglądał telewizję, wędrował po górach albo po prostu go kochał.

Bez względu na przyczyny takiego stanu rzeczy jedno jest pewne: rezygnując z niepotrzebnych etykiet, pomożemy znaleźć dom tysiącom, a może i milionom psów. Moim zdaniem należy pominąć kwestię pochodzenia we wszystkim, co wiąże się z tym zwierzęciem. Oprócz właściwych konkretnym rasom zachowań (na przykład zaganiania trzód albo wystawiania zdobyczy), które w dzisiejszym świecie nie mają prawie żadnego znaczenia praktycznego, pochodzenie psa z reguły nie wpływa na jego osobowość. Tak przynajmniej wynika z dwóch szeroko zakrojonych badań z udziałem tysięcy psów rasowych. Naukowcy odkryli, że różnice osobowościowe między psami tej samej rasy są równie duże – a czasami nawet większe – niż różnice w obrębie całej populacji. W sumie to niezbyt zaskakujące, jeśli wziąć pod uwagę, że nawet psie klony z identycznym genotypem miewają skrajnie odmienny charakter – o czym pisałem w poprzednim rozdziale. Można z dużym prawdopodobieństwem założyć, że dotyczy to także zwierząt pochodzących od tych samych odległych przodków, zatem znacznie bardziej zróżnicowanych pod względem genetycznym.

Ludzie mogą wiele skorzystać na otwartym podejściu do rasy psów. Dowiodło tego niezbitie inne badanie Sashy. Osoby składają wizytę w schronisku przeważnie z myślą o konkretnym zwierzęciu. Albo wracają z nim do domu, albo odchodzą z pustymi rękami. Obydwu stronom przyniosłoby wiele pożytku, gdybyśmy nie kierowali się w wyborze psa arbitralnym i w gruncie rzeczy nieistotnym kryterium rasy. W dzisiejszych czasach, kiedy wiele azylów zachęca potencjalnych właścicieli do wzięcia psa na pobyt tymczasowy, wystarczy pomieszkać z nim w domu na próbę – powiedzmy przez weekend – żeby się przekonać, jak sobie radzi z dala od schroniskowego zgiełku i stresu. Rzekome pochodzenie nie ma tu nic do rzeczy. Biorąc do domu zwierzątko, które wprowadzie nie wygląda jak twój pupil z dzieciństwa, ale za to umie ci odpłacić miłością, można przeżyć naprawdę miłe zaskoczenie.

I to jest najistotniejsze. Mało kto potrzebuje psa do wykonywania określonych zadań. Zależy nam przede wszystkim

na czułym towarzysz, który zasługuje na szansę, żeby sprawdzić się w tej roli. Daj mu taką możliwość, a udowodni, że każdy pies jest zdolny do miłości, bez względu na rasę albo jej brak.

Schronisko bywa ostatnią deską ratunku dla psiego przybłądy i smutna prawda jest taka, że biedak nie może tam liczyć na zbyt wiele.

Zdumiewa mnie jednak, że równie żałosny los przypada czasem w udziale psom z bogatych domów. Nie tylko bezdomne kundle potrzebują naszej pomocy; dotyczy to także psiej arystokracji. Psy rasowe są tak samo zdolne i chętne do budowania trwałej i głębokiej więzi z człowiekiem. Również i one są sygnatariuszami naszej prastarej umowy międzygatunkowej. Zasługują na szczęśliwe i godne życie. A jednak mnóstwo rasowych zwierząt cierpi podobne katusze jak psy w schroniskach – aczkolwiek z innych powodów.

Współczesne rasy psów są produktem niespełna dwustuletnich zabiegów hodowlanych. Jak wynika z drobiazgowej analizy ich genotypu, nawet tak zwane rasy starożytne powstały najwcześniej w XIX wieku. Dotyczy to między innymi charta saluki, który jako rasa w dzisiejszym rozumieniu tego słowa ukształtował się całkiem niedawno, mimo że przypomina szlachetne psy gończe z liczących wiele tysięcy lat malowideł w grobowcach egipskich faraonów^[16]. Ludzie z pewnością już przed wiekami rozróżniali konkretne typy psów; sądząc na podstawie świadectw archeologicznych, w starożytnym Egipcie hodowano co najmniej cztery rodzaje tych zwierząt^[17]. W literaturze rzymskiej można znaleźć wzmianki o czterdziestu kilku rasach. Dziś jednak rozumiemy to pojęcie inaczej – jako populację skrajnie wyizolowaną, całkowicie pozbawioną możliwości krzyżowania się z psami należącymi do innych grup. Wiąże się to z ryzykiem wielu nieprawidłowości genetycznych.

Wielu ludzi nie zdaje sobie sprawy z intensywności chowu wsobnego w obrębie ras „czystych”. Jeśli spojrzeć na drzewo genealogiczne rasowego psa, często można się przekonać, że jego ojciec jest również jego dziadkiem i wujem jego matki.

Chów wsobny daje gwarancję, że szczenięta odziedziczą po rodzicach wygląd, a czasem i osobowość, niesie jednak z sobą poważne zagrożenia. Psy rasowe żyją krócej niż mieszance; między innymi dlatego, że są podatne na znacznie więcej schorzeń niż psy o bardziej zróżnicowanym materiale genetycznym.

Carlo Maley i Marc Tollis, moi koledzy z Instytutu Biodizajnu na Uniwersytecie Stanu Arizona, oraz ich studentka Cassandra Balsley przeprowadzili niedawno drobiazgową analizę przyczyn śmierci ponad 180 tysięcy psów z całego świata, należących do przeszło dwustu ras. Odkryli, że w niektórych przypadkach więcej niż połowa zwierząt reprezentujących daną rasę zmarła na raka – im wyższy stopień chowu wsobnego, tym większa zachorowalność na nowotwory złośliwe.

Carlo i Marc wyjaśnili, że w XIX wieku, kiedy ludzie zaczęli kształtować współczesne rasy psów, dysponowali już wystarczającą wiedzą o dziedziczeniu, by mieć pewność, że krzyżowanie blisko spokrewnionych zwierząt o pożądanym wyglądzie zwiększa szanse wystąpienia tych samych cech u potomstwa. Nie wiedzieli jednak – w przeciwieństwie do dzisiejszych uczonych – że chów wsobny utrwała nie tylko cechy pożądane i widoczne gołym okiem, ale też wady ukryte. W rezultacie wiele psów hodowanych w czystości rasy zatrważająco często zapada na raka – archetyp diabła tkwiącego w genach – oraz inne choroby dziedziczne. Dalmatyńczyki są podatne na głuchotę, bokserzy na choroby serca, owczarki niemieckie na dysplazję stawów biodrowych – to zaledwie trzy przykłady z przygnębiająco długiej listy schorzeń genetycznych.

Na szczęście niedola psów rasowych przyciąga coraz większą uwagę miłośników i specjalistów. Kennel Club in the United Kingdom – pradiadek wszystkich organizacji kynologicznych na świecie – dziesięć lat temu przełknął gorzką pigułkę wstydu: film dokumentalny telewizji BBC, pod tytułem *Pedigree Dogs Exposed* [Cała prawda o psach rasowych]. Dokument, który zyskał najwyższe uznanie Królewskiego Towarzystwa Zapobiegania Okrucieństwu wobec Zwierząt, zwrócił uwagę na praktykę chowu wsobnego i jej wpływ na dobrostan psów rasowych^[18].

Występujący w filmie przedstawiciele Kennel Club wyszli na prawdziwych idiotów. Ronnie Irving, ówczesny prezes klubu, spytany o dylematy etyczne związane z krzyżowaniem matki z synem, odparł, że to „zależy od konkretnych osobników” i dodał, że nie życzy sobie, by „banda jakichś uczonych” narzucała mu swoją wiedzę. Jeden z owych uczonych, Steve Jones, światowej sławy genetyk z mojej Alma Mater, czyli Kolegium Uniwersyteckiego w Londynie, w tych słowach podsumował niewesoły los psów rasowych: „Skoro hodowcy upierają się przy swoich metodach, stwierdzam z całym przekonaniem, że przedstawiciele wielu ras czeka istne piekło na ziemi. Wiele, o ile nie większość z nich, nie przetrwa tego koszmaru”^[19].

Dokument BBC skłonił parlament do wdrożenia niezależnego śledztwa w sprawie dobrostanu psów rasowych^[20]. Na jego czele stanął profesor Patrick Bateson, członek Towarzystwa Królewskiego i jeden z najwybitniejszych specjalistów biologii behawioralnej na świecie. Doszedł on do wniosku, że mimo starań wielu brytyjskich hodowców psów, okazujących wielką troskę o dobro swoich podopiecznych, masowa hodowla zwierząt rasowych wymknęła się spod kontroli. Powołał się na badania Imperial College London, z których wynika, że blisko 20 tysięcy brytyjskich bokserów pochodzi od zaledwie 70 osobników. Pula genowa brytyjskich mopsów jest równie uboga: populacja licząca 10 tysięcy pochodzi od 50 psów^[21].

Nie mam nic przeciwko temu, że przy wyborze pupila ludzie kierują się jego wyglądem; sam też tak robię. Rozumiem, dlaczego istnieje tyle ras: jedni chcą mieć psa o długiej płowej sierści, inni wolą kędzierzawą białą okrywę, są tacy, którym podobają się psy o smukłych wilczych pyskach, są też miłośnicy zwierzaków z krótszą kufą. Każdy ma inne preferencje.

Nie rozumiem natomiast obsesji na punkcie posiadania psa, który wywodzi się z niewielkiej grupy osobników wyselekcjonowanych w epoce wiktoriańskiej, żeby dały początek nowej rasie. Dlaczego w 2019 roku właściciel owczarka niemieckiego musi mieć pewność, że jego podopieczny jest w prostej linii potomkiem jednego ze zwierząt, które rotmistrz

Max Emil von Stephanitz uznał w XIX wieku za ideał rodzimego psa pasterskiego? Nigdy tego nie pojmę i – szczerze mówiąc – niepokoi mnie takie podejście.

Większości schorzeń współczesnych psich arystokratów dałoby się zapobiec przez krzyżowanie pojedynczych osobników z przedstawicielami podobnych ras. Kontrolowany outbred miałby niewielki wpływ na wygląd zewnętrzny potomstwa, za to ogromnie by się przyczynił do poprawy stanu zdrowia całej populacji. Gdybyśmy spróbowali przywrócić ład w obecnym systemie hodowli i odwzajemnić miłość naszych ulubieńców, otaczając ich czułą opieką, byłby to wielki krok naprzód – wymagający doprawdy nieznaczących ustępstw ze strony entuzjastów psów rasowych.

Oto przykład: wszystkie rodowodowe dalmatyńczyki w Wielkiej Brytanii cierpią na hiperykozurię, zaburzenie metaboliczne o podłożu genetycznym, które odpowiada za formowanie złogów kwasu moczowego w pęcherzu. Bywa to przyczyną wielu różnych dolegliwości, przeważnie bolesnych, które prowadzą do przedwczesnej śmierci zwierzęcia. W latach 70. doktor Robert Schaible, amerykański genetyk i hodowca, zaczął krzyżować dalmatyńczyki z pointerami, żeby usunąć ten defekt. Z genetycznego punktu widzenia jego eksperyment zakończył się pełnym sukcesem – psy wyhodowane przez Schaible’a są po prostu pięknymi, a w dodatku zdrowymi dalmatyńczykami^[22]. Kiedy jednak suka Fiona, reprezentująca piętnaste pokolenie tej krzyżówki, dalmatynka w niemal stu procentach, przyjechała na Wyspy, żeby wziąć udział w organizowanej przez Kennel Club wystawie Crufts, miejscowi hodowcy podnieśli larum: „Dopuszczenie tej suki do uczestnictwa w wystawie psów rasowych jest po prostu nieetyczne. Moim zdaniem to łamanie prawa i kpina z prawdziwych dalmatyńczyków”, grzmiał jeden z nich. Inny poszedł jeszcze dalej: „To jest kundel. Takie postępowanie jest sprzeczne z etyką hodowlaną. Aż mnie mierzi na myśl, że ten pies wygra”. Ciekawe, jak ci ludzie definiują pojęcie etyki. Żeby się w ogóle zorientować, w czym rzecz, trzeba zajrzeć w rodowód. Dalmatyńczyki Schaible’a nie różnią się praktycznie niczym od „prawdziwych”. Brytyjska gazeta „Daily Mail”

opublikowała zdjęcie Fiony bok w bok z „normalną” suką rasy dalmatyńskiej. Nikt nie był w stanie rozpoznać, która jest która^[23]. Dzielił je tylko genotyp.

Przynajmniej ta historia zakończyła się szczęśliwie. Fiona nie zdobyła wprawdzie tytułu na wystawie Crufts, została jednak zarejestrowana w Kennel Club jako dalmatynka, dzięki czemu może przekazać swoje cenne geny potomstwu wyhodowanemu w Wielkiej Brytanii i przyczynić się do odnowy rasy – o ile znajdą się hodowcy, którzy ścierpią dwa promile obcej krwi w żyłach swoich podopiecznych.

Sęk w tym, że niektórzy wyżej cenią hodowlę w czystości rasy niż psią zdolność – by nie rzec zapał – do wykształcenia emocjonalnej więzi z człowiekiem. Czyżby rodowód był ważniejszy niż miłość?

Wszystkie psy, zarówno rasowe, jak i schroniskowe, są całkiem bezradne wobec jeszcze jednego przejawu ludzkiej bezmyślności. Chodzi o zbyt łagodne prawo, które dopuszcza traktowanie zwierząt w sposób barbarzyński i daleki od zaspokajania ich potrzeb. Problem występuje w wielu krajach, skupię się jednak na Stanach Zjednoczonych, gdzie mieszkam i pracuję, znam więc tutejszy system od podszewki.

Ponieważ razem ze studentami prowadzę badania na psach innych właścicieli, mój pracodawca, czyli Uniwersytet Stanu Arizona, całkiem słusznie zobowiązuje mnie do zapoznania się z federalną ustawą o dobrostanie zwierząt i ścisłego jej przestrzegania. Jeśli planujesz dłuższy pobyt w Stanach, powinienes ją dokładnie przeczytać^[24]. Będziesz równie zszokowany jak ja.

Animal Welfare Act określa sposób postępowania hodowców oraz innych osób zajmujących się zawodowo żywym inwentarzem. Pierwsze, co rzuca się w oczy podczas lektury ustawy, to brak jakiegokolwiek definicji pojęcia „dobrostan”. Celem aktu jest regulacja handlu zwierzętami – nie zaś, jak można by się domyślać, zagwarantowanie troski o ich dobro.

Ustawa precyzuje między innymi prawne podstawy prowadzenia hodowli w Stanach Zjednoczonych. Proponowane standardy drastycznie odbiegają od potrzeb psów i oczekiwań

ich nabywców. Oto przykładowy kwiatek z tej oślej łączki: prawo dopuszcza trzymanie zwierzęcia przez całe życie w klatce zaledwie 20 centymetrów dłuższej niż ono samo (nie wliczając w to nawet ogona!). Jeśli rozmiary klatki przekraczają dwukrotnie tę żalosną normę, przepisy nie przewidują konieczności wypuszczania psa na zewnątrz, nawet na godzinę w ciągu dnia, nie wspominając już o zapewnieniu mu jakiegokolwiek towarzystwa.

Xephos ma niespełna 80 centymetrów długości, licząc od czubka nosa do nasady ogona. Ustawa pozwala więc trzymać ją w klatce o bokach długości 90 centymetrów. W pomieszczeniu tych rozmiarów nie mogłaby nawet zamachać ogonem (choć szczerze wątpię, czy w takich warunkach miałaby na to ochotę). Żeby zilustrować jedno ze swoich wystąpień na ten temat, wyrysowałem na ziemi kwadrat o boku 90 centymetrów, kazałem Xephos usiąść wewnątrz i zrobiłem jej zdjęcie. Sprawiała wrażenie żałośnie zdezorientowanej, mimo że spędziła zaledwie kilka chwil w tej pozycji – a teraz wyobraźcie sobie psa skazanego na dożywocie w takiej klatce! Niewiarygodne, że akt noszący nazwę ustawy o dobrostanie zwierząt pod tyłoma względami lekceważy ich elementarne potrzeby.

Niedostatki prawnej ochrony zwierząt w ogólności, w szczególności zaś naszych czułych psich towarzyszy, są ostatnio przedmiotem rosnącej uwagi opinii publicznej. Dziennikarka Rory Kress odkrywa tragiczną prawdę o hodowli psów w Stanach Zjednoczonych we wspaniałej, choć smutnej książce *The Doggie in the Window* [Piesek w oknie] (2018). Zamiast prowadzić śledztwo w sprawie pokątnych i nielegalnych przedsiębiorstw zwanych potocznie „fabrykami szczeniąt”, skupia się na sankcjonowanym prawem barbarzyństwie legalnych hodowli. Dzieli się osobistym doświadczeniem: właścicielki, która próbowała odkryć pochodzenie szczeniaka kupionego w sklepie ze zwierzętami. Nie zdradzę zakończenia tej historii – powiem tylko, że autorka zeszła na samo dno piekła bezdusznych uregulowań prawnych^[25].

Jako miłośnicy psów – zdający sobie sprawę z istoty psich emocji i wynikającej stąd odpowiedzialności człowieka za

zwierzę – powinniśmy sprzeciwić się tak nieskutecznej ochronie wiernych towarzyszy ludzkiej doli i niedoli. Zmiana barbarzyńskiej ustawy może okazać się najtrudniejszym ze sposobów na poprawę pieskiego życia i uszanowanie miłości doświadczanej od naszych podopiecznych. Przyczyni się jednak najlepiej do dobra tych zwierząt – wszystkich psów w Stanach Zjednoczonych, nie tylko domowych pupilów. Świadomi obywatele muszą się tego domagać.

Ludzie odpłacili psom za ich miłość kilkoma strasznymi krzywdami, ale mimo to patrzę z otuchą w naszą wspólną przyszłość.

Jedną z przyczyn mojego optymizmu jest psia odporność na stres. Wspominałem już wcześniej, że słodka Xephos miała trudne życie, zanim ją przygarnęliśmy. Doszła do siebie bez żadnych skutków ubocznych. Wynika stąd bardzo pocieszający wniosek – że psy mogą w pełni oswoić się z nowym domem. Wygląda na to, że utrata istotnego wzorca nie zostawia w nich trwałej traumy – inaczej niż w naszym przypadku. Być może dlatego, że w obrębie własnego gatunku psy nie tworzą równie nieprzemijających więzi jak ludzie.

Badania prowadzone przeze mnie i moich studentów – podobnie jak wiele naszych codziennych doświadczeń z psami – świadczą o ogromnej zdolności przystosowawczej tych zwierząt. Przekonaaliśmy się, że psy potrafią zadzierzgnąć nową więź dosłownie w kilka minut. Nawet bezdomne kundły szybko zaprzyjaźniają się z ludźmi, którzy je dobrze traktują. Nie chcę przez to powiedzieć, że psy zapominają o swoich ukochanych właścicielach; z pewnością ich pamiętają. Karol Darwin nie mógł wyjść z podziwu, że jego dawny towarzysz rozpoznał go po powrocie z pięcioletniej podróży dookoła świata na pokładzie okrętu „Beagle”. Xephos za każdym razem daje mi do zrozumienia – z krępującą wręcz intensywnością – jak bardzo za mną tęskniła, choćbym zostawił ją samą na krótko. Dobrze jednak wiedzieć, że psy potrafią wyleczyć się z traumy, że są na nią wyjątkowo odporne. (Wniosek? Nie rezygnuj z adopcji starego psa w obawie, że będzie wciąż tęsknił za utraconą rodziną. Psia odporność na traumę nie jest jednak żadnym

usprawiedliwieniem dla zrywania istotnych więzi emocjonalnych – takie sytuacje należy traktować jako ostateczność).

Nie tracę też optymizmu, dlatego że wielu z nas naprawdę zależy na lepszych relacjach z psami. Gdziekolwiek się obrócę, spotykam ludzi, którzy w pełni odwzajemniają miłość okazywaną im przez podopiecznych: począwszy od najbogatszych mieszkańców Stanów Zjednoczonych, których rasowi pupile wylegują się na mięciutkich posłankach i korzystają z dobrodziejstw kosztownej diety, aż po żyjących pod mostem bezdomnych, którzy ze swoimi psami, przynoszącymi im pociechę w trudnych chwilach, dzielą się każdym kęsem. We wszystkich swoich podróżach napotykam osoby, które się troszczą o psy – nieważne, czy chodzi o bezpańskie moskiewskie kundle, dokarmiane na stacjach przez zaganianych pasażerów metra i śpiące w kartonach, które mieszkańcy wystawiają na ulicę, by zapewnić im schronienie przed śniegiem; czy o zadbane zwierzaki z Tel Awiwu, zażywające ruchu w którymś z wielu wspaniałych psich parków w mieście; czy o psy w Nikaragui, z którymi Indianie Mayangna żyją po prostu w dobrej komitywie i w miarę możliwości próbują utrzymać je w zdrowiu.

Ludzie kochają psy. Jeśli słowo „kochać” znaczy dla nas przynajmniej połowę tego, co znaczy dla psów, jesteśmy w stanie zapewnić im lepsze życie i docenić wszystko, co dają nam w zamian. Miłość jest istotą psiej tożsamości. Bierzmy przykład z tych zwierząt.

Podsumowanie

Jeśli ta podróż zmieniła cię podobnie jak mnie, ruszysz w dalszą drogę lepiej obeznany z psią miłością i bardziej psu za nią wdzięczny, niż byłeś dotychczas.

Uczucia psa do człowieka przejawiają się w najdrobniejszych nawykach życia codziennego. Kiedy pracuję w domu przy biurku, Xephos zwija się w kłębek na dywanie tuż przy moich stopach; kiedy czytam książkę przed snem, układa się przy mnie w nogach łóżka; kiedy za bardzo guzdam się w kuchni albo próbuję wrócić po kolacji do biurka, demonstracyjnie grzeje miejsce na kanapie – w oczekiwaniu na wspólne oglądanie telewizji. Jeśli gość nie rozumie, że Xephos domaga się pieszczot, wciska mu się pod ramię, by czym prędzej pogłaskał ją po łbie.

Podobne zachowania są na porządku dziennym i rozczulają większość miłośników psów. Znajac bogatą, popartą odkryciami naukowymi historię tych demonstracji uczuć, zobaczysz je w szerszej i wyraźniejszej perspektywie.

Te piękne epizody z naszego wspólnego życia tym głębiej zapadną ci w serce, jeśli sobie uświadomisz, jak często psia miłość pozostaje nieodwzajemniona. Xephos uwielbia wtulać się w śpiących ludzi. Wszyscy członkowie mojej rodziny pozwalają jej kłaść się na noc w nogach; parę razy wpuściliśmy ją nawet pod kołdrę. Kiedyś, pod naszą nieobecność, mieszkali u nas znajomi, którzy ze zrozumiałych względów nie chcieli spać razem z Xephos. Biedna Xeph skamlała do upadłego; kiedy wreszcie do niej dotarło, że znajomi nie wpuszczą jej na łóżko, ułożyła się do snu pod nim.

Xephos jest bardzo odporna psychicznie i szybko doszła do siebie po tym wstrząsie. Ilekroć jednak pomyślę o jej żalosnej i odrzuconej próbie okazania miłości, tylekroć jej

współczuję. Psia miłość nie może trafiać w próżnię. Ktokolwiek wchodzi w relację z psem (choćby na krótko, przy okazji pilnowania czyjegoś domu), powinien go wysłuchać i uszanować potrzebę zaspokojenia jego potrzeb emocjonalnych. W przeciwnym razie przysporzy mu prawdziwych cierpień.

Teraz wierzę w to całym sercem, kiedyś jednak podchodziłem sceptycznie do stwierdzeń, że psy okazują ludziom miłość – wątpiłem nawet, czy w ogóle potrafią nas kochać. Nie powinienem więc dziwić się przejawom podobnego sceptycyzmu ze strony osób, z którymi dzielę się swoją teorią psiej miłości. Wciąż trafiam na niedowiarków; niektórzy z nich twardo stoją na stanowisku, że przypisywanie psom wyższych uczuć jest jedną wielką bzdurą.

Kiedy dopiero zacząłem pojmować, na czym polega psia miłość do ludzi, usiadłem w samolocie obok przypadkowego współpasażera, z którym nierozsądnie podzieliłem się swoją refleksją na temat wyjątkowości psów. Nie dość, że uparcie dowodził, iż psy w ogóle się nami nie interesują, to jeszcze musiałem go zniechęcić do pokazania mi wielkiej blizny na udzie – pamiątki po próbie rozdzielenia dwóch walczących ze sobą zwierząt.

Zachowania psów z pewnością nie ograniczają się do szerokich uśmiechów na pysku i merdania ogonem. Nie sposób zaprzeczyć, że potrafią wyrządzić ludziom krzywdę. W Stanach Zjednoczonych nie prowadzi się statystyk przypadków pogryzienia przez psy, dysponujemy za to całkiem wiarygodnymi danymi na temat kosztów leczenia poszkodowanych. W 2017 roku amerykańskie firmy ubezpieczeniowe wypłaciły z tego tytułu astronomiczną kwotę 686 milionów dolarów. Zawrotność tej sumy wynika jednak z przeciętnej wysokości odszkodowań (przeszło 37 tysięcy dolarów), nie zaś z liczby zgłoszonych roszczeń (18 500). Nie jest to wiele w skali kraju, gdzie żyje mniej więcej 80 milionów tych zwierząt. Ujmując rzecz

w szerszym kontekście: gdyby przełożyć tę sumę na liczbę wszystkich psów w Stanach, każdy czworonóg musiałby czekać pięćset lat w kolejce do pogryzienia człowieka – na szczęście psy tak długo nie żyją. Rzecz jasna, dane mogą być zaniżone przez ofiary pogryzień, których nie stać na ubezpieczenie albo którym nie udało się dotrzeć do właściciela psa – ale nawet biorąc na to poprawkę, trzeba uczciwie przyznać, że psy nie stanowią szczególnego zagrożenia dla człowieka. Większość z nich to istoty spokojne i łagodne jak baranki^[1].

Tak czy inaczej, możliwość ukształtowania trwałej międzygatunkowej więzi emocjonalnej w żadnym razie nie wyklucza ryzyka wyrządzenia sobie nawzajem krzywdy. Ludzie potrafią się wiązać z innymi ludźmi, ale potrafią się także ranić. Konsekwencje ludzkiej przemocy w Stanach Zjednoczonych są przeszło tysiąc razy bardziej kosztowne niż leczenie ofiar pogryzień przez psy^[2]. Gdyby 80 milionów psów zastąpić tą samą liczbą ludzi, rok w rok ich ofiarą padałoby przeciętnie 4000 osób. Na szczęście psy są tylko psami, ponoszą więc odpowiedzialność za niespełna 40 zgonów rocznie^[3]. W towarzystwie psa możesz czuć się dużo bezpieczniej niż w towarzystwie drugiego człowieka.

Niestety, sama zdolność do kochania ludzi nie gwarantuje nam psiej miłości. Umiejętność okazywania pozytywnych uczuć nie wyklucza zachowań, u których podłoża leżą inne potężne, głęboko skrywane emocje, na przykład strach lub złość.

Nie można jednak sugerować – jak pewien mój znajomy, którego nazwisko zmilczę – że z pozoru czułe zachowania psów nie są objawem miłości, tylko wyrachowania. Innymi słowy, że psy próbują nam wmówić, że nas kochają, byśmy się nimi zaopiekowali. Udając miłość, psy istotnie działałyby w swoim interesie; przecież wielu z nas troszczy się o nie w poczuciu, że pupile odwzajemniają nasze własne uczucia, że miłość rodzi miłość. Sądzę, że gdybym bardzo się postarał, potrafiłbym sobie wyobrazić psa, który

entuzjastycznie macha ogonem, mimo że nie jest szczęśliwy, albo mnie szuka, choć wcale mu na mnie nie zależy. Trudne do pomyślenia, ale jednak możliwe. Co w takim razie mam począć z zebranymi w ostatnich latach fizjologicznymi świadectwami psiej miłości? Począwszy od genów kodujących czułe zachowania, przez obszary mózgu, które rejestrują cele długoterminowe i prowokują psy do okazywania ludziom uczucia, aż po hormony, które u psów aktywują te same procesy, jakie zachodzą w organizmie zakochanego człowieka...? Nie można odrzucić tak mocnych dowodów na istnienie psiej miłości. Jestem przekonany, że ich wartość naukowa przewyższa argumenty sceptyków i wytrąca im broń z ręki. I piszę to jako człowiek, który wyjątkowo długo sprzeciwiał się tezie, że pies może kochać człowieka.

Przypuśćmy jednak – wbrew wszelkim przytoczonym przeze mnie świadectwom – że twój pies naprawdę cię nie kocha, że tylko zgrywa przed tobą miłość. A teraz spójrz na swojego partnera. Czy byłby w stanie tak udawać? Pomyśl w tym kontekście o własnym dziecku albo najlepszym przyjacielu.

Prawda jest taka, że nie ma pewnego i niezawodnego sposobu, żeby się przekonać, czy osoba, która się o ciebie troszczy, naprawdę cię kocha. Z biegiem lat, wraz z rosnącym bagażem doświadczeń, zyskujemy coraz głębszą świadomość, jak różnie potrafimy okazywać swoje uczucia. Nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy odnosić się bardziej sceptycznie do psów niż do ludzi, którzy podobno nas kochają. Jeśli ktoś kocha cię naprawdę, to właśnie pies.

Długo dochodziłem do tej konkluzji i zmieniłem swoje nastawienie do psów po latach życiowych doświadczeń. A jednak ze wszystkich nauk, jakie wyniosłem z podróży z udziałem Xephos, wilków z Wolf Park i mnóstwa innych psowatych, z którymi zetknęliśmy się podczas naszych badań, najwyżej sobie cenię pewną lekcję moralną. Lekcję,

którą stosuję nie tylko w odniesieniu do naszych czworonożnych towarzyszy, ale też wobec innych ludzi.

W naszej kulturze dominuje nastawienie, które utożsamia siłę – zwłaszcza męską, ale nie tylko – z przemocą. Nieważne, czy chodzi o siłę fizyczną, status społeczny czy finansowy: stosowanie przemocy zawsze odbywa się kosztem słabszych. Brutalna moralność spod znaku „człowiek człowiekowi wilkiem” nie przynosi nic dobrego ani ludziom, ani ich czworonożnym przyjaciołom.

Ale można też rozumieć siłę inaczej, jako zdolność do niesienia pomocy bezsilnym, wspierania tych, którzy nie potrafią się sami bronić. Nie jestem osobą religijną, ale szanuję i doceniam wybitnych przywódców duchowych, którzy nauczają od tysiącleci, że prawdziwą manifestacją siły jest troska o najsłabszych.

Sposobem na jej ćwiczenie jest rozpoznawanie i odwzajemnianie psiej miłości. Kochając psy równie mocno, jak one kochają nas, kształtujemy najlepszą i najbardziej altruistyczną część naszej osobowości. Ćwiczymy się w szlachetnej, bezinteresownej przyzwoitości, która przenosi nasze stosunki z ludźmi i psami na znacznie wyższy poziom.

Psy odwzajemniały okazaną im pomoc na wiele różnych sposobów, począwszy od stróżowania przy prehistorycznych śmietnikach, przez wspomaganie pierwotnych myśliwych w najtrudniejszym okresie ewolucji człowieka pod koniec ostatniego zlodowacenia, aż po najrozsadniejsze, często bardzo skomplikowane zadania, do których – po intensywnym szkoleniu – kieruje się współczesnych psich funkcjonariuszy. Coraz liczniejsze badania dowodzą, że właściciele psów są zdrowsi i szczęśliwsi od innych ludzi.

Trochę sceptycznie odnoszę się do wyników tych badań (czy ja już wspomniałem, że z natury jestem sceptykiem?). Z pewnością czuję się szczęśliwszy, odkąd w moim życiu pojawiła się Xephos. Uważam jednak, że człowiek, który może się zdecydować na posiadanie psa, i tak już jest

zdrowszy i szczęśliwszy niż ludzie, którym czas nie pozwala na zaopiekowanie się czworonogiem. O przyszłości naszej rodziny rozstrzygnęła stabilizacja zawodowa – w przeciwnym razie nie przygarnęlibyśmy Xephos.

Bez względu na ciężar dowodów w tej sprawie nie sądzę, że powinniśmy troszczyć się o psy wyłącznie dlatego, że są nam do czegoś potrzebne. Nie podoba mi się ujmowanie naszej więzi międzygatunkowej w kategoriach transakcji. Gdyby tak było, dbałość o psa nie różniłaby się niczym od dbałości o samochód. Posiadanie samochodu jest niezbywalnym elementem mojego życia; używam auta w konkretnym celu, dokładam więc wszelkich starań, żeby działało bez zarzutu. Pies nie tylko pełni określoną funkcję. Potrafi odwołać się do najgłębszych zasobów naszych uczuć, których istnienia nawet nie podejrzewaliśmy, i nakłonić nas do bezinteresownych działań dla dobra innej żywej istoty. Pies umie nas zaskoczyć i sprawić, że zaskoczymy sami siebie.

Powinniśmy dbać o nasze psy, ponieważ na to zasługują. Okażemy prawdziwą szlachetność, czym prędzej reagując na psie wołanie o pomoc – bez rozważania, czy zwierzak kiedykolwiek się nam odwdzieczy. Wyciągając pomocną dłoń, wywiążemy się z niepisanej, ale wiążącej deklaracji międzygatunkowej – umowy społecznej, której historia sięga dalej niż do dnia, w którym zobaczyłem biedną, maleńką Xephos, skuloną ze strachu na podłodze boksu w przepełnionym schronisku; sięga iluś tam tysięcy lat wstecz, kiedy u jej przodków pojawiły się geny warunkujące niezwykłą zdolność kochania. Odpowiadając na potrzeby Xephos, idę w ślady milionów ludzi z przeszłości: nie tylko Pawłowa, Darwina i Flawiusza Arriana, lecz i człowieka, który pierwszy dostrzegł niemą prośbę o pomoc w oczach szczenięcia zabłąkanego do ludzkiej wioski setki, a może i tysiące lat przed jakimkolwiek świadectwem pisanym, po czym tę prośbę spełnił – powodując, że psiak wdrukował

sobie jego wzorzec, cementując tym samym więź, która łączy nas do dzisiaj.

Ludzie i psy od wieków uczestniczą w tym międzygatunkowym partnerstwie. To dla nas radość i zaszczyt. Bycie kochanym przez psa jest wielkim przywilejem, być może jednym z najpiękniejszych w ludzkim życiu. Udowodnijmy, że zasłużyliśmy na ten przywilej.

Podziękowania

U kresu przedsięwzięcia mam wreszcie przyjemność podziękować osobom, które mnie w nim wsparły; martwię się jednak, że zapomnę o kimś, kto wyświadczył mi wielką przysługę. Niniejszym proszę, żeby ten ktoś przyjął ode mnie szczere przeprosiny.

Jako lider zespołu pozwolę sobie zacząć od wymienienia wspaniałych solistów, którzy w naszej wspólnej podróży do źródeł psiej niezwykłości występowali pod moim kierownictwem. Oto oni, w kolejności pojawiania się na estradzie: Monique Udell, Nicole Dorey, Erica Feuerbacher, Nathan Hall, Lindsay Mehrkam, Sasha (Alexandra) Protopopova, Lisa Gunter, Rachel Gilchrist i Joshua Van Bourg – proszę wyjść do ukłonów. Oprócz moich cudownych magistrantów nieocenioną pomocą w pracy służyli nam także studenci niższych roczników. Jestem winien im wdzięczność i żałuję, że z powodu braku miejsca nie wymienię ich wszystkich z nazwiska. Chciałbym też podziękować Anne-Marie Arnold, Marianie Bentoseli, Nadine Chersini, Jessice Spencer, Robsonowi Giglio, Kathryn Lord, Davidowi Smithowi, Marii Elenie Miletto Petrazzini oraz Isabeli Zaine – za ich wieloraką pomoc w naszych długoletnich badaniach. Jak powiedział Neil Young, wychodząc na estradę z grupą The Band, na koncercie *The Last Waltz* w 1976 roku: „Występowanie na jednej scenie z tymi ludźmi jest dla mnie jedną z największych przyjemności w życiu”. Nic dodać, nic ująć.

Podczas naszych badań korzystaliśmy z pomocy pracowników schronisk, którzy dokładają wszelkich starań, by w miarę ograniczonych możliwości zapewnić swoim podopiecznym jak najlepsze warunki – jestem wam wdzięczny za to, co robicie dla tych psów, i za okazaną nam cierpliwość. Pat Goodman, Gale Motter, Monty Sloan, Dana

Drenzek, Holly Jaycox i Tom O'Dowd oraz wielu innych wolontariuszy i członków personelu Wolf Park nie miało do nas pretensji, że zabraliśmy im cenny czas, i odnosiło się wyrozumiale do coraz wyższych wymagań, jakie stawialiśmy ich wilkom. Dziękuję za waszą przyjaźń i cierpliwość. Setkom właścicieli, którzy pozwolili nam prowadzić testy na swoich ukochanych czworonogach, dziękuję za pomoc i zaufanie.

W licznych podróżach nie poradziłbym sobie bez wsparcia obcych ludzi, którzy wkrótce zostawali moimi kolegami. Podziękowania dla Jeremy'ego Kostera z Uniwersytetu w Cincinnati i jego przyjaciół z plemienia Mayangna; dla Williama Fieldinga z Uniwersytetu Bahamów; dla Ilii Wołodina z Moskiewskiego Uniwersytetu Państwowego im. M.W. Łomonosowa i Jeleny Wołodinej z moskiewskiego zoo; dla Ludmiły Trut i Anastasii Charłamowej z Syberyjskiego Oddziału Rosyjskiej Akademii Nauk oraz Anny Kukekovej („Po rosyjsku, Anno, po rosyjsku! Po angielsku, Anno, po angielsku”!) z Uniwersytetu Illinois w Urbanie i Champaign; dla Josepha Terkla i Eliego Geffena z Uniwersytetu Telawińskiego; dla Moshe Alperta i Yossiego Weisslera z kibucu Afikim; dla Ludwiga Hubera, Kurta Kotrschala, Sarah Marshall-Pescini, Friederike Range i Zsófi Virányi z Wolf Science Center w Ernstbrunn; dla Pera Jensena z Uniwersytetu Linköping i Hansa Temrina z uniwersytetu w Sztokholmie; oraz dla Allistona Reida i nieodżałowanego Johna Pilleya z Wofford College w Karolinie Południowej.

Wyrazy wdzięczności pod adresem Angeli Perri z uniwersytetu w Durham i Gregora Larsona z uniwersytetu w Oksfordzie – za nauczanie mnie podstaw archeologii; także dla Gregory'ego Bernsa, który otworzył mi oczy na neurobiologię poznawczą. Wszystko, co wiem o psach i oksytocynie, wyszło od Takefumiego Kikusui z Uniwersytetu Azabu, Therese Rehn ze Szwedzkiego Uniwersytetu Rolniczego w Uppsali oraz Mii Persson

z Uniwersytetu Linköping. Dziękuję i oczywiście biorę odpowiedzialność za wszelkie błędy w tej publikacji.

Od dawna chciałem napisać książkę, która znalazłaby czytelników nie tylko wśród moich kolegów po fachu. Podziękowania dla Aarona Hoovera i Billa Canona za radę i zachętę podczas naszej długiej pracy; dziękuję też Stevenowi Beschlossowi za pomoc w urzeczywistnieniu tego pomysłu. Macie u mnie drinka.

Specjalne werble i owacje na cześć wspaniałej agentki Jane von Mehren i jej kolegów z Aevitas Creative Management. Mój redaktor Alex Littlefield wydobył z tego, co napisałem, to, co naprawdę miałem na myśli, i wraz ze swoimi współpracownikami z wydawnictwa Houghton Mifflin Harcourt przeistoczył moje refleksje w namacalny obiekt, który właśnie trzymasz w ręku – dziękuję, kochani. Wyrazy wdzięczności kieruję też pod adresem Susanny Brougham – za oszlifowanie tekstu do obecnej postaci – oraz Leah Davies, autorki ożywiających książkę rysunków.

Szczęśliwym zrządzeniem losu zostałem pracownikiem instytucji wyjątkowej. Uniwersytet Stanu Arizona całkiem nieźle sobie radzi z kwadraturą koła. Nie mam zamiaru powtarzać naszych sloganów reklamowych, ale możecie mi wierzyć, że to naprawdę wspaniałe miejsce. Niewykluczone, że za jakieś pół wieku świat dogoni naszą uczelnię, która ma doskonale rozwinięty system stypendialny, nikogo nie wyklucza i może być dumna z osiągnięć swoich beneficjentów. (Musiałem przynajmniej w części odwołać się do naszej reklamy!) Jestem szczególnie wdzięczny moim kolegom z Wydziału Psychologii – za tolerowanie niepoprawnego „psiarza”. Nie mogę wymienić was wszystkich, ograniczę się więc do nazwisk dwóch dziekanów, z którymi miałem przyjemność współpracować – Keitha Crnica i Steve’a Neuberga. Dziękuję wam za przyjaźń i zapewnienie wyjątkowo sprzyjających warunków do pracy.

Obawiam się, że moja książka nie przypadłaby do gustu nieżyjącemu już Rayowi Coppingerowi, jego duch towarzyszył mi jednak w pisaniu i jestem mu ogromnie wdzięczny. Żałuję, że nie zdążyliśmy się nad nią pokłócić.

Moi rodzice nie zdołają się wyłgać od odpowiedzialności: przyczynili się do tego wszystkiego zarówno filogenetycznie, jak i ontogenetycznie – naturą i wychowaniem. Podejrzewam, że ojciec też chętnie by się ze mną posprzeczał o te „pierdoły” na temat psiej miłości.

Ros i Sam: cóż mogę jeszcze powiedzieć? Dziękuję za wsparcie w dobrych i złych chwilach. Dziękuję za dobrą zabawę.

No i oczywiście Xephos – bratnie zwierzę tej książki, jeśli wolno mi użyć tego określenia. Naprawdę nie dałbym rady bez ciebie. Dziękuję, skarbie. Na kolację będzie wątróbka!

Przypisy

1. Xephos

- [1] B. Hare, V. Woods, *The Genius of Dogs*, Dutton, New York 2013.
- [2] K. Bonney, C. Wynne, *Configural Learning in Two Species of Marsupial*, „Journal of Comparative Psychology” 2003, nr 117, s. 188-199.
- [3] B. Hare i in., *The Domestication of Social Cognition in Dogs*, „Science” 2002, nr 298, s. 1634-1636.
- [4] J.P. Scott, J.L. Fuller, *Genetics and the Social Behavior of the Dog*, University of Chicago Press, Chicago 1965.
- [5] B. Denizet-Lewis, *Travels with Casey*. Simon & Schuster, New York 2014.
- [6] M.A.R. Udell i in., *The Performance of Stray Dogs (Canis familiaris) Living in a Shelter on Human-Guided Object-Choice Tasks*, „Animal Behaviour” 2010, t. 79, nr 3, s. 717-725.
- [7] *The world's smartest dog, Chaser has the largest vocabulary of any nonhuman animal*, „Super Smart Animals”, BBC Television, www.chaserthebordercollie.com.
- [8] Rozmowy autora z J. Pilleyem, maj 2009 roku, Spartanburg, Karolina Południowa.
- [9] J.W. Pilley, H. Hinemann, *Chaser: Unlocking the Genius of the Dog Who Knows a Thousand Words*, Houghton Mifflin Harcourt, New York 2013.

2. Co stanowi sedno wyjątkowości psów?

- [1] W.H. Gantt, *Przedmowa do: I.P. Pavlov, Conditioned Reflexes and Psychiatry - Lectures on Conditioned Reflexes*, przeł. W.H. Gantt, International Publishers, New York 1941.
- [2] D.P. Todes, *Ivan Pavlov: A Russian Life in Science*, Oxford University Press, Oxford 2014.
- [3] W.H. Gantt i in., *Effect of Person*, „Conditional Reflex: A Pavlovian Journal of Research & Therapy” 1966, t. 1, nr 1, s. 18-35.
- [4] E.N. Feuerbacher, C.D.L. Wynne, *Relative Efficacy of Human Social Interaction and Food as Reinforcers for Domestic Dogs and Hand-Reared Wolves*, „Journal of the Experimental Analysis of Behavior” 2012, t. 98, nr 1, s. 105-29; E.N. Feuerbacher, C.D.L. Wynne, *Shut Up and Pet Me!*

Domestic Dogs (Canis lupus familiaris) Prefer Petting to Vocal Praise in Concurrent and Single-Alternative Choice Procedures, „Behavioural Processes” 2015, nr 110, s. 47-59.

[5] M.D.S. Ainsworth i in., *Patterns of Attachment: A Psychological Study of the Strange Situation*, Lawrence Erlbaum, Hillsdale 1978.

[6] S. Sternthal, *Moscow's Stray Dogs*, „Financial Times”, 16 stycznia 2010, www.ft.com/content/628a8500-ff1c-11de-a677-00144feab49a. Zainteresowanych czytelników odsyłam do witryny internetowej, gdzie moskwiczanie publikują zdjęcia i filmy z psami napotkanymi w miejskich środkach komunikacji – www.metrodog.ru.

[7] *India's Ongoing War against Rabies*, „Bulletin of the World Health Organization” 2009, t. 87, nr 12, s. 885-964.

[8] D. Bhattacharjee i in., *Free-Ranging Dogs Show Age-Related Plasticity in Their Ability to Follow Human Pointing*, „PLOS ONE” 2017, t. 12, nr 7.

[9] D. Bhattacharjee i in., *Free-Ranging Dogs Prefer Petting over Food in Repeated Interactions with Unfamiliar Humans*, „Journal of Experimental Biology” 2017, t. 220, nr 24.

3. Psom zależy

[1] E. Townshend, *Darwin's Dogs: How Darwin's Pets Helped Form a World-Changing Theory of Evolution*, Frances Lincoln, London 2009.

[2] Ch. Darwin, *The Expression of Emotions in Man and Animals*, John Murray, London 1872, s. 11. Jedna ze 183 wzmianek o psach w tej książce.

[3] Tamże, s. 119-120.

[4] Tamże, s. 122.

[5] P. McConnell, *Z miłości do psa. Jak zrozumieć emocje twoje i twojego psa*, przeł. M. Redlicki, Łódź 2009.

[6] T. Bloom, H. Friedman, *Classifying Dogs' (Canis familiaris) Facial Expressions from Photographs*, „Behavioural Processes” 2013, nr 96, s. 1-10.

[7] Z lewej na prawą. Na odwrót, jeśli patrzysz na psa z przodu. A. Quaranta, M. Siniscalchi, G. Vallortigara, *Asymmetric Tail-Wagging Responses by Dogs to Different Emotive Stimuli*, „Current Biology” 2007, t. 17, nr 6.

[8] K. MacPherson, W.A. Roberts, *Do Dogs (Canis familiaris) Seek Help in an Emergency?*, „Journal of Comparative Psychology” 2006, t. 120, nr 2, s. 113-119.

[9] J. Brauer, K. Schonefeld, J. Call, *When Do Dogs Help Humans?*, „Applied Animal Behaviour Science” 2013, t. 148, nr 1, s. 138–149.

[10] T. Ruffman, Z. Morris-Trainor, *Do Dogs Understand Human Emotional Expressions?*, „Journal of Veterinary Behavior: Clinical Applications and Research” 2011, t. 6, nr 1, s. 97–98.

[11] D. Custance, J. Mayer, *Empathic-like Responding by Domestic Dogs (Canis familiaris) to Distress in Humans: An Exploratory Study*, „Animal Cognition” 2012, t. 15, nr 5, s. 851–859.

[12] L. Lind af Hageby, *Bombed animals... rescued animals... animals saved from destruction*, Animal Defense and Anti-Vivisection Society, London 1941.

[13] I.B.-A. Bartal, J. Decety, P. Mason, *Empathy and Pro-social Behavior in Rats*, „Science” 2011, t. 334, nr 6061, s. 1427–1430.

[14] E. Thorndike, *Animal Intelligence: An Experimental Study of the Associative Processes in Animals*, Macmillan, New York 1898.

4. Ciało i dusza

[1] G.S. Berns, *How Dogs Love Us: A Neuroscientist and His Adopted Dog Decode the Canine Brain*, New Harvest, Boston 2013.

[2] G.S. Berns, A.M. Brooks, M. Spivak, *Functional MRI in Awake Unrestrained dogs*, „PLOS ONE” 2012, t. 7, nr 5.

[3] G.S. Berns, A.M. Brooks, M. Spivak, *Scent of the Familiar: An fMRI Study of Canine Brain Responses to Familiar and Unfamiliar Human and Dog Odors*, „Behavioural Processes” 2015, nr 110, s. 37–46; P.F. Cook i in., *Awake Canine fMRI Predicts Dogs’ Preference for Praise vs. Food*, „Social Cognitive and Affective Neuroscience” 2016, t. 11, nr 12, s. 1853–1862.

[4] G.S. Berns, *What It’s Like to Be a Dog: And Other Adventures in Animal Neuroscience*, Basic Books, New York 2017.

[5] C. Dreifus, *Gregory Berns Knows What Your Dog Is Thinking (It’s Sweet)*, „New York Times”, 22 grudnia 2017, www.nytimes.com/2017/09/08/science/gregory-berns-dogs-brains.html.

[6] W. Feldberg, E.M. Tansey (red.), *Dale, Sir Henry Hallett (1875–1968), physiologist and pharmacologist*, w: *Oxford Dictionary of National Biography*, wyd. popr., Oxford University Press, Oxford 2004, www.oxforddnb.com.

[7] Vincent du Vigneaud - *Facts*, The Nobel Prize, www.nobelprize.org/prizes/chemistry/1955/vigneaud/facts.

[8] H.E. Ross, L.J. Young, *Oxytocin and the Neural Mechanisms Regulating Social Cognition and Affiliative Behavior*, „Frontiers in Neuroendocrinology” 2009, t. 30, nr 4, s. 534-547.

[9] M. Nagasawa i in., *Dog's Gaze at Its Owner Increases Owner's Urinary Oxytocin during Social Interaction*, „Hormones and Behavior” 2009, t. 55, nr 3, s. 434-441; S. Kim i in., *Maternal Oxytocin Response Predicts Mother-to-Infant Gaze*, „Brain Research” 2014, nr 1580, s. 133-142; T. Romero i in., *Oxytocin Promotes Social Bonding in Dogs*, „Proceedings of the National Academy of Sciences” 2014, t. 111, nr 25, s. 9085-9090, M. Nagasawa i in., *Oxytocin-Gaze Positive Loop and the Coevolution of Human-Dog Bonds*, „Science” 2015, t. 348, nr 6232, s. 333-336; T. Romero i in., *Intranasal Administration of Oxytocin Promotes Social Play in Domestic Dogs*, „Communicative & Integrative Biology” 2015, t. 8, nr 3.

[10] M.E. Persson i in., *Intranasal Oxytocin and a Polymorphism in the Oxytocin Receptor Gene Are Associated with Human-Directed Social Behavior in Golden Retriever Dogs*, „Hormones and Behavior” 2017, nr 95, dodatek C, s. 85-93.

[11] H.G. Parker i in., *Genetic Structure of the Purebred Domestic Dog*, „Science” 2004, t. 304, nr 5674, s. 1160-1164.

[12] *Genome-wide SNP and haplotype analyses reveal a rich history underlying dog domestication*, „Nature”, 8 kwietnia 2010.

[13] Kolejną osobiwość genetyki polega na tym, że zgromadzenie danych do każdego raportu wymaga współpracy wielu badaczy. Pod tym artykułem podpisało się w sumie 36 osób. B.M. von Holdt i in., *Genome-wide SNP and Haplotype Analyses Reveal a Rich History Underlying Dog Domestication*, „Nature” 2010, t. 464, nr 7290, s. 898-902.

[14] Tamże.

[15] 20/20, ABC News online, abcnews.go.com/2020/video/williams-syndromechildren-friendhealth-disease-hospital-doctors-13817012 b.d.

[16] youtube.com/watch?v=GbycvPwr1Wg, 21 listopada 2012.

[17] *What Is Williams Syndrome?*, williams-syndrome.org/what-is-williamssyndrome, b.d.

[18] B.M. von Holdt i in., *Structural Variants in Genes Associated with Human Williams-Beuren Syndrome Underlie Stereotypical Hypersociability in Domestic Dogs*, „Science Advances” 2017, nr 3.

[19] M.E. Persson i in., *Sociality Genes Are Associated with Human-Directed Social Behaviour in Golden and Labrador Retriever Dogs*, „PeerJ” 2018, nr 6.

[20] N. Rogers, *Rare Human Syndrome May Explain Why Dogs Are So Friendly*, „Inside Science”, 19 lipca 2017, www.insidescience.org/news/rare-human-syndrome-may-explainwhy-dogs-are-so-friendly.

5. Początki

[1] Arrian, *On Hunting, circa AD 145*, w: *Xenophon and Arrian on Hunting with Hounds*, tłum. ang. A.A. Phillips, M.M. Willcock, Liverpool University Press, Warminster 1999.

[2] G.A. Reisner, *The Dog Which Was Honored by the King of Upper and Lower Egypt*, „Bulletin: Museum of Fine Arts, Boston” 1936, t. 34, nr 206, s. 96–99, www.jstor.org/journal/bullmusefine.

[3] L. Janssens i in., *A New Look at an Old Dog: Bonn-Oberkassel Reconsidered*, „Journal of Archaeological Science” 2018, nr 92, s. 126–138.

[4] G. Cuvier, *Le règne animal distribué d’après son organization*, t. 1–4, Déterville, Paris 1817.

[5] Wideo o relacjach między Moshe a jego wilkami jest dostępne na stronie: afikimproductions.com/Site/pages/en_inPage.asp?catID=10.

[6] R. Coppinger, L. Coppinger, *Dogs: A New Understanding of Canine Origin, Behavior, and Evolution*, University of Chicago Press, Chicago 2002.

[7] M. Derr, *How the Dog Became the Dog: From Wolves to Our Best Friends*, The Overlook Press, New York 2013.

[8] Tamże, s. 131. Obrzydliwa prawda jest taka, że jedną czwartą diety bezpiecznych psów w Zimbabwe stanowią ludzkie odchody. J.R.A. Butler, J.T. du Toit, *Diet of Free-Ranging Domestic Dogs (Canis familiaris) in Rural Zimbabwe: Implications for Wild Scavengers on the Periphery of Wildlife Reserves*, „Animal Conservation” 2002, t. 5, nr 1, s. 29–37.

[9] A. Perri, *Hunting Dogs as Environmental Adaptations in Jōmon Japan*, „Antiquity” 2016, t. 90, nr 353, s. 1166–1180; eadem, *Global Hunting Adaptations to Early Holocene Temperate Forests: Intentional Dog Burials as Evidence of Hunting Strategies*, praca doktorska, Durham University, 2013.

[10] L. Larsson, *Mortuary Practices and Dog Graves in Mesolithic Societies of Southern Scandinavia*, „Anthropologie” 1994, t. 98, nr 4, s. 562–575.

[11] L.A. Dugatkin, L. Trut, *How to Tame a Fox (and Build a Dog): Visionary Scientists and a Siberian Tale of Jump-Started Evolution*, University of Chicago Press, Chicago 2017.

[12] W oryginale aluzja do cytatu: *red in tooth and claw*. Sformułowanie często kojarzone z Darwinowską teorią ewolucji, w rzeczywistości pochodzi z wcześniejszego o dziesięć lat cyklu wierszy *In Memoriam* Alfreda Tennysona, ściślej z czwartej zwrotki *Canto 56 (Nature, red in tooth and claw with ravin)*. Por. A. Tennyson, *In Memoriam*, Edward Moxon, London 1850.

[13] L. Dugatkin, L. Trut, *How to Tame a Fox (and Build a Dog)*, The University of Chicago Press, Chicago-London, s. 50-52.

6. Jak psy się zakochują

[1] D.E. Duncan, *Inside the Very Big, Very Controversial Business of Dog Cloning*, „Vanity Fair”, wrzesień 2018.

[2] B. Streisand, *Barbra Streisand Explains: Why I Cloned My Dog*, „New York Times”, 2 marca 2018.

[3] Rozmowa autora z Richem Hazelwoodem, 15-16 sierpnia 2018, Phoenix, Arizona.

[4] A. Ramzy, *Australia Deploys Sheepdogs to Save a Penguin Colony*, „New York Times”, 4 listopada 2015, www.nytimes.com/2015/11/05/world/australia/australia-penguinssheepdogs-foxes-swampy-marsh-farmer-middle-island.html.

[5] L. Gerard-Sharp, *Europe's Hidden Coasts: The Maremma, Italy*. „The Guardian”, 22 maja 2017, www.theguardian.com/travel/2017/may/22/maremma-tucanny-coastbeaches-italy.

[6] Homer, *Odyseja, Pieśń XIV*, przeł. Lucjan Siemieński.

[7] B. Cooper, *History of Sheepdog Trials*, The Working Kelpie Council of Australia, www.wkc.org.au/Historical-Trials.

[8] K. Darwin, *Podróż na okręcie „Beagle”*, przeł. K.W. Szarski, Warszawa 2019, s. 72.

[9] *Oddball*, reż. Stuart McDonald, Momentum Pictures, 2015.

[10] D. Lustig, *Maremma Sheepdogs Keep Watch over Little Penguins*, „Bark: The Dog Culture Magazine” 2011, nr 65, <https://thebark.com>; *Maremma Dogs*, Warrnambool City Council, 2018, www.warrnamboolpenguins.com.au/maremmadogs; *Maremma Sheepdog Breed History*, Maremma Sheepdog Club of America, 2014-2017, www.maremmaclub.com/history.html; rozmowa autora z Davidem Williamsem, 9 sierpnia 2018.

[11] K. Darwin, *Podróż na okręcie „Beagle”*, dz. cyt., s. 182.

[12] Eckhard H. Hess *Dead at 69; Behavioral Scientist Authority*, „New York Times”, 26 lutego 1986, www.nytimes.com/1986/02/26/obituaries; E. Hess, *Imprinting*, Van Nostrand Reinhold, New York 1973.

[13] D.G. Freedman, J.A. King, O. Elliot, *Critical Period in the Social Development of Dogs*, „Science” 1961, t. 133, nr 3457, s. 1016-1017; J.P. Scott, J.L. Fuller, *Genetics and the Social Behavior of the Dog*, University of Chicago Press, Chicago 1965, s. 105. Autorzy raportów podają różny czas trwania kontaktów zwierząt z ludźmi. Według „Science” było to półtorej godziny dziennie. W książce podano, że psy stykały się z ludźmi przez zaledwie dziesięć minut. Przypuszczam, że prawdziwe są informacje z czasopisma. Autorzy książki przywołali zapewne dane z pamięci.

[14] M. Gacsi i in., *Attachment Behavior of Adult Dogs (Canis familiaris) Living at Rescue Centers: Forming New Bonds*, „Journal of Comparative Psychology” 2001, t. 115, nr 4, s. 423-431.

[15] E.N. Feuerbacher, C.D.L. Wynne, *Dogs Don't Always Prefer Their Owners and Can Quickly Form Strong Preferences for Certain Strangers over Others*, „Journal of the Experimental Analysis of Behavior” 2017, t. 108, nr 3, s. 305-317.

[16] S. Haysom, *This Story of a Heroic Dog Who Died Protecting His Owner Will Break Your Heart*, „Mashable”, 13 lutego 2018, mashable.com/2018/02/13/dog-dies-after-protecting-owner-from-black-bear/#o4leySe3ekq0.

[17] *Service Dog Killed Trying to Protect Owner from Alligator in Florida*, CBS News, 24 czerwca 2016, www.cbsnews.com/news.

[18] N. Moharib, *„Hero” Dog Killed Defending Calgary Owner during Violent Home Invasion*, „Edmonton Sun”, 10 kwietnia 2013, edmontonsun.com/2013/04/10.

[19] E. Knight, *Lassie, wróć!*, przeł. K. Kmiec-Krzewniak, Kraków 2016.

[20] Ch. Darwin, *O pochodzeniu człowieka*, w różnych przekładach.

[21] J.P. Scott, *Investigative Behavior: Toward a Science of Sociality*, w: D.A. Dewsbury (red.), *Studying Animal Behavior: Autobiographies of the Founders*, University of Chicago Press, Chicago 1985, s. 416.

7. Psy zasługują na więcej

[1] *How to Be Your Dog's Best Friend: The Classic Training Manual for Dog Owners*, The Monks of New Skete, Little, Brown, Boston 2002.

[2] C. Packer, A.E. Pusey, L.E. Eberly, *Egalitarianism in Female African Lions*, „Science” 2001, t. 293, nr 5530, s. 690-693.

[3] L.D. Mech, *Alpha Status, Dominance, and Division of Labor in Wolf Packs*, „Canadian Journal of Zoology”, 1 listopada 1999, nr 8, s. 1196–1203.

[4] F. Range, C. Ritter, Z. Viranyi, *Testing the Myth: Tolerant Dogs and Aggressive Wolves*, „Proceedings of the Royal Society: B. Biological Sciences” 2015, nr 282.

[5] S. Coren, *The Data Says „Don't Hug the Dog!”*, „Psychology Today: Canine Corner” 2016, www.psychologytoday.com/blog/canine-corner/201604.

[6] *Dog Owners in the City: Information about Keeping a Dog in Urban Areas*, Svenska Kennelklubben, 2013, www.skk.se/globalassets/dokument/att-aga-hund/kampanjer/skall-inte-pa-hunden-2013.

[7] D. van Rooy i in., *Risk Factors of Separation-Related Behaviours in Australian Retrievers*, „Applied Animal Behaviour Science”, 1 grudnia 2018, nr 209, s. 71–77; C.V. Spain, J.M. Scarlett, K.A. Houpt, *Long-Term Risks and Benefits of Early-Age Gonadectomy in Dogs*, „Journal of the American Veterinary Medical Association”, luty 2004, nr 3, s. 380–387.

[8] Problem stanowi już sama nieścisłość tych danych. W Stanach Zjednoczonych nie prowadzi się nawet statystyk liczby schronisk, nie wspominając o przebywających w nich psach. W rezultacie szacunki są obciążone dużym ryzykiem błędu. W sieci można odnaleźć doskonały artykuł na ten temat: A. Rowan, T. Kartal, *Dog Population and Dog Sheltering Trends in the United States of America*, „Animals: An Open Access Journal” 2018, t. 8, nr 5, s. 1–20.

[9] S. Cafazza i in., *Behavioural and Physiological Indicators of Shelter Dogs' Welfare: Reflections on the No-Kill Policy on Free-Ranging Dogs in Italy Revisited on the Basis of 15 Years of Implementation*, „Physiology & Behavior”, 4 czerwca 2014, nr 133, s. 223–229.

[10] P.D. Scheifele i in., *Effect of Kennel Noise on Hearing in Dogs*, „American Journal of Veterinary Research” 2012, t. 73, nr 4, s. 482–489.

[11] A. Protopopova i in., *In-Kennel Behavior Predicts Length of Stay in Shelter Dogs*, „PLOS ONE”, 13 grudnia 2014, nr 12.

[12] Jeśli czytelnik jest naprawdę ciekaw, co i dlaczego robił Pawłow, powinien zajrzeć do tej biografii: D.P. Todes, *Ivan Pavlov: A Russian Life in Science*, Oxford University Press, Oxford 2014.

[13] L.M. Gunter, R.T. Barber, C.D.L. Wynne, *A Canine Identity Crisis: Genetic Breed Heritage Testing of Shelter Dogs*, „PLOS ONE”, 23 sierpnia 2018, nr 8.

- [14] B. Dickey, *Pit Bull: The Battle over an American Icon*, Vintage, New York 2017.
- [15] L.M. Gunter, R.T. Barber, C.D.L. Wynne, *What's in a Name? Effect of Breed Perceptions and Labeling on Attractiveness, Adoptions, and Length of Stay for Pit-Bull-Type Dogs*, „PLOS ONE”, 23 marca 2016, nr 3.
- [16] H.G. Parker i in., *Genomic Analyses Reveal the Influence of Geographic Origin, Migration, and Hybridization on Modern Dog Breed Development*, „Cell Reports” 2017, t. 19, nr 4, s. 697–708; B.M. von Holdt i in., *Genome-wide SNP and Haplotype Analyses Reveal a Rich History Underlying Dog Domestication*, „Nature” 2010, t. 464, nr 7290, s. 898–902.
- [17] D.J. Brewer, T. Clark, A. Phillips, *Dogs in Antiquity: Anubis to Cerberus – The Origins of the Domestic Dog*, Aris & Phillips, Warminster 2001.
- [18] *Pedigree Dogs Exposed*, film w reżyserii Jemimy Harrison, BBC TV, sierpień 2008.
- [19] B. Cuddy, *Controversy over BBC's Purebred Dog Breeding Documentary: BBC's Pedigree Dogs Exposed Strikes a Chord*, „The Bark” 2009, nr 56, thebark.com/content.
- [20] P. Bateson, *Independent Inquiry into Dog Breeding*, Cambridge 2010, www.ourdogs.co.uk/special/final-dog-inquiry-120110.pdf.
- [21] F.C.F. Calboli i in., *Population Structure and Inbreeding from Pedigree Analysis of Purebred Dogs*, „Genetics”, 1 maja 2008 r., nr 1, s. 593–601.
- [22] D. Powell, *Overcoming 20th-Century Attitude about Cross Breeding*, „Low Uric Acid Dalmatians World” 2016, luadalmatians-world.com/enus/dalmatian-articles/crossbreeding; L.L. Farrell i in., *The Challenges of Pedigree Dog Health: Approaches to Combating Inherited Disease*, „Canine Genetics and Epidemiology”, 11 lutego 2015, nr 3.
- [23] V. Elliott, *Fiona the Mongrel and a Spot of Bother at Crufts: „Impure” Dalmatian Angers Traditionalists at the Elite Pedigree Dog Show*, „Daily Mail”, 6 marca 2011, www.dailymail.co.uk/news/article-1363354.
- [24] Ustawa Kongresu Stanów Zjednoczonych, *Animal Welfare Act*, Government Publishing Office, Washington 2015, www.nal.usda.gov/awic/animal-welfare-act.
- [25] R. Kress, *The Doggie in the Window: How One Dog Led Me from the Pet Store to the Factory Farm to Uncover the Truth of Where Puppies Really Come from*, Sourcebooks, Naperville 2018.

Podsumowanie

[1] *Dog-Bite Claims Nationwide Increased 2.2 Percent; California, Florida, and Pennsylvania Lead Nation in Number of Claims*, Insurance Information Institute, New York 2018, www.iii.org/press-release.

[2] Podkreślam, że są to szacowane koszty ogółem, nie tylko wypłaty z ubezpieczeń. H.R. Waters i in., *The Costs of Interpersonal Violence - an International Review*, „Health Policy”, 8 września 2005, nr 3, s. 303-315.

[3] WISQARS, *Leading Causes of Death Reports, 1981-2017*, National Center for Injury Prevention and Control, Centers for Disease Control, 2019, webappa.cdc.gov/sasweb/ncipc/leadcause.html.

[1*] Można bez trudu przeprowadzić ten test na własnym psie. Najlepiej poprosić o pomoc znajomego, który odwróci jego uwagę na czas umieszczania kaska pod pojemnikiem. Niektóre psy boją się poruszyć plastikowe naczynie; na szczęście da się przeprowadzić eksperyment bez chowania jedzenia pod cokolwiek. Wystarczy wskazać pojemnik palcem i położyć przysmak na wierzchu dopiero wówczas, kiedy pies zareaguje. Zwierzę prawie zawsze podrepcze w stronę wskazanego pojemnika.

[2*] Albo podgatunków: większość współczesnych zoologów uważa psa za podgatunek wilka, nie za gatunek odrębny.

[3*] Słowo dziwnie podobne do łacińskiego określenia wilka: *lupus*.

[4*] Najlepszy amerykański magazyn dla myśliwych polujących z psami nazywa się „Full Cry”, na cześć psiego ujadania, które ma decydujący wpływ na sukces wspólnych łowów z człowiekiem. Zdjęcie na okładce przedstawia zwykle psa wspartego przednimi łapami o pień i obszczekującego zwierzynę ukrytą w gałęziach drzewa.

[5*] Prawdziwy szkielet znajduje się w maleńkim muzeum w kibucu Majan Baruch na północy Izraela.

[6*] Niektórzy specjaliści uważają pingwiny małe z Nowej Zelandii i Australii za dwa odrębne gatunki, nazwane odpowiednio *Eudyptula minor* i *Eudyptula novaehollandiae*.

[7*] Ośmiotygodniowe szczeniaki zostały wprowadzone między dorosłe wilki. Pracownicy Wolf Park przekonali się z czasem, że młode zwierzęta trzeba socjalizować nie tylko z ludźmi, ale też z przedstawicielami własnego gatunku.

[8*] Podkreślam, że prawidłowo stosowana smycz zaciskowa może być przydatnym narzędziem szkoleniowym.

[9*] Sasha ma naprawdę na imię Alexandra.